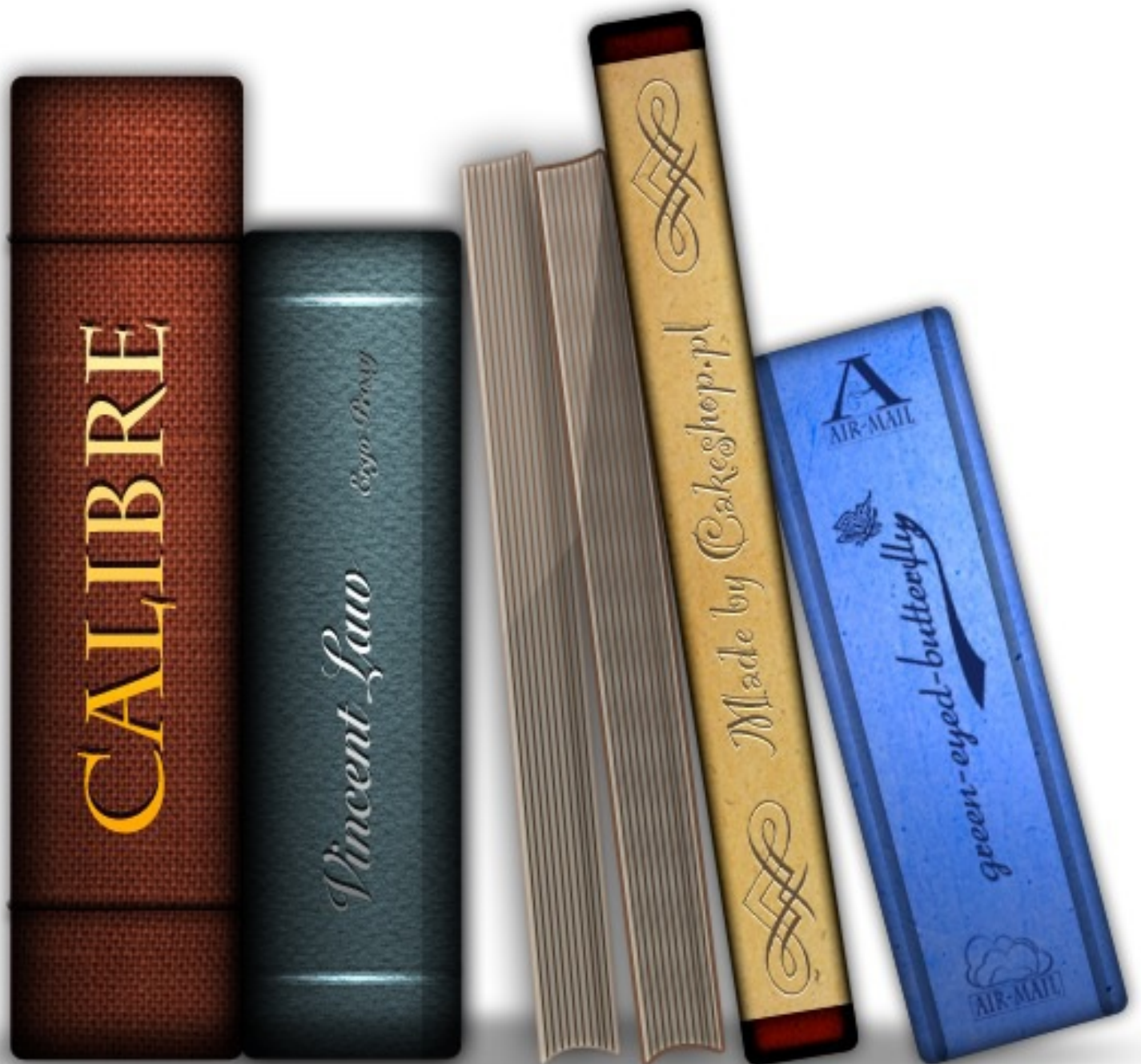


Cien Sokola

NORTON ANDRE



calibre 0.7.28

Andre Norton

Cien Sokola

Przelozyła Bozena Jozwiak

Tytuł oryginalu shadow hawk

Przedmowa

Niemal dwa tysiące lat przed narodzeniem Chrystusa zwycięska armia Hyksosów wyruszyła z serca Azji Mniejszej. W swym marszu na zachód zdobywcy bez przeszkód pustoszyli inne kraje dzięki nowej, niezwykle skutecznej broni - ciągniętym przez konie rydwanom. Wojska, próbujące bronić swych ziem, były błyskawicznie rozbijane w pył. Jednym z podbitych państw był Egipt, państwo stare i swego czasu potężne. Egipcjanie byli tak zawzięci w stosunku do obcych najeźdźców, że kiedy kilka pokoleń później udało im się ich wypędzić, podjęli skuteczną próbę usunięcia wszelkich śladów okupacji Doliny Nilu. Z tego powodu po dziś dzień nie wiemy dokładnie, kim byli Hyksosi, skąd przybyli i jak długo rządzili. Wiadomo jedynie, że przez pewien czas okupowali ten kraj, sprowadzili do niego konie, a przez jego mieszkańców uważani byli za istoty gorsze od diabła. Był to okres intryg, niebezpieczeństw i wazni, także w szeregach samych Egipcjan, ponieważ bardziej konserwatywni urzędnicy faraona woleli płacić Hyksosom symboliczny trybut, niż wszczynać otwartą walkę. Był to również okres, kiedy to młodzi ludzie mogli dokonywać rzeczy wielkich. Wysoko urodzeni Egipcjanie rozpoczynali szkolenie oficerskie w wieku mniej więcej dziesięciu lat, a mając lat czterdzieści lub pięćdziesiąt byli już wojownikami w oddziałach liniowych. Obydwaj książęta, którzy poprowadzili pierwsze ataki na Hyksosów, nie skończyli jeszcze dwudziestu lat.

Podczas wielu lat obcej okupacji Egipcjanie żyli po staremu tylko na dalekim południu Egiptu oraz w Nubii (dzisiejszy Sudan). Nubia, zwana Krainą Luku, rządzona przez wicekrola faraona, dostarczała łuczników dla Pustynnych Zwiadowców - korpusu słynnego od ponad tysiąca lat w historii Egiptu. Ich umiejętności były tak szeroko znane i szanowane, że w obcych językach słowo określające Egipcjanina oznaczało również łucznika. Właśnie w Tebach, starożytnej stolicy południa, wybuchło w 1590 r. p.n.e. uwieńczone sukcesem powstanie przeciwko Hyksosom. Egipcjanie, ponownie zjednoczeni, wygnali wroga i stworzyli imperium, które miało w nadchodzących wiekach dominować w południowej części basenu Morza Śródziemnego.

1. Graniczny patrol

Nad spieczoną ziemią niewyczuwalny był nawet najłżejszy podmuch wiatru, który mogłoby rozwiać przykry śwad, unoszący się wraz z ciężkim, żółtawym dymem z brudnych chałup niedzkiej wioski Kuszytów. Nubijsko-egipski łucznik z oddziału Pustynnych Zwiadowców podkładał ogień pod chaty z wprawą, którą nabył w czasie długotrwałej praktyki. Kiedy

niedbale pokryte strzecha lub źle wyprawiona skora dachy zamienia się w popiół, żołnierze rozrzuca kamienie tworzące koliste ściany i w ten sposób przestanie istnieć - przynajmniej na jakiś czas - kolejne gniazdo łupieżców w obszarze przygranicznym. Kuszyci są jak mrówki, myślał ze znużeniem Rahotep, młody kapitan zwiadowców, stojąc na pagorku, który wynosił chatę wodza ponad inne. Co z tego, że zdepczesz sandałem ich kopiec lub nawet przekopiesz znajdujące się pod nim korytarzyki? Zostaniesz pokasany, a i tak, za dzień lub dwa, nowa budowla wystrzeli na to miejsce.

W tej chwili kleby dymu otoczyły jego głowę i zaczął kaszleć. Nie opuścił jednak swojego stanowiska. Wiedział, podobnie jak wszyscy na pozór beztroscy łucznicy z jego oddziału, że obserwują ich oczy wrogów - z nienawiści i, miał nadzieję, z pewnym przerażeniem. Choć pomiędzy chatami widoczne było klebowisko ciemnych ciał barbarzyńców, nie wszyscy Kuszyci z tej wioski zostali trafieni czerwonymi, wojennymi strzałami patrolu. Rahotep nie zarządził pogoni za jencami - czekał ich bowiem zbyt długi marsz przez pustynie do fortu, żeby obarczać się więźniami.

- Już się tu nie zagnieżdża ponownie, panie! - W stwierdzeniu tym zabrzmiała nuta satysfakcji. Nubijczyk Kheti, podoficer Rahotepa, wbiegł na pagorek spreżystym krokiem. Gorował on dobre piętnaście centymetrów nad drobniejszym, delikatniej zbudowanym Egipcjaninem, pochodzącym ze starego rodu z północy. Ogromny łuk, który tylko Kheti potrafił naciągnąć, wystawał zza ich głów jak proporzec pułkowy. Kiedy dym dosięgnął Khetiego, ten zakaszlał i splunął.

- Niestety, już wkrótce znajdzie nowe siedlisko! - stwierdził Rahotep.

- Niech i tak będzie! - odparł Kheti. Miał pogodną naturę, był człowiekiem, który chętnie przyjmuje rozkazy i wprowadza je w życie, lecz od którego nie żąda się planowania własnych akcji. - Czyż ludzie nie wiedzą, że żadna z tych przeklętych dziur nie ukryje się długo przed wzrokiem krazacego Sokola?

Rahotep schylił gniewnie swe proste, czarne brwi pod nemesem, sfinksowym nakryciem głowy z pasiastego lnu. Zirytowało go przypomnienie utraconego dziedzictwa w Egipcie. Głupota było podawanie się za pana nomu Uderzający Sokół, podczas gdy posiadłości te już od jednego pokolenia były we władaniu hyksoskich najeźdźców. On sam był tylko Rahotepem, pozbawionym ziemi i niemal opuszczonym przez przyjaciół oficerem Pustynnych Zwiadowców, a nie Sokolem. Jego przyrodni brat Unis oraz jego pochlebcy nawet ten tytuł wykorzystywali przeciw niemu w swoich drwinach. Mówili o nim: "Cień Sokola" - władca nie istniejącego nomu.

Kilka następnych dachów zapadło się, wzbijając snopy iskier i kleby jeszcze bardziej gęstego dymu. Podczas gdy łucznicy wyburzali ściany, Rahotep wprawnym okiem mierzył położenie słońca na niebie. Musieli opuścić to miejsce przed nadejściem nocy.

- Niewiele zostało czasu - rzekł Kheti, który dostrzegł spojrzenie Rahotepa skierowane w

gore. - Wielka szkoda, że nie udało nam się posłać Haptkego do jego smierdzących przodków. Lecz nie zawsze można mieć zupełne szczęście.

-Ruszamy! - Kapitan, który dotąd trzymał w ręku bicz, będący symbolem jego władzy, teraz wepchnął go za pas przy swej krótkiej spodniczce i chwycił sistrum, rodzaj grzechotki używanej do dawania sygnałów wojownikom w polu. Potrząsnął nim ostrym ruchem nadgarstka, wydobywając z naciągniętych na druty koralików syk rozwścieżonej zmił.

Podczas gdy łucznicy ustawiali się w luźny szereg marszowy, Kheti wepchnął w rękę dowodcy małą, glinianą figurkę, którą ulepił, kiedy dotarł do nich w formie rozkazu wyruszenia na ten patrol. Rahotep wystawił ją w kierunku słońca, w pełni świadomy faktu, że ukryte oczy to widzą, a ukryte uszy usłyszą każde słowo z tego, co ma do powiedzenia w języku Kuszytów.

-Haptke! - zawołał, nazywając wodza Kuszytów imieniem, pod którym był znany zwiadowcom. - Haptke, synu Taji i wy wszyscy, którzy za nim podążacie, jego wojownicy, jego posłancy, jego przyjaciele; wy wszyscy, którzy jesteście z jego garnków i leżycie w cieniu jego chaty, którzy wzniciacie rebelię, którzy pustoszyć ziemię, którzy zabijacie za pomocą siekiery i noża, dzidy i strzały, którzy myślicie tylko o niszczeniu i zabijaniu - na was wszystkich i waszego pana, Haptkego. rzucam teraz to przekleństwo. A kiedy to uczynię, niech się ziszczy jemu i wszystkim, których tu wymieniłem - w obliczu Amona-Re. Pana Wysokich Niebios i Jego Syna na ziemi, faraona, władcy Dwoch Krajów.

Chociaż język Kuszytów był chropawy, Rahotepowi udało się nadać mu rytm pieśni świątynnej. Podniósł glinianą figurkę nad głowę i cisnął nią w naznaczoną płomieniami ścianę ostatniej kwatery Haptkego. Wysuszona na słońcu glina rozprysnęła się, a łucznicy wydali okrzyki aprobaty. Ludzie zrobili już wszystko, co było w ich mocy, by rozprawić się z łupieżcami. Teraz odwołali się do pomocy bogów.

Zwiadowcy opuścili zrujnowaną wioskę legendarnym już klusem, gnając przed sobą zdobycz - osły i parę wspaniałych, sudanskich chartów, które warczały i szczekały, ciągnięte z uporem na smyczach przez swoich nowych panów. Zdaniem łuczników wypadek był udany, ale Rahotep był niepokieszony - oddałby chętnie czterokrotną wartość łupu za śmierć Haptkego. Zniszczyli wprawdzie legowisko, lecz lew uszedł cało, by ponownie się zniszczenie.

Spalona słońcem roślinność pory suchej zamykała się wokół nich. gdy podążali ścieżką wzdłuż wąskiego koryta, w którym strumień skurczył się do zaledwie kilku spienionych kałuż. Spłaszczone owady unosiły się gestymi chmurami i Rahotep musiał w końcu użyć swego bicia, aby odgonić muchy. Szli miarowym krokiem. Regularnemu, głuchemu odgłosowi sandałów wtórował ostry stukot oslich kopyt po wygładzonych wodą kamyczkach. '

Kiedy dotarli do pokrytego krzakami terenu, za którym rozciągała się prawdziwa pustynia, gdzie w pęknięciach czerwonej gliny ukazywały się płaszczyzny kamienia, jakiś cień

przesunął się przed nimi po ziemi, kierując uwagę Rahotepa ku niebu. W bezchmurnej przestrzeni ponad niecka szybował sokoł, jego własny symbol. Zdawał się krzącać nad kolumną ludzi i zwierząt, tak jakby w tej pyłem okrytej grupie znalazł zdobyczą, której szukał.

Ptaka plynął bezgłosnie w powietrzu, lecąc na czele łuczników niczym przewodnik. Zniżył lot, kierując się ku pasmu piaszczystych wzgórz, przez które biegła ich droga na północ. W pewnej chwili zanurkował i zniknął im z oczu.

-Posłaniec Wielkich poluje! - dobiegł zza pleców kapitana głos Khetiego. - Życz śludze Re, Morusowi Bystrookiemu, takiego szczęścia, jakie my dziś mieliśmy, panie.

Rahotep zwalniał kroku, aż w końcu stanął i zafurkował swym sistrum z rozkazującym szczekiem, który zatrzymał cały szereg mężczyzn. Nie, nie mylił się. Znowu usłyszał zza wzgórz piskliwy płacz - dźwięk, którego nie potrafił rozpoznać.

Ze sztyłem w dłoni zaczął wspinac się na zbocze, wyszukując drogę z ostrożnością myśliwego. Kheti, z wyciągniętym toporkiem, następował mu na pięty. Kiedy zbliżyli się do szczytu wzniesienia, za którym zniknął sokoł, opadli na dlonie i kolana, i w ten sposób wspinali się dalej. Potem, leżąc płasko, podczołgali się do krawędzi i ujrzeli w dole scenę tak niezwykłą, że Kheti wydał z siebie okrzyk szczerego zdumienia.

W uskoku pod nimi znajdowała się jaskinia, a przed nią kamienny występ oczyszczony przez wiatr z ziemi i piasku. Leżała tam sztywna lamparcica, wygięta przez śmierć, która na jej pysku wycisnęła wyraz nienawiści. Zmierzwiiona sierść wokół pogryzionego drzewca strzały świadczyła o długich godzinach jej konania.

Przy wejściu do jaskini leżało lamparciatko o złotym futrze, równie sztywne po śmierci jak jego matka. Właśnie na jego grzbiecie usadowił się sokoł, który krecił powoli zakończoną ostrym dziobem głową, jakby nad czymś się zastanawiał. Postawa ptaka nie wyrażała ani myśliwskiego zapалу, ani gniewu, gdy obserwował znajdujący się przed nim mały kłębek czarnego futra, była to raczej zwyczajna ciekawość.

Futrzana kuleczka otworzyła swój koci pyszczek i prychnęła, wygięła w łuk grzbiet i uniosła łapę z wysuniętymi pazurami, żeby przestraszyć skrzydlatego intruza. Jednak, ku zdumieniu Rahotepa, pierzasty łowca nie odplacił mu szponami czy dziobem. Unosił tylko głowę i wrzasnął, uderzając zamglone od gorąca powietrze skrzydłami.

Rahotep przekroczył krawędź zbocza, po czym znalazł się na dole znacznie szybciej, niż zamierzał, wraz z lawiną wyschniętej gliny, która nie wytrzymała jego ciężaru. Sokoł ponownie chrapliwie wrzasnął, więc kapitan wykonał ubrudzonymi palcami znak, który miał go przebrać. Wtedy ptaka wzbił się w powietrze i zataczając koła, skierował się ku nisko zawieszonemu słońcu. Rahotep obserwował przez chwilę, jak sokoł wznosi się - nieustraszony i wolny - a potem odwrócił się do małego, dzielnego wojownika w czarnym futrze.

Nie było to już bezradne malenstwo, lecz nieco podrosniety kociak o otwartych ślepiach i temperamentie godnym swego gatunku. Mimo że straszliwie wyglodzony - jego ciałko stanowiły same kości okryte skórą - czujnie reagował na każdy ruch Rahotepa. Był również szybki ze swymi syczącymi ostrzeżeniami, jak przedtem w stosunku do sokola.

Chrzest kamińskich i osypująca się glina oznajmiły przybycie Khetiego. Omijając lamparciatko szerokim łukiem, żeby, przestraszone, nie spadło poza występ skalny, Nubijczyk podszedł do martwej lamparcicy. Szturchnął ją toporkiem i schylił się, oglądając pogryzione drzewce wystające z ciała.

-Strzalał Kuszytów. Ale to stara rana. Zwierze jest martwe co najmniej od dwóch dni.

Rahotep wykonał nagły skok. Jego palce zacisnęły się na luźnej skórze karku małego lamparta i w tym momencie zwierze wydało z siebie takie samo wycie, jak to, które wcześniej przyciągnęło uwagę oficera. Podniósł je w górę, a lamparciatko zaczęło dziko wymachiwać łapami w powietrzu.

-Horus uznał za stosowne zesłać ci podarunek, panie - zauważył Kheti. - Zastanawiam się, dlaczego. Dary Wielkich, którzy rządzą z niebios, często niosą ze sobą zmienne szczęście. A lampart o skórze pokrewnej kolorem skórze Kuszytów - co prawda, rzadko się takie trafiają - musi mieć szczególnie paskudny charakter. No, ale jest jeszcze tak młody, że chyba uda się go nauczyć chodzenia przy nodze i słuchania rozkazów, czy to na polowaniu, czy na wojnie. Ma też dość siły, żeby żyć, a także walczyć, nawet jeśli jego siostra i matka nie żyją. Lecz wystrzegaj się, panie, tych pazurów, jeśli nie chcesz cierpieć z powodu bolesnych ran. - Rozesmiał się teraz, gdyż rozwścieczony kociak zmarszczył pyszczek w warkocie i nie przestawał machać ze złości łapkami w powietrzu.

Rahotep rozwinał niezrecznie lewą ręką fałdy swej peleryny. Kheti chwycił jeden z rogów mocnego materiału i narzucił na walczącego jenca, pomagając zrobić zawiniatko, które kapitan przyciskał do piersi, wspinając się z powrotem na wzgórze i schodząc po drugiej stronie, by dołączyć do czekającego oddziału.

Podbiegł do przodu, do stada osłów. Tak, miał rację. Była wśród nich samica z małym zrebaczkim biegającym koło niej. Z pomocą kilku potencjalnych treserów lampartów, oraz niewatpliwie ze sporym wysiłkiem, uzyskał miarkę mleka w glinianym garnuszku. Kiedy cała grupa ruszyła w dalszą drogę, kapitan niosł w zagieciu ręki wyczerpane i bezsilne już lamparciatko. Idąc, maczał pasek płotna w garnuszku trzymanym w pogotowiu przez jednego z łuczników, a następnie wkładał go do małego, dyszącego pyszczka. Kociak szybko pojął w czym rzecz i, wystawiając czarny lepek z zawiniatka, ssal łapczywie.

-Naprawdę silna sztuka, panie - zauważył niosący garnuszek. - Czy mam postarać się o więcej mleka? Hori prowadzi na wszelki wypadek oslice na linie.

Rahotep potrząsnął głową i rzekł: - Nie możemy już tracić więcej czasu po tej stronie rzeki.

Kiedy ja przekroczyliśmy, zanim Re opuścił niebo... Nasaczył szmatkę ostatnimi kroplami mleka i poczuł wytrwale pociąganie małego pyszczka. Maszerowali zachowując wszelkie środki ostrożności, konieczne we wrogim kraju - z boczna i tylna straża. Pustynni Zwiadowcy mieli duże doświadczenie w takich patrolach. Mimo to kapitan nie miał zamiaru rozkładać obozu, zanim nie dotrą do miejsca, które wcześniej wyznaczył do tego celu. gdyż stwarzało dobre możliwości obrony. Haptkę i jego banda granicznych łupieżców znani byli ze swych napadów przed switem. Co prawda nie mogli oni nawet marzyć o zaskoczeniu jakiegoś nieprzygotowanego oddziału Pustynnych Zwiadowców, tak jak im się to udawało z nieostrożnymi rolnikami z północy, jednak Rahotep już dawno nauczył się. że na tych przygranicznych pustkowiach, z Kuszytami - weszacymi wokół jak wychudłe, czarne psy - trzeba postępować rozwaznie. Ich szlak zaglebiał się w nieckę wyblakłej zieleni wokół częściowo wyschniętej rzeki, gdzie nadbrzeżne błoto było poznaczone wielokrotnie krzyżującymi się śladami kopyt i łap zwierząt przychodzących tu. by się napić. Kapitan przebył brod. rozkoszując się w pełni woda opływająca jego nogi. na tyle wolno, na ile pozwoliło mu poczucie obowiązku. Jednak ta upragniona wilgoć nazbyt szybko wyschła. Gdy wspinali się na zbocze po drugiej stronie i szli do uwiecznionego ruinami wzgórza, które było ich dzisiejszym celem, już jej nie czuli.

Poobtlukiwany posąg siedzącego króla ze zmarszczonymi brwiami patrzył ponad nimi w kierunku nizin, zwrócony wyzywająco ku granicy i ziemiom Kuszytów. Głina i piasek zamuliły jego podstawę, lecz w czerwonym blasku zachodzącego słońca Rahotepowi udało się przeczytać królewskie imię - Sesostri, tebański faraon, pierwszy tego imienia. Przylączył on Nubie do posiadłości Egiptu niemal tysiąc lat przed narodzinami kapitana. Był to faraon faraonów, przed którym Kuszytowie czolgali się i zmykali chylkiem jak pustynne scierwojady. Gdyby dziś taki panował! Dowódca zwiadowców unosił w salucie swój oficerski bicz. mijając zamyszonego króla z kamienia.

Upływ czasu naruszył ściany starożytnego fortu; jego wewnętrzne dziedzince były w połowie wypełnione gruzem. Jednak nawet w takim stanie ściany te stanowiły lepszą ochronę przed nagłym atakiem niż pagórki pustyni.

Jeden z łuczników, będący przedtem w straży bocznej, nadszedł z gazelą przewieszoną przez ramię, rozpalono więc ogień. Nie uwiązane zwierzęta wpedzono do pozbawionego dachu pomieszczenia po starym spichlerzu. Zostaną później oszczędnie napojone, ale tej nocy beda musiały obyc się bez paszy.

Rahotep rozpoczął obchód obozowiska od sprawdzenia lin. którymi były uwiązane juczne osły. Następnie wyznaczył stanowiska i skontrolował wartowników. W końcu zatrzymał się ponownie u stop posągu i spojrzal na południe. Pomiedzy fortem a rzeka nie było widac żadnego ruchu, nawet obłoczka kurzu wzniesionego przez podmuch wiatru. Rahotep wątpił jednak, żeby pozbyli się scigających. Gdzieś tam na pewno czaili się ludzie Haptkęgo. gotowi pomścić porażkę choćby na maruderze.

Kapitan obrócił się na zachód, gdzie słońce plonęło szkarłatna luna na horyzoncie, nadal

niemal zbyt jaskrawe, by można było w nie spojrzeć. Uwolnił się od symboli swojej władzy - sistrum oraz bicz, i położył je na piasku. Potem strzasnął z nog sandały i stanął skromnie przed największym z Wielkich - słońcem. Patrząc przez chwilę prosto w te płonące aureole czerwieni i złota, po czym opuszczając dłonie na wysokość kolan, wewnątrz w kierunku ziemi złożył pokłon wojownika przed swoim dowódcą. Po tym ukłonie wyprostował się ponownie i dumny ze swego dziedzictwa wyznawcy Re zaintonował:

Oddaje chwale, gdy widzę Twoją piękność

Wysławiam Re, - kiedy zachodzi.

W odpowiedzi dobiegły z obozu grzmiące głosy łuczników: - Który słyszysz go, kiedy się modli! Który słyszysz błagania tego, który Cię wzywa!

-Który przybywasz na głos wymawiających Twoje imię - śpiewał dalej kapitan i miał wrażenie, że słowa te dobiegają również od strony kamiennej figury. Jakby odbite echem dolatywały słowa: Twoje imię... Twoje imię!

Rahotep przeciągnął ze znużeniem ręką po swojej brudnej twarzy, marząc o skromnych wygodach, takich jak woda do mycia i świeże ubranie. Do tak prostych luksusów skurczył się jego świat w ciągu ostatnich pięciu lat. Lecz jutro - jeśli Re będzie im sprzyjał - kiedy tylko dotrze do fortu, znowu z nich skorzysta.

Podniósł sistrum i bicz, po czym zszedł do obozu, gdzie usiadł ze skrzyżowanymi nogami na macie rozłożonej dla niego przez Khetiego. Czekal tam już następny garnuszek mleka, którym miał nakarmić lamparciatko. Lecz kiedy kapitan wziął do ręki swoją porcję upieczonego mięsa, puszysty lepek zwrócił się w jego kierunku, a mały pyszczek otworzył w piskliwej skardze i po chwili drobne zabki pociągnęły z zapalem za kasek, który mu podał.

-To dobrze - skomentował Kheti. - Ten mały był już prawie odstawiony od piersi. Będzie go łatwiej odchowac. Tym razem mieliśmy udany wypad, panie. Minie dużo czasu, zanim Haptke będzie mógł znowu sprawiać kłopoty - jeśli w ogóle to nastąpi. A jeden z Wielkich był na tyle poruszony, że zaszczycił cię prezentem; ten Wielki, który jest totemem twojego klanu.

Kapitan uśmiechnął się z goryczą, która rzuciła dziwny cień na jego młodzieńcza twarz.

-Czyż ty sam, Kheti, nie powiedziałeś, że dary od Wielkich są podejrzane, że niekiedy niosą ze sobą zmienne szczęście? - spytał.

-To prawda, panie. Lecz jest również prawda, że jeśli nad czyjś losem od dawna ciąży złowrogi fatum, to każda zmiana będzie zmianą na lepsze.

Szakał szczechnął na pustyni. Rahotep zastygł w napięciu, a lamparciatko syknęło, gdy kapitan nagle zaciśnił uchwyt wokół jego ciała.

-Uwazasz, ze moj los jest ponury?

-Panie, czyz nie jestesmy mlecznymi bracmi, ktorzy nie maja przed soba tajemnic i czyz nie wiem, dlaczego ty, syn wicekrola, przemierzasz pustkowia z Pustynnymi Zwiadowcami zamiast zazywac luksusow i miec swa czastke wladzy w Semnie, miedzy rownymi sobie? A kiedy nadejdzie kolej na twojego brata, dostojnego Unisa, zeby zostac wicekrolem, twoja sytuacja jeszcze sie pogorszy. Wtedy to, moj bracie, rozsadnie bedzie opuscic ten kraj, bo inaczej zmuszony bedziesz lykac kurz. a to nie przystoi Sokolowi.

-Nie jestem Sokolem! - odparowal Rahotep. Postawil kociaka na ziemi i wodzil delikatnie palcami po zakrzywieniu malej glowki, probujac sie uspokoic. - Nie ma takiego nomu. nie ma juz takiego Egiptu jak przedtem. Czyz Hyksosi, ci synowie Seta - ci zjadacze padliny, wyznawcy Wiecznej Ciemnosci - nie spustoszyli tego kraju? Roztrzaskali mieszkania Wielkich, sprofanowali swiete miejsca, zabili tych, ktorzy wystapili przeciw nim w obronie honoru Dwoch Krajow.

Kheti wzruszyl ramionami.

-Na kazdego kiedys przyjdzie koniec - powiedzial. - Ci bluzniercy z polnocy zbyt dlugo juz siedza na tronie i na pewno nie znalezi sie tam z laski twojego Amona-Re. Przypuscm, ze pojawi sie ktos dostatecznie silny, by stracic ich z tego miejsca. Czy wowczas ci, ktorzy ciagneli z tyłu, nie przylacza sie do niego? A jesli Hyksosi zostana przegnani z ziem, ktore zagrabili, to czy nie wroca one do rak prawowitych wlascicieli? Nie odrzucaj swojego dziedzictwa, moj bracie; lecz jednoczesnie nie mozesz sie go domagac, trzymajac sie z dala od jego granic.

-Rozmawiales z Methenem. - Slowa Rahotepa zabrzmialy niemal jak oskarzenie.

-Bracie, masz w tym kraju zarowno przyjaciol, jak i wrogow. Komendant Methen sluzyl twojemu dziadowi, Sokolowi. Byl rowniez lojalny wobec twojej matki, dostojnej Tuyi, kiedy udala sie na wygnanie. Czy nie jest zrozumiale, ze chcialby widziec jej syna na naleznym mu stanowisku? A poza tym, w Nubii nie ma dla ciebie przyszlosci. Gdyby twoj ojciec przekroczyl horyzont, niechaj Dedun Stada Kozlow nie dopusci do tego nieszczescia - tutaj Kheti zrobil skrzyzowanymi palcami znak odpedzajacy zle moce - wtedy dostojny Unis bedzie rzadzil tym krajem, a ty bedziesz nikim. Bo to jego matka, dostojna Meri-Mut, ma poteznych krewnych, ktorzy popra jej syna. W dodatku sa oni skoligaceni z ksieciem Tetim.

-Teti to niemal zdrajca! On widzi Nubie jako oddzielne krolestwo, z soba na tronie!

-Tak tez moze sie stac, bracie. Lecz ani on, ani dostojna Meri-Mut nie zapomnieli, ze jeden z ich przodkow zasiadal przez jakis czas na tronie Egiptu, dzierzac pastoral i bicz krolewski, insygnia faraona polnocy i poludnia. W czasach zametu, takich jak obecne, moze sie to zdarzyc ponownie. Byc krolem Nubii to byc w pol drogi do objecia tronu faraona w Egipcie, jesli ktos jest dostatecznie silny i smialy. Nie chcemy widziec tu Unisa wicekrolem!

Czy byloby to korzystne dla Egiptu, gdyby Teti zasiadl na jego tronie?

-Lecz ojciec jest stanowczo przeciwny mojemu powrotowi na polnoc.

-Tak, wicekrol nie chce stracic oficera, na którym moze polegac.

Rahotep zadrzal, chociaz nie dosiegnal ich jeszcze zimny wiatr, wiejacy po zapadnieciu zmroku. To byla prawda. W oczach swego ojca, Ptahhotepa, wicekrola Nubii, byl jedynie odpowiedzialnym oficerem Pustynnych Zwiadowcow. Od czasu smierci matki zostal odciety od zycia w palacu ojca. co bardzo ciazilo mu na sercu. Posylany z jednego granicznego fortu do drugiego, poswiecil sie calkowicie swej pracy, przejmujac od lucznikow, z ktorymi przemierzal pustynie, cala ich wiedze i umiejetnosci.

Nie kochali sie ze swoim przyrodnim bratem, Unisem. Unis byl nastepca ojca. poniewaz byl synem pierwszej zony. dostojnej Meri-Mut, dziedziczki poteznej rodziny, o mieszanej, nubijsko-egipskiej krwi. Matka Rahotepa, dostojna Tuya, byla tylko druga zona, chociaz rzeczywiscie byla dziedziczka nomu Uderzajacego Sokola w Egipcie; nomu. ktorego jej syn nigdy dotad nie widzial. Zostala wyslana na poludnie dla bezpieczenstwa, po tym jak Hyksoscy najezdzczy zagarneli wlosci jej ojca, a jego samego zabili w ostatniej bitwie.

Dopoki matka zyła. dawala mu wszystko co mogła - zwlaszcza przywiazywala wage do nauki i cwiczenia umiejetnosci potrzebnych wysoko urodzonemu. Nauczal go Hentre, pisarz jej ojca oraz Methen, który dawniej dowodzil silami Sokolow w polu.

Po jej smierci Rahotep zostal wyslany na posterunek graniczny, oficjalnie - dla dalszego szkolenia wojskowego. Rozkaz nosil pieczec wicekrola, tego odleglego czlowieka, bedacego w rzeczywistosci - w co trudno mu bylo uwierzyc - jego ojcem.

Na Ptahhotepa od dawna naciskano, aby odrzucil tytul wicekrola faraona i rzadzil w Nubii pod swym wlasnym imieniem. Jednak nigdy tego nie zrobil. Musial wszakze zdawac sobie sprawe, ze po jego smierci Unis nie zadowoli sie tytulem "Krolewskiego Syna Poludnia", lecz bedzie dazyl do wspanialszego tytuliu i pelni wladzy. Ostatnio na poludnie zaczely docierac z Teb opowiesci, ze na tron wstapil nowy faraon, gotow nalozyc blekitna korone i rozpoczac wojne przeciw najezdzcom. Methen opowiadal o tym z podnieceniem. Gdyby wladcy Teb powstali ponownie...! Wywarlo to wrazenie na Rahotepie. Zawsze byl poruszony opowiesciami Methena o dawnej chwale. Starszy czlowiek ponaglal go, by podjal dzialania przeciwko Hyksosom. Jednak rozkazy z pieczecia wicekrola trzymaly go na granicy dalekiego poludnia.

Teraz ponownie dobieglo go szczekanie szakala, powtorzone trzykrotnie. Rahotep zerwal sie na nogi i usilowal dojrzec cos w ciemnosciach. Uslyszal glos wartownika wzywajacego kogos do zatrzymania sie, a potem chrzest krokow spieszacych przez zasypane gruzem uliczki starego fortu.

Goniec o niemal nagim cielem, pokrytym warstwa pyłu, wpadl z tupotem w krag swiatla

ogniska i zatrzymał się, dysząc ciężko. Zsalutował kapitanowi, a potem schylił się, by wziąć odrobinę piasku, którym posypał swe przekrzywione nakrycie głowy.

-Bolej, panie. Ulubieniec Re przekroczył horyzont. Wicekrol Ptahhotep żyje teraz już tylko w krainie poza zachodem słońca!

Rahotep zmartwiał. Potem, nieomal mechanicznie, zgwał się, żeby nabrać garść piaszczystej ziemi i rozetrzec ją po twarzy jako wyraz żaloby.

-Błogosławiony niech będzie Re, który zabiera swe dzieci do życia wiecznego - odpowiedział zgodnie ze zwyczajem. Lecz jakos nie mógł uwierzyć w to, co właśnie usłyszał. Ptahhotep był zawsze odległy, prawie tak odległy jak faraon. Jednak w świecie Rahotepa był bezpiecznym, stałym punktem. Kapitan nie potrafił wyobrazić sobie Nubii, na której tronie zabraknie jego ojca.

2. Faraon wzywa

-Kiedy dostojny Ptahhotep opuścił to życie? Rahotep nie miał pojęcia, co skłoniło Khetiego do zadania tego pytania. Ale odpowiedź była tak porażająca jak strzała Kuszytów między łopatkami.

-Faraon znajduje się poza horyzontem od trzydziestu dni i będzie złożony w przygotowanym do tego miejscu... - Usta posłanca poruszały się bezgłośnie, jakby coś obliczał. - Za trzy dni od tego zachodu słońca.

Rahotep wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

-Przecież potrzeba siedemdziesięciu dni, żeby odpowiednio przygotować ciało - zaczął niemal bezmyślnie, po czym oblizwał usta, czując mdły smak żalobnego pyłu. Przyspieszenie pogrzebu osoby wysokiego stanu było rzeczą niesłychaną, stanowiło więc dla niego sygnał zagrożenia równie wyraźny, jak ostrzeżenie wartownika.

-Mówi się, że pospiech jest konieczny, gdyż dostojny Ptahhotep zmarł od trucizny. Podobno stąpnął na jakies jadowite stworzenie w ogrodzie.

-Trzydzięci dni - powtórzył Kheti. Jego głos był zimny jak metal. - I dopiero teraz wieści dotarły do dostojnego Rahotepa? Gdzie zmarnowałeś tyle czasu, posłancze? - Gwałtownie wyciągnął rękę, wpijając ją w nagie ramie gonca. Jego twarz przybrała wyraz, który wielu winowajców spośród luczników z łatwością by rozpoznało i przelekło się.

-Ja nie przybywam z Semny - wybelkotal mężczyzna. - Komendant Methen jest w Kah-hi i to on mnie posłał. I powiedział mi coś jeszcze, panie. - Spojrzał na Rahotepa stojącego za Khetim. - Żebyś mógł uwierzyć, że moje słowa zawierają prawdę, mam ci powtórzyć: "Pamiętaj, conosisz na prawym udzie i miej się na baczności!"

Rahotep opuscił reke i przesunął ją po prawie niewidocznej już bliznie, która na szerokość palca wystawała spod krótkiej, wojskowej spodniczki. Ukryte znaczenie tego ostrzeżenia było dla niego jasne. To włocznia Unisa zraniła go wiele lat temu, podczas polowania na lwy. Unis bardzo głośno wyrażał skruchę za swą niezdarność, która jednak nigdy nie została wyjaśniona w sposób zadowalający Methena i Rahotepa. Jeśli Unis rzucił teraz w Semnie - a więc także w Nubii - to fakt ten w zupełności tłumaczył zarówno pozostawienie kapitana w nieswiadomości co do śmierci ojca, jak i pospieszny pogrzeb. Niewątpliwie jego przyrodni brat coś knuł. Rahotep zwrócił się przeto do Khetiego ze związłymi rozkazami.

-Przejmij komendę. Przyslij mi Kakawę z napełnionymi workami na wodę. A ty, posłancu, odpocznij tutaj i wyrusz rano razem ze zwiadowcami.

Myslał, że będzie musiał odierać protesty Khetiego, lecz podoficer tylko skinął głową i wezwał łucznika Kakawę, znakomitego tropiciela, który przez pewien czas służył jako goniec i znakomicie orientował się w pustynnych ścieżkach, zarówno w dzień, jak i w nocy.

-Bądź pewny, panie - powiedział Kheti, gdy Rahotep, z wrzynającym mu się w ramię rzemieniem od worka na wodę, przygotowywał się do wyruszenia - ze szybkim marszem udamy się do Kah-hi. Są jeszcze tacy, zarówno tu, jak i gdzie indziej, którzy zawsze będą stać przy tobie.

Switało już, kiedy Rahotep ujrzał drzewa palmowe wyznaczające pola wokół posterunku Kah-hi. Pospiesznie odwzajemnił powitanie wartownika. W cieniu bramy stał, jakby czekał na kogoś, jeszcze jeden mężczyzna. Postąpił on naprzód i złapał Rahotepa za ramiona, obejmując go uściskiem jak bliskiego przyjaciela.

-Czy u ciebie wszystko w porządku, chłopcze? - spytał.

Przyglądał się badawczo ściągniętej, młodzieńczej twarzy pokrytej kurzem, odnotowując z aprobatą jego pewną siebie postawę i emanujący z niego podświadomy autorytet, charakteryzujący ludzi nie tylko przyzwyczajonych do wydawania rozkazów, ale także dobrze rozumiejących powód ich wydania.

-U mnie wszystko dobrze. Methenie. Lecz nie jest dobrze... - zamilkł w pół słowa ostrzeżony zwróceniem oczu starszego oficera. - Przybyłem na twoje wezwanie - zakończył bardziej formalnie.

-Wezwanie powinno być nadejść wcześniej, i to nie z moich ust. - Methen wybuchnął gniewem.

Jednak dopiero kiedy znaleźli się w prywatnej kwaterze Rahotepa, a kapitan lał upragnioną wodę na swą spieczoną skórę, Methen, opierając się o ścianę umywalni, powrócił do tego tematu.

-Unis wziął w swoje ręce złotą pieczęć urzędu. Kontroluje w tej chwili Semne i Nubie. Teraz prowadzi gre na przeczekanie.

-Gre na przeczekanie?

-Jeden z kapitanów księcia Tetiego przybył natychmiast. Kraza plotki, że jego pan podąży za nim. Dostojna Meri-Mut już dwukrotnie przyjechała go w wewnętrznej komnacie. Unis posłał rozkazy do wszystkich komendantów nadgranicznych fortów. Mają oni odkomenderować po dziesięciu, dwudziestu ludzi, gotowych do jakiegokolwiek niewiadomego służby, kiedy wicekrol rozkaze.

-Posłancy do fortów! Ale tutaj w Kah-hi..., z pewnością Hamsetowi nie udało się utrzymać w tajemnicy takiej wiadomości. - Rahotep zawiązał recznik wokół swego szczupłego pasa, marszcząc przy tym brwi. To prawda, wyruszał dwukrotnie na patrole w ciągu tych trzydziestu dni, raz spędził nawet dziesięć dni poza fortem. Ale kwatery w Kah-hi były stłoczone razem i było rzeczą niemożliwą ukryć jakiś sekret przed oczami i uszami innych. Poza tym, już dawno stwierdził, że nie tylko prawda, ale i najbardziej nieprawdopodobne plotki rozprzestrzeniały się od człowieka do człowieka tak szybko, jak płomień po polu wysuszonej trawy.

-Wygląda na to, że Kah-hi zostało przeoczone w tym powszechnym rozgłaszaniu ważnych informacji - zauważył sucho Methen. - Karawana z waszym zaopatrzeniem dotarła wczoraj. Powinna była przywieźć Hamsetowi jakieś wieści. Lecz, oficjalnie, nie wiedział on o niczym do mego przybycia. Dopiero, kiedy nie dostałem od ciebie żadnych wiadomości, zrozumiałem, co zostało uknute.

Rahotep uśmiechnął się kwasno i rzekł: - Unis podjął wszelkie środki ostrożności niczym łowca słoni podkradający się do pchły. Czyżby sądził, że zbiorze armię i pomaszeruje na Semne, żeby wydrzeć pieczęć Ptahhotepa z jego rąk? - Teraz jego uśmiech zaczął znikać, gdy zobaczył, że twarz Methena poważnieje. - Nie może tak myśleć! - zaprotestował. - Taki pomysł to czysta głupota, a trudno Unisa o nią posadzać.

-Unis nie jest głupi; lecz jest tylko człowiekiem. Ocenia motywacje innych podług siebie, tak jak większość z nas. On właśnie tak by zrobił, gdyby stacjonował w Kah-hi, a ty byś siedział w Semnie. Jak sądzisz, dlaczego na tak długo byłeś przydzielony do Kah-hi?

-Jestem kapitanem Pustynnych Zwiadowców, patrolujemy granice, a Kah-hi jest najdalej wysuniętym fortem, który stawia czoła Kuszytom.

Methen krecił głową, a wyraz jego twarzy wskazywał, że spodziewał się więcej rozumu po swym wychowanku.

-Kah-hi jest najgorszym ze wszystkich granicznych fortów, najbardziej narazonym na niebezpieczeństwo. Gdyby pojawili się Kuszyty z dużymi siłami i załali to terytorium, jak to robili w przeszłości i bez wątpienia uczynią jeszcze wiele razy w przyszłości, dopóki nie

bedziemy mieli faraona dostatecznie silnego, żeby nauczył ich rozumu - wtedy Kah-hi błyskawicznie przestaloby istnieć. A spośród wszystkich wojsk nubijskich największe straty są zawsze wśród Pustynnych Zwiadowców.

Rahotep oparł się ręką o opryskana wodą ścianę. Poczł mdłości, a w głowie krecilo mu się, jakby otrzymał w nią cios maczuga.

-To mój ojciec mnie tam wysłał - powiedział, a jego głos niewiele różnił się od szeptu.

-Mieszkaś przy granicy od pięciu lat - odparł Methen. - W piaskach ogrodów Semny kryją się jadowite stworzenia - jak wicekról w końcu osobicie to odkrył. Mezczyzna może obronić się przed Kuszytami. Natomiast w zetknięciu z takimi tajemniczymi stworzeniami czolgającymi się w piasku, oraz z tymi, którzy mogą je umieścić na jego ścieżce, ma znacznie mniejsze szanse. Być może Ptahhotep uratował ci życie, pozornie zgadzając się. Byś był narazony na niebezpieczeństwo...

Nudności, które odbiły się gorzkim smakiem w ustach kapitana, cofnęły się. Ton Methena był wyważony, a słowa dobrze dobrane. Rahotep uczył się nadziei, że to, co mu powiedział, jest prawdą. Ojciec był wprawdzie odległy, lecz jednocześnie żadne fakty z przeszłości nie wskazywały na jego złe zamiary. Można było uwierzyć, że celowo wystawił syna na jawne niebezpieczeństwo, żeby uchronić go przed trudniej uchwytnym zagrożeniem w domu.

Być może te budzące się podejrzenia i późniejsza ulga po słowach Methena wyostrzyły rozum kapitana, gdyż następna myśl nasunęła mu się tak szybko, że natychmiast musiał się nią podzielić ze starszym oficerem.

-Syn, który nie przybył odprawić żałoby po ojcu na wiadomość o jego śmierci, może być uważany za zdrajcę i zostać oskarżony o celowe zwlekanie, żeby zasiać niezgodę. - Rahotep rzucił ręcznik na podłogę i sięgnął po świeżą spodniczkę. Kiedy wsuwał sztylet do pochwy przy pasku, usłyszał serdeczny śmiech Methena.

-Mimo wszystko, piasek nie zasypał ci mózgu, chłopcze. Nie mam wątpliwości, że Hamset mógł otrzymać jakies rozkazy razem z zaopatrzeniem.

Rahotep podniósł swój bicz i odwrócił się, by spojrzeć Methenowi w twarz. Jego raczej pełne usta były w tej chwili ściągnięte w wąską linię, która nadała rysom twarzy coś z odległej surowości zapomnianego posagu ze strażnicy nad rzeką.

-Hamset może rozkazywać tylko oficerom, którzy mu podlegają - stwierdził kapitan. - Ale kiedy zwrócę mu swój bicz, przestanie mieć nade mną jakakolwiek władzę i nie odważy się stanąć pomiędzy mną a bramami wyjściowymi Kah-hi.

Methen złożył ręce na swej szerokiej piersi i Rahotep spreżył się w oczekiwaniu na ostrą odpowiedź. Dla Methena życie wojownika było najlepszym z możliwych i Rahotep nie

powinien był oczekiwać, że ten poprze jego rezygnację ze służby.

Jednak ku jego zdumieniu Methen potakująco skinął głową.

-Moim pragnieniem byłoby, żebyś dotarł do Semny wraz ze swoim oddziałem. Na szczęście, są tu jeszcze tacy, którzy nie zapomnieli chleba jedzonego w przeszłości, ani tego, komu winni dochować wierności.

-Powiedziano... - Rahotep przywołał słowa pamiętane z dzieciństwa - "Walcz w jego imieniu, oczyszc się przez daną mu przysięgę, a wolny będziesz od trosk. Ulubiency króla będą błogosławieni; lecz nie znajdźcie się grob dla jego wrogów, a ciała ich wrzucone będą do rzeki."

-Tak powiedziano - zawtorował Methen.

-Lecz - Rahotep wskazał na rzecz oczywistą - gdzie jest faraon, któremu mam służyć? Nie składałem żadnej przysięgi Unisowi!

Methen uśmiechnął się i rzekł:

-Odpowiedz na to pytanie znajdziemy w Semnie. Coż, droga stoi przed nami otworem, a Re nie zatrzyma swej niebiańskiej łodzi dla żadnego człowieka. Tak więc musimy wyruszyć przed zachodem słońca.

Stary komendant Kah-hi nie sięgnął po wyciągnięty do niego bicz Rahotepa. Jego twarz, zmieniona przez czas w sieć zmarszczek obciążających czaszkę, była bez wyrazu. Nawet oczy o ciężkich powiekach nie podniosły się, by spojrzeć na młodego podwładnego i Methena.

-Przychodzi taka pora - powiedział z namysłem - kiedy ambicja czy żądza przestają miotać człowiekiem na wszystkie strony. Marzenia umierają, zabierając ze sobą część naszych obaw, tak że nie ma w nas ani jednych, ani drugich. Ja, Hamset, bronię fortu Kah-hi i robię co w mojej mocy, żeby odeprzec ataki Kuszytów. Coż mnie obchodzi problemy wielkich panów i kapitanów. Wicekról nie żyje. Nie otrzymałem żadnych rozkazów opatrzonych królewską pieczęcią, które by cię dotyczyły. Możesz więc jechać, gdzie chcesz, kapitanie. Jednak uważam za właściwe, żeby syn po raz ostatni pożegnał ojca. Ale kim ja jestem, żeby się wtracać w cudze sprawy? Zostaniesz odkomenderowany z Kah-hi z wszelkimi honorami, kapitanie, wszak dzielnie tu służyłeś. Pozwalam ci również zabrać eskortę łuczników według własnego wyboru.

Przerwał. Kiedy jednak Rahotep chciał mu podziękować, podniósł rękę w geście nakazującym milczenie i rzekł do niego: - Idź w swoją stronę, lecz nic mi nie mów, kapitanie. Jestem komendantem małego i zapomnianego posterunku, i te pozycje chciałbym utrzymać, dopóki nie odejdzie za horyzont. Jeśli chodzi o ciebie - nie mam żadnych oficjalnych poleceń, a na szeptańskie do ucha dziwne historie o tym i owym jestem głuchy. Dobrze jednak zrobisz,

jesli opuszczysz Kah-hi, zanim zostane zmuszony do podjecia innych dzialan. Niechaj Re ci sprzyja! Byles dobrym oficerem, mlodym i czasami nieostroznym, jak to jest w zwyczaju w mlodosci, niemniej jednak zasluzyles na chleb, ktory tu jadas.

Komendant nawet nie podniosl oczu, gdy Rahotep oddal mu ostatni salut, wiec prawdopodobnie nigdy nie dowiedzial sie, ze Methen zlozil mu ten sam wyraz uznania, jak niedawno mijanemu, kamiennemu faraonowi faraonow. Nie pojawil sie rowniez pozniej, kiedy, po przybyciu Khetiego i reszty oddzialu Rahotepa do fortu, kapitan wybral sobie dziesieciu ludzi. Wszyscy oni byli mlodzi i nie mieli zon, ani rodzin, ktore trzymalyby ich w Kah-hi. Nowo powstaly oddzial wyruszył z fortu na dwie godziny przed zachodem slonca, nie widzac sie juz ponownie z Hamsetem.

Lamparciatko podrozowalo w torbie, ktorej rzemienie Rahotep przerzucil sobie przez ramie. Tylko kapitan je karmil i sie nim opiekowal. I chociaz maluch warczal i prychal na wiekszosc ludzi, zaczal okazywac powsciagliwy szacunek temu, ktory go nosil. Doszlo nawet do tego, ze pozwalal sie glaskac i odpowiednio piescic miedzy uszami i pod szczeka, jak oswojony kot.

Dotarli do Semny dopiero czwartego dnia, chociaz Rahotep przynaglal do szybkiego marszu. Ogromna, zachodnia forteca o dziesieciometrowych murach zostala zbudowana jakies trzysta lat temu. W tamtych czasach faraon rzadzil krajem rozciagajacym sie od uchodzacej do morza delty na polnocy do Kermy na goracych terenach dalekiego poludnia. Teraz Egipt nie mial zadnego krola poza wladca Hyksosow, ktory panoszył sie w delcie, w miescie Avaris, lecz nikt w Nubii nie skladal mu daniny.

Wartownicy stojacy przy bramie powitali ich opryskliwie. Rahotep pomyslal, ze gdyby byli bardziej pewni, na czym stoja, mogliby odprawic ich z kwitkiem. Fakt, ze nie byli niczego pewni, swiadczył takze o tym, ze rowniez Unis nie wiedzial, na ile przyrodni brat moze mu zagrazac - choc zapewne nie spodziewal sie zadnego szybkiego ruchu z jego strony.

Reka Khetiego spoczela lekko na toporze za pasem, gdy rozgladal sie wokol z namyslem.

-To chwalebny czyn, oddac czesc zmarlemu - zauwazyl - lecz nawet Wielcy nie wymagaja, zeby czlowiek wkladal glowe w paszcze dzikiego lwa. Byc moze, trzeba bylo, bracie, wyznaczyc sobie cel bardziej na polnoc od tej twierdzy. - Nozdrza Khetiego rozszerzyly sie, gdy wzial gleboki oddech. - To miejsce czyms pachnie, kapitanie... Uwazaj na siebie!

Zolnierze w fortecy, z dlugimi tarczami pokrytymi rudo-biala, krowia skora, ze swymi wloczniami i procami, stanowili ogromny kontrast dla szczuplych, ciemnych wojownikow pustyni, miedzy ktorymi Rahotep tak dlugo byl. Zlupal sie na tym, ze ocenia ich, jak mogliby sobie poradzić z porannym atakiem zdeterminowanych Kuszytow.

Okrazajac magazyn, zeby dojsc do Sali Sadu, oddzial Rahotepa zatrzymal sie nagle, z

zainteresowaniem i podziwem obserwując lekki pojazd prowadzony powoli w te i z powrotem. Dwiescie lat wczesniej Hyksosi rozbili egipska armie dzieki bezlitosnym szarom rydwanow, przejezdajacych po zdemoralizowanych oddzialach, ktore nigdy przedtem nie zetknely sie z konmi. Od tamtej pory ksiazeta Teb i nomarchowie z poludnia sprawili sobie podobne oddzialy wozow bojowych, lecz w Nubii nadal byly one nieznanne.

Ogier w uprzezy lekkiego, dwukolowego pojazdu potrzasnal glowa i parsknal niecierpliwie, a piora, zdobiace metalowy grzebien na jego lbie, poruszaly sie w gore i w dol.

-To dopiero sposob, zeby dodac nogom skrzydel! - wykrzyknal Kheti. - Umiescic pare rydwanow wzdluz granicy, a Haptke bedzie pokonany, zanim zdazy wymyslic jakas paskudna sztuczke. Ach bracie, ilez orki w piasku zaoszczedzilyby te konie czlowiekowi.

-Zapominasz, ze kola, zeby mogly sie poruszac, potrzebuja jakiejs drogi - zauwazyl kapitan.

Rydwan i jego kon byly faktycznie wspaniale, i w innym momencie chetnie by je dokladnie obejrzal. Teraz jednak najwazniejsza dla jego przyszlych losow byla odpowiedz na pytanie, kto nim powozi.

-Teti jest tutaj - wyszeptane ostrzezenie Methena rozwialo jego watpliwosci.

Zaledwie po sekundzie wahania Rahotep pomaszerowal naprzod, a jego ludzie o krok za nim. Kiedy dotarli do portalu, prowadzacego do sali, znajdujacy sie tam straznik podniosl sie ze swojego siedzenia, wysuwajac swoja palke jak barriere.

Lecz kiedy Rahotep opuscil na nia svoj bicz, mezczyzna zwinnie odstepil z polusmiechem. Bylo jasne, ze podobnie jak straze przy bramie, nie byl jeszcze gotow, by przeciwstawic sie mlodszemu synowi Ptahhotepa.

Wchodzac do glownej sali, uslyszeli podniesione glosy.

-...w imieniu faraona - mowil ktos, polykajac koncowki; byl to akcent, ktory Rahotep slyszal w mowie swojej matki, Hentrego i Methena, akcent ludzi z polnocy.

-Dostojny Ptahhotep udal sie na zachod...

Ten glos rowniez rozpoznal bez cienia watpliwosci. Zmarszczyl brwi. Bedac malym dzieckiem, zawsze czul sie oniesmielony w obecności autokratycznego brata dostojnej Meri-Mut, arcykaplana Anubisa, Pena-Seti. Jako dorastajacy chlopiec nie ufal temu szczuplemu, ciemnemu mezczyznie z fanatycznymi oczyma i zelazna samokontrola. A teraz, w swietle wygnania go z Semny. kapitan przekonal sie, ze jego podejrzwosc miala solidne podstawy.

W czasach chlopiecy Unis rowniez nie okazywal wujowi specjalnej sympatii, lecz teraz

mogli polaczyc swe sily. Upewnial sie w tym przekonaniu, kiedy przyjrzal sie blizej grupie stojacej za pustym tronem na drugim koncu sali.

Rahotep ocenil krytycznie i z nieklamana satysfakcja, ze Unis niezbyt dobrze sie trzyma. Przyzwyczajony do wspaniale umiesnionych cial Pustynnych Zwiadowcow, uznal zaokraglona pulchnosc swego przyrodniego brata za objaw slabosci - ciala, lecz byc moze rowniez woli i ducha. Brzuch Unisa wystawal spoza bogato zdobionego pasa przejrzystej, wierzchniej spodniczki, wkladanej na audyencje, a ciezka peruka, tlusta od perfumowanej oliwy, tworzyła rame poszerzajaca dodatkowo i tak juz szeroka twarz o plaskich rysach.

Unisowi towarzyszył Pen-Seti, ktorego wysoka postac pochylala sie nieco do przodu, jak gdyby byl biegaczem ustawionym na starcie. Prostota jego bialej spodniczki i szala oraz koscisty kontur ogolonej glowy stanowiły wyrazny kontrast z bogactwem Unisa.

Unis, Pen-Seti i ... Teti! Buntowniczy nubijski ksiazę siedzial na taborecie, opierajac sie plecami o jedna z rzezbionych w kwiaty lotosu kolumn. Jego przystojna twarz z blyszczacyimi, czujnymi na kazdy ruch oczami zwrocona byla w kierunku rozgrywajacej sie przed nimi sceny, tak jakby gospodarz przygotowal ja dla jego rozrywki.

Przodem do tego triumwiratu stal ktos nieznajomy. Sadzac po jego stroju, musial byc wysokiej rangi oficerem. Lecz insygnia wienczace jego bicz oraz symbol wymalowany na skorzonym, wzmoznionym pasami brazu pancerzu byly zupełnie nieznane kapitanowi zwiadowcow. Natomiast Methen, ujrzawszy nieznajomego, swisnal przez zęby. Przepchnal sie do przodu, zęby stanac ramie w ramie z Rahotepem.

-Smiesz odmawiac naszemu panu? - z gniewem zapytal obcy, podczas gdy oddzial Rahotepa posuwal sie do przodu.

-To nie tak - odezwal sie Pen-Seti, starajac sie potokiem slow przygniesc sluchaczy. - Wiadomosc, ktora tu przyniosles, byla przeznaczona dla dostojnego Ptahhotepa. I jemu własnie zostala dostarczona. Wywiazales sie ze swojej misji, wielmożny Nerebie, i mozesz to zgodnie z prawda powiedziec tym, ktorzy cie wyslali. Fakt, ze dostojny Ptahhotep nie jest juz zainteresowany sprawami Nubii i Egiptu - nie jest niczyja wina.

-Tak, twoja wiadomosc zostala opieczętowana imieniem mego ojca i dostarczona do jego grobu. - Unis usmiechnal sie chytrze. - W ten sposob wszelkie dyskusje sa zakonczone, gdyz to, co jest przeznaczone dla dostojnego Ptahhotepa, nalezy tylko do niego.

-Trzymacie sie kurczowo kwestii adresata listu, a ignorujecie jego ducha! - Wzrok obcego oficera wedrowal od twarzy do twarzy, zatrzymujac sie na sekunde lub dwie dluzej na ksieciu Tetim. - Strzeżcie sie. jesli faraon bedzie mial na to inny poglad.

-Czy przemawiasz w imieniu Apophisa? - odparowal Pen-Seti. - Bo z tego, co nam wiadomo, polnoca włada krol Hyksosow; a nas nie obchodza rozkazy tego obcego profanatora bogow.

-Mowie w imieniu faraona Sekenenre, Ulubienca Re, który siedząc na wysokim tronie, wyciąga bicz na swych wrogów, a pastoral do swego ludu. Jestem ustami Pana Dwoch Krajów, posłancem Syna Re.

Teti ziewnął. Pozwolił swemu spojrzeniu powędrować na przeciwległą ścianę i z przejęciem artysty zaczął wpatrywać się w zupełnie zwyczajne malowidło, przedstawiające ptaki wśród bagiennych trzcin.

Audycja - jeśli to była audycja - zupełnie niespodziewanie się zakończyła, gdy Unis, omijając wzrokiem obcego, dostrzegł Rahotepa. Jego chytry uśmiešek zmienił się w gniewne skrzywienie. A jego zdumienie i niezadowolony był tak widoczny, że Nereb na pol się obrócił, żeby sprawdzić, kto stoi za jego plecami.

-Co ty tu robisz? - warknął Unis.

-Obowiązek, bracie. Czyż nie przystoi synowi odprowadzić ojca do grobu z wszelkimi honorami? - odrzekł mu Rahotep.

-Mój ojciec jest już pochowany. Spóźniłeś się z wypełnieniem swego obowiązku.

-To twój posłaniec, bracie, się spóźnił; tak bardzo, że wcale nie przybył. Być może spotkał strzałę Kuszytów, zamiast moich ludzi. W Kah-hi rozbojnicy potrafią trzymać się tropu. Niemniej jednak przybyłem, jak widzisz.

-Ale tu nie ma dla ciebie miejsca! Wracaj do swojego Kah-hi, którego nie miałes prawa opuszczać bez rozkazu.

Rahotep postąpił do przodu. Mały lampart otworzył oczy i wpatrywał się bez mrugnięcia w Unisa. Kiedy jego pan podszedł na odległość wloczki do tego ostatniego, wydal z siebie syk. Rahotep bez pośpiechu oglądał brata: od sklezionej perfumami ceremonialnej peruki do tych tłustych stop. które nigdy nie wykonały całodniowego marszu, a następnie od dołu do góry, tak jak mogłoby taksować wzrokiem postawionego przed nim rekruta. Pieć lat temu Unis był jednym z potężnych mężczyzn, którego pewność siebie sprawiała, że Rahotep czuł się kims niższym. Podczas dzisiejszego spotkania Unis nie miał już tej przewagi.

-Nie widzieliśmy twoich strzał, lecących między naszymi, bracie. - Kapitan celowo użył tego poufalego zwrotu, jakby rozmawiał z równym sobie, wiedząc, jak to urazi tamtego. - Ten, który wydaje rozkazy wojownikowi, musi również nosić pioropusz na głowie.

-Zuchwały głupcze, mówisz do wicekrola! - Pen-Seti wyciągnął do przodu długą szyję. Jego ogolona głowa z nosem w kształcie dzioba przypominała leb sepa. - Pilnuj języka, albo ten szlachetny pan zapomni o wieczach krwi.

Unis poczuł się urazony. Nie lubił, jak ktoś inny przemawiał w jego imieniu. Tłuste palce wystrzeliły do przodu i wyrwały bicz z ręki kapitana.

-Nie jesteś już oficerem w mojej służbie, Rahotepie! Zajmij się więc swoimi własnymi posiadłościami, Cieniu Sokola! - wykrzyknął i zaśmiał się tym samym co kiedyś, wysokim rzeniem. - A teraz - jedno słowo gonilo drugie, tak się spieszył, żeby rozprawić się z nimi - posłuchanie skończone - skwitował i obrócił się do księcia Tetiego. - Ogród rozkoszy czeka na nas, panie. - I z reka spoczywająca poufale na szlachetnym ramieniu Nubijczyka opuścił komnatę.

Kheti prychnął.

-Kaczka poczłapała do basenu. Czy mamy teraz twoje pozwolenie, żeby gdzieś pojsć? - zaakcentował podległość wobec Rahotepa.

Młody kapitan zaśmiał się krótko.

-Skoro nie jestem już waszym oficerem, jasno z tego wynika, że nie potrzebujecie już mojej zgody, by gdziekolwiek się udać.

Zgwał pusta reke. To było dziwne uczucie. Zostawienie bicia Hamsetowi byłoby rzeczą naturalną i właściwą. Natomiast nagle pozbawienie go dowództwa przez Unisa wywołało gwałtowny gniew, który nieprędko miał zapomnieć.

-Potrzeba czegoś więcej, niż ozdobny kij w ręce. żeby zrobić z kogoś oficera, panie. I potrzeba kogoś innego, niż dostojny Unis, żeby go zdegradować - odpowiedział łagodnie Nubijczyk.

-Czy ty również jesteś synem dostojnego Ptahhotepa? - wtracił się z ożywieniem Nereb.

-To jest dostojny Rahotep, syn dostojnego Ptahhotepa i dostojnej Tuyi, dziedziczki nomu Uderzającego Sokola - zaczął Methen, lecz Rahotep przerwał mu.

-Jestem Rahotepem, lecz poza tym obecnie nikim więcej, nawet nie jestem już kapitanem Pustynnych Zwiadowców.

-Jednak nie można przestać być synem Ptahhotepa - zauważył oficer. - Czy uważasz, tak jak twój brat, że faraon nie rządzi obecnie w Nubii?

-Jeśli jest ponownie jakiś faraon... Czy w takim razie plotki o tym, że książę Teb wdział podwójną koronę i chce wyruszyć przeciwko Hyksosom, są prawdziwe?

-Tak, to prawda. Posłałem mnie, abym zebrał armię. Tu jednak znalazłem tylko zmarłego, który ma mi odpowiedzieć.

-Twoja wiadomość została dostarczona zgodnie z przeznaczeniem do Ptahhotepa, którego imieniem była opieczętowana. - Rozmawiając, zapomnieli o obecności Pena-Seti. W tej chwili spojrzenie kapłana powędrowało od królewskiego posłańca do Rahotepa.

-Anubis strzeze swojej wlasnosci. - Powiedziawszy to, kaplan ciasniej owinal sobie szal wokol koscistych ramion i odszedl.

-Czy ta wiadomosc zawierala pelnomocnictwo do zbierania wojska w imieniu faraona? - spytal Methen.

-Sadze, ze tak.

Rahotep pogladzil kociaka miedzy uszami i malenstwo wydalo cichy pomruk. W myslach Rahotepa zaczal formowac sie zarys szalonego planu. Cien planu, który miał sluzyc cieniowi władcy. Ale czy odwazy sie go urzeczywistnic? Kapitan usmiechnal sie do Nereba, a nastepnie rzekl:

-W obrebie tych scian moja goscinnosc jest ograniczona, panie. Mimo to nadal roszcze sobie pewne prawa do przebywania w tym palacu. Czy bedziesz moim gosciem tej nocy?

3. W paszcze szakala

Zebralo sie ich czterech w tej malej, pozbawionej okien komnacie, a po drugiej stronie pojedynczych drzwi przechadzalo sie dwoch sposrod lucznikow, którzy towarzyszyli Rahotepowi z Kah-hi. Starszy mezczyzna w stroju pisarza, o zmeczonej, spokojnej twarzy, usiadl na jedynym w tym pomieszczeniu taborecie, opierajac sie plecami o sciane. Byl to Hentre. który wiernie towarzyszył losowi swego nomarchy az do konca i który potem pozostal w obcym kraju, zeby sluzyc swojej pani i jej synowi. Siedzac, uswiadamił sobie powolnosc wlasciwa jego wiekowi wlasnie teraz, kiedy pragnal dac z siebie wszystko.-Zwoj z wiadomoscia zostal ukryty w dzbanie - odezwal sie pisarz.

-I umieszczony w samej komorze grobowej? - dopytywal sie niecierpliwie Rahotep. Gdyby tak bylo. to jego jeszcze bardzo mglisty plan nie mialby zadnych szans powodzenia.

Lecz Hentre i Nereb pokrecili przeczaco glowami.

-Przybylem zbyt pozno - powiedzial krolewski poslaniec. - Wewnetrzna komora grobowa dostojnego Ptahhotepa byla juz zapieczetowana.

-Dlatego tez dzban zostal umieszczony w kaplicy zalobnej przed oknem Obserwatora - zabral znow glos Hentre.

-W kaplicy zalobnej... - Rahotep poruszył sie na stercie mat. Zamknal oczy, probujac wywolac z glebin pamieci obraz miejsca, które odwiedzil tylko raz. a na dodatek rozdzieral go wtedy taki bol, ze niewiele uwagi poswiecil otoczeniu.

Groby miejscowych dostojnikow wykute byly w skalistym zboczcu na zachodnim brzegu rzeki. Znajdowalo sie tam rowniez osiedle tych, którzy spedzali zycie, sluzac zmarlym - ludzi, zajmujacych sie balsamowaniem zwlok, tworcow sarkofagow, profesjonalnych

załobników, kapłanów Anubisa oraz strażników strzegących grobów przed rabusiami.

Grobowiec Ptahhotepa był bardzo okazały, z oddzielnymi komorami dla jego najbliższej rodziny i labiryntem przejść - przeważnie ślepo zakończonych - zaprojektowanym dla udaremnienia rabunków. Jego zapieczętowane i ukryte wejście blokowała kaplica żałobna, płasko przyklejona do zbocza. Służyła ona do składania ofiar w imieniu tych, którzy spoczywali wewnątrz grobowca.

-Trzeba dokonać tego dziś w nocy - kapitan otworzył oczy.

Hentre zadrzał i podniosłszy w protestie rękę, rzekł:

-Oni są przygotowani na takie posunięcie, panie. I posłuży im to za pretekst, którego szukają, żeby cię upokorzyć.

Rahotep podniósł się na nogi.

-Pojdę sam. Coż mogą zarzucić synowi, który przyszedł odwiedzić grob ojca?

Methen przytaknął, lecz Hentre, pełen obaw, nadal krecił głowę.

-Jeśli pojedziesz sam, panie, to mogą i z pewnością przypisać ci występki jakiegokolwiek zechca - zaczął pisarz. - I ktoż mógłby świadczyć na twoją korzyść? Pozwól mnie...

-Nic z tego! - Kheti również wstał i szeroko rozłożył ramiona.

-Ja noszę tarczę mego pana w czasie bitwy, a to zadanie przypomina bitwę. Czy zaraz się wybierasz, bracie?

-Pojdę sam - powtórzył z uporem kapitan. - Jam jest syn Ptahhotepa. Jeśli ja zabiorę to, co było opieczętowane jego imieniem, być może Obserwator to zrozumie. Jeśli pojedziemy w kilku, z zamiarem kradzieży, wtedy w pewnej mierze będzie można nazwać nas tak, jak oni by chcieli - rabusiami grobów.

Na to kategoryczne stwierdzenie Kheti wezwał, choć bez przekonania. Amona-Re. Jako Nubijczyk w momentach napięcia zwracał się zwykle do boga swojej rasy - Deduna. Jego obyczaje zdecydowanie odbiegały od praktykowanych w Dwoch Krajach, poza chwilami, kiedy podporządkowywał się zwyczajom armii, z jej egipskimi wpływami. Potrafił jednak zrozumieć wiare w Obserwatora, który mieszka w grobowcu i wygląda na świat przez okno w kaplicy. Choć Rahotep uważał, że to, co zamierza zrobić, jest bliskie świątokradztwu i, w razie wykrycia, z pewnością tak zostanie nazwane, to jednak, myślał, że mógłby uzyskać przebaczenie Obserwatora - był tego pewien, tak samo jak i tego, że jest to zadanie tylko dla niego, obowiązek, którego z nikim nie może dzielić.

W końcu udało mu się przełamać opór Khetiego, chociaż Nubijczyk uparł się, że będzie go

eskortowac az do posterunkow przed nekropola, miejscem umarlych.

W niektórych domach wioski migotaly jeszcze lampy. A urwisko, ze swym wzbudzajacym groze rzedem grobowcow i kaplic, tworzylo na niebie czarna linie, laczac jedna ciemnosc z druga.

-Patrole wypija dzis morze pogrzebowego wina - powiedzial Kheti. - Co prawda Unis obszedl sie nieprzyzwoicie z dostojnym Ptahhotepem. odprowadzajac go tak szybko do innego domu, ale nie poskapil na swietowanie. Moze sie tak zdarzyc, ze z pustyni przybieda jakies istoty. by skorzystac z darow ofiarnych. Trzymaj w pogotowiu swoj sztylet, bracie, i bacznie przygladaj sie kazdemu cieniowi.

Rahotep trzymal sie pasa cienia, lecz nie skradal sie. Postanowil, ze w razie natkniecia sie na kaplanow lub patrol, bedzie domagal sie eskorty do kaplicy. Takie pechowe spotkanie przeszkodziloby wprawdzie w realizacji jego planu, ale moglby chociaz ocalic zycie.

Nekropolia przypominala pustynie. Nie slychac bylo nawet najcichszego powiewu wiatru w koronach palm czy trawie. Cienie skal niczym dlugie, czarne palce lub wygrazajace piesci kladly sie w poprzek jego drogi. Jakis szakal wyl do wschodzacego ksiezycy. Prawa reka Rahotepa spoczywala powyzej serca, wciskajac bolesnie w cialo amulet w ksztalcie sokola, ktory nosil na lancuszkuz na szyi. Anubis-Szakal strzeze bram Zachodu. Natomiast Horus-Sokol lata ponad pustynna ziemia, gdzie szakal musi wedrowac w kurzu. Dzis w nocy Rahotep byl przekonany, ze bardziej musi obawiac sie zlych zamiarow ludzi, niz gniewu Wielkich.

Podeszwy sandalow zaszuraly, gdy szedl po kamiennym chodniku, prowadzacy w gore, do kaplicy. W powietrzu unosil sie zapach kadzidla i wiedzacych kwiatow, ktory stawal sie coraz bardziej intensywny, w miare jak kapitan posuwal sie naprzod. Przed soba widzial blask lampy, malej lampy-miseczki zapalanej na stolach ofiarnych. Przystanal na chwile, nasluchujac. Taka mala lampka musiala byc czesto napelniana, a wiec mozna bylo spodziewac sie obecności obsługujacego ja kaplana, chyba ze akurat przed chwila odszedl. A nie bylo innego sposobu, zeby wejsc do kaplicy, niz droga, na ktorej akurat sie znajdowal - ani kryjowki, z ktorej moglby obserwowac otoczenie! Rahotep strzasnal z nog sandaly, nie tylko z szacunku do tego miejsca - naga noga na kamieniu czy piasku robila mniej halasu.

Stanal teraz pomiedzy dwiema plytami z czerwonego granitu, tworzacy mi wejście. W dusznym wnetrzu zapach darow ofiarnych przerodzil sie niemal w fetor. Odrobina swiatla tanczyla na pomalowanych scianach, ozywiajac i zabarwiajac niektore twarze lub nadajac znaczenie inskrypcji. Nie dostrzegl jednak zadnego kaplana na posterunku.

Rahotep odwrocil sie powoli twarza do zachodniej sciany, wypatrujac w tym slabym swietle kwadratowego otworu, ktory musial sie tam znajdowac. Poczul nagle suchosc w ustach. Rece mu zwilgotnialy i musial je wytrzec w spodniczke. Tak samo czul sie podczas swego pierwszego ataku na wioske Kuszytow. Mimo wszystko zrobil krok do przodu.

I właśnie ta zmiana pozycji pozwoliła mu dojrzec błysk światła odbitego wewnątrz szukanego okna. Nie mając innego wyjścia, Rahotep podniósł lampę z gniazdka utworzonego przez zwiedle girlandy i podniósł ją dostatecznie wysoko, żeby dojrzec surowe rysy dobrze znanej mu twarzy. Rzeźbiarz Ikudidi był prawdziwym artystą. Wykuł w kamieniu nie tylko zewnętrzne kształty Ptahhotepa w kwiecie wieku, lecz udało mu się również uchwycić jego charakter. Rahotepowi zaparło dech w piersi. To... - to był jego ojciec! Potem, wraz z nagłym poruszeniem płomienia migoczącej lampy, to wrażenie minęło. Widział przed sobą wyłącznie wybitne dzieło sztuki; człowiek zniknął.

Inkrustowane oczy błyszcząły w świetle, usta ułożone były w łagodną linię półśmiechu: Ptahhotep obserwował tych, którzy przychodzili, by dać wyraz pamięci. Rahotep, drżąc, odstawił lampę na miejsce, zauważając, na wpol świadomie, że była już bliska całkowitego wypalenia. Zawsze będzie wierzył, że nie tylko wyrzeźbiony Obserwator powitał go w tej chwili objawienia.

Złożył przed kamienną podobizną pokłon wojownika należny dowodcy. Potem rozejrzał się wokół, w poszukiwaniu tego, po co przyszedł. Zgodnie z opisem Hentrego, miała tu stacja, wzięta w pośpiechu z zapasów kupca handlującego kanopami. Powinna mieć głowę szakala jako zamknięcie. Nagle ujrzał ją na ołtarzu, pomiędzy dwoma pucharami do wina! Właśnie wyciągał po nią rękę, kiedy wstrząsnął nim ryk wściekłości i gniewu, dochodzący z tyłu.

Uratował go szybki refleks, nabyty w pełnym niebezpieczeństwie życia pogranicza. Wyczuł raczej, niż dostrzegł, postać rzucającą się na niego od strony wejścia. Miał tylko tyle czasu, by odeprzeć ten atak i objąć wroga zapasniczym chwytem, którego nauczył się podczas ćwiczeń luczników. Plotno - szal, albo długa spodniczka kapłana - rozdarło się z głośnym trzaskiem. I w tym momencie lampa zgasła.

Rahotep wyteżył wszystkie siły i zepchnął z siebie przeciwnika. Zaczął po omacku przeszukiwać ołtarz, zrzucając z niego w tym pośpiechu ofiary i natrafiając palcami na jedzenie i zwiedle girlandy. Wreszcie poczuł pod ręką głowę szakala i w chwili później dzban znalazł się w kurczowym uścisku jego ramion.

Napastnik jednak miał równie szybki refleks, gdyż jego podniesiony głos, wzywający pomocy, grzmiał w drzwiach od kaplicy. Mogło to spowodować straż, a Rahotep nie miał nic na swoją obronę w obliczu zrujnowanego ołtarza.

Rzucił się więc, prowadzony przez promień księżyca, do drzwi. Na jego nieszczęście kapłan był odważny i silny w swoim słusznym gniewie. Czekal w gotowości, a Rahotep, trzymający w rękach dzban, mógł tylko krawędzią dłoni rabnąć go w szyję. Była to barbarzyńska sztuczka, której Kheti nauczył się od pewnego żeglarza i która, jak przysięgał, mogła być śmiertelna.

Ostry ból przeszył ramię Rahotepa, lecz jednocześnie kapłan osunął się, wypuszczając z

brzekiem sztylet z reki na posadzkę. Zanim strażnik grobu był w stanie podnieść się na nogi, kapitan pedził już ile sił, oddalając się od drogi zmarłych w stronę otwartego terenu, mając zaledwie blade pojęcie o okolicy przed sobą.

Widać już było pochod plonących pochodni poruszający się po wiosce, w której mieszkali ludzie obsługujący groby. Rahotep z pogardą słuchał okrzyków straży. Gdyby on tam dowodził, byłoby znacznie mniej hałasu, a więcej sprawności w rozciąganiu sieci ludzi, mających schwytać zbiega. Lecz powinien dziękować Morusowi, że tamci byli takimi partaczami.

Przez kilka minut biegł lekko, uskrzydłony swoim początkowym szczęściem. Potem zaczął zdawać sobie sprawę z krwi spływającej mu z boku po zgietej rece i kanapie, która w niej piastowała. Natrafił bosą stopą na ostry kamień i wzdrygnawszy się z bólu, wykrecił sobie kostkę, tak że jego równe susy przeszły w kustykanie.

Wszędzie dookoła kusily go liczne kryjówki, lecz nie znalazł terenu tak dobrze, jak jego przesładowcy. Mogło się przecież zdarzyć, że schroni się w pulapce. Lepiej więc było posuwać się dalej, nawet tym niezdarnym krokiem. Ścieżka, którą obrał, oddalała go od urwiska, skrecając w stronę rzeki. W tej chwili ujrzał w przelocie kolyszacę się przed nim pochodnię. Czyżby odkryli Khetiego? Watpiał, żeby jakikolwiek strażnik grobowy mógł dorównać nubijskiemu zwiadowcy w sztuce tropienia, zwłaszcza w nocy. Był jednak przekonany, że Kheti nie opuściłby okolicy nekropolii, dopóki nie byłby pewien, że nic już nie zagraża kapitanowi.

Rahotep oparł się przez chwilę o skalny występ i zmusił się do logicznego myślenia. Nie chciał w takim stanie ryzykować powrotu do Semny. Udanie się do któregoś z willi dostojników na peryferiach warowni równoznaczne byłoby z proszeniem się o areszt. Z tego, co wiedział, na tym terenie jedynie Methen i Hentre byłiby skłonni udzielić mu pomocy i schronienia, nikt natomiast nie mógł ochronić zbiega przed władzą Unisa.

Jego trasa zaczęła przypominać zygzak, gdyż posuwał się od jednego wystającego kawałka skały do drugiego. I mimo całej determinacji, by podążyć dalej, robił przy każdym występie skalnym coraz dłuższe przerwy, w czasie których próbował dojść do siebie. Linia pochodni wzdłuż rzeki sięgała obecnie niemal do zewnętrznych bram Semny. Za kilka chwil i ten azyl zostanie przed nim zamknięty. Rahotep wysilił pamięć, przywołując obraz wielkiego fortu, odosobnionych willi i całego terenu, który rozciągał się przed nim na północ. Jego niepewność rosła. Jeśli będzie podążał w tym samym kierunku, to zostanie odegnany od rzeki i zapedzony w zarosła, odgraniczające właściwą pustynię. Wtedy beda mogli go wytropić, kiedy tylko zechcą.

Przycisnął mocno prawą ręką pulsującą ranę na ramieniu, próbując zatamować ciągle upływ krwi. Kapłanowi nie udało się go zabić, ale ugodził go dotkliwiej, niż sądził. Teraz, kiedy Rahotep obserwował te pochodnie, wydawały się one kolysać i krzącać jak zbudzone ptaki w powietrzu, a jego płuca z trudem radziły sobie z wysiłkiem, do którego się zmuszał.

Ale nadal mocno obejmował zapieczetowany dzban.

Kiedy zaklinował się w kacie utworzonym przez dwa kamienne bloki, wykorzystując je jako podpory, żeby utrzymać się na nogach, usłyszał nowy dźwięk - gniewne skrzeczenie pawiana sygnalizujące naruszenie jego terenów łowieckich. Rahotep pokręcił głową - pawian? Zamroczenie, które najpierw zaatakowało mu wzrok, teraz pogmatwało myśli. Pawian... - to coś oznaczało.

Wreszcie wzmocnionym wysiłkiem odzyskał przytomność umysłu. Kheti! Było to ostrzeżenie Khetiego z czasów, gdy byli jeszcze małymi chłopcami, wymykającymi się nauczycielowi Rahotepa. Czując zatem fale ogromnej ulgi, szepczał cicho w odpowiedzi. Cień - szerszy i silniejszy niż jakikolwiek inny cień - podpłynął do niego i w tym momencie otoczył go pewny ucisk mocnych rąk. Wzdrygnął się, czując dotyk na ramieniu.

-Ostrożnie, udało im się naznaczyć mi skóre - powiedział, niemal śmiejąc się z ogromnej ulgi.

Komentarz Khetiego skierowany do Deduna był raczej przekleństwem niż modlitwą.

-Czy wiesz, gdzie jesteśmy? - spytał Rahotep.

-Blisko świątyni Amona-Re, bracie. A oni są pomiędzy nami a Semna i rzeka.

-Amon-Re! - Rahotep wyprostował się. Obudziła się w nim nadzieja, mała i wątła, ale jednak nadzieja.

Amon-Re był patronem Teb, a kapłani z Jego świątyni utrzymywali w przeszłości ścisłe kontakty z tym miastem, będącym wtedy stolicą Egiptu. Czy nie poparliby rządzącego tam obecnie faraona?

Anubis był silny, lecz Amon-Re znacznie przewyższał go swą mocą. Wiele zależało od tego, kto był teraz arcykapłanem Amona-Re - człowiek niesmiały lub taki, który nie chciałby wdawać się w spor z Unisem i Penem-Seti, na nic by się tu nie zdał. Z drugiej strony, Głos Amona, strzegący zazdrośnie strefy swych wpływów, mógłby z radością powitać okazję przeciwstawienia się Penowi-Seti. Był to z pewnością krok ryzykowny, lecz przecież całe to przedsięwzięcie było rzucaniem patyczków w obliczu Wielkich.

-Pojdziemy do świątyni! - Rahotep odepchnął się od skały. Uchwycił się ramienia Khetiego, żeby odzyskać równowagę, a potem ponaglił, żeby już ruszali. Kto jest teraz Głosem Amona? Tak wiele zależało od odpowiedzi na to proste pytanie. Przez pięć lat, które upłynęły od czasu, gdy opuścił dwór wicekrola, mogło tu zajść wiele zmian.

Lampa w kaplicy świątyni była większa i jasniejsza niż ta w kaplicy zalobnej. Lecz ciemne wnętrze wydawało się Rahotepowi tak samo opustoszałe, gdy z pomocą Khetiego wspinał się chwiejnie po stopniach, a potem, zataczając się, szedł wzdłuż głównej nawy.

W grobowcu patrzył na wyrzeźbiony wizerunek Obserwatora. Tutaj stanął przed nadnaturalnej wielkości, koronowanym krolem, z Podwojną Koroną na głowie i berłem z tarczą słoneczną w ręce. Kapitan resztkami sił złożył hold przed tą podobizną, klęcząc na zimnym kamieniu i popychając przed sobą dzban w pełny blask światła, padający od ołtarza.

-Kim jesteś ty, który zakrwawionymi rękami przynosisz dary do miejsc poświęconych Wielkim? - Postać, którą Rahotep uważał za drugiego posąga, przemówiła i przesunęła się do przodu, dzięki czemu kapitan dostrzegł kaplanski szal na jej ramionach.

-Khephren! - rozpoznał kapłana niemal z osłupieniem.

-Tak, Khephren. A ty, który potajemnie skradasz się wśród nocy, co tu robisz?

Kapitan wykonał swój ruch i patyczki upadły niekorzystnie dla niego. Głosem Amona był Khephren, człowiek niezwykle surowy, o wielkiej i uznanej wiedzy, lecz równocześnie człowiek, który od dawna odseparował się od wszelkich związków z rządem Nubia i który odwiedzał pałac wicekrola tylko wtedy, kiedy wymagał tego protokołu. Był to człowiek, o którym nigdy nie słyszano, żeby brał udział w jakichkolwiek wewnętrznych sporach. Rahotep, z rozpaczą w głosie, odpowiedział na jego pytanie:

-Jestem Rahotep, syn Ptahhotepa.

-I, sądząc według tego - kapłan Amona wskazał kanopę, a jego cichy głos zmroził był odrazą - rabusa grobowca.

-To nie tak - zareplikował Kheti, kiedy Rahotep nie był w stanie się odezwać. - Dostojny Rahotep poszedł tylko po to, aby odzyskać pismo faraona; żeby wezwanie naszego Pana do służby u niego stało się wszystkim znane. Nie obrabował żadnych grobowców, chociaż znajdują się tacy, którzy wysuną przeciw niemu to oskarżenie. I odniósł ranę, którą trzeba się zająć.

-Chyba nie wszystko rozumiem z twojej opowieści - odrzekł Khephren. - Pozwól temu rabusiowi grobowca samemu się bronić.

Rahotepowi udało się wreszcie znaleźć słowa, wystarczające do przedstawienia suchej relacji z nocnych wydarzeń. Być może prostota tej opowieści była przekonująca, gdyż Khephren wysłuchał jej do końca, bez przerywania.

-I wtedy przyszliście tutaj. Dlaczego? - zapytał na koniec.

-Dlatego, że Ten-Który-Podrozuje-Po-Niebie opiekuje się z góry Tebami, a faraon jest Jego synem. Czy ojciec powinien zwracać się przeciwko synowi? - Coś natchnęło go do wypowiedzenia tych słów.

Potem ściany świątyni dziwnie się pochyliły i Rahotep zaczął osuwać się na bok, dopóki

Kheti go nie złapał.

-Kapłanie - warknął Nubijczyk - mój pan umrze, jeśli nie udzielicie mu pomocy. A wtedy, być może i inni będą musieli zginąć.

Twarde rysy Khephrena nie uległy zmianie. Stał w tej chwili nad Rahotepem, bardziej bezlitosny w osadzie, niż posąg boga stojący za nim. Przez bardzo długą chwilę patrzył w dół na zranionego mężczyznę. Potem klasnął w dłonie, a ostry dźwięk odbił się w świątyni słabnącym echem. Z mroku wyłonili się jacyś ludzie i Rahotep, pozostający nadal w uścisku Khetiego, zaczął się szamotać. Zostaną teraz wyrzuceni ze świątyni i oddani scigającym.

-Obejrzyjcie rany tego młodzieńca - rozkazał Khephren. - I - schylił się, by podnieść poplamioną krew kanope, po czym wręczył ją podwładnemu - umieśćcie to na głównym ołtarzu, pod ochroną Wielkiego; ma pozostać pod Jego opieką, dopóki taka jest moja wola.

Rahotep uspokoił się w ramionach Khetiego. Na razie jego ryzykowne posunięcie powiodło się. Udzielono im azylu w imieniu Amona-Re.

Jakiś czas później leżał na wysokim, wąskim łożu, zaciskając pięści, podczas gdy świątynny lekarz szukał rany i obficie polewał ją palącym olejem palmowym, zanim ją obandażował. Rahotep, chcąc zachować pełną świadomość, odmówił wypicia zaleconego mu przez lekarza usypiającego napoju z nasion maku. Kiedy Khephren wszedł do małej komnaty, kapitan unosił się na łokciu.

-Jaka jest twoja wola, co z nami poczujesz, Głosie Amona? - niepewność sprawiła, że ton Rahotepa był ostry i wymagający.

-Powiedz raczej, chłopcze, jaka jest wola Amona-Re co do nas wszystkich - skarcił go arcykapłan.

Nawet w tym osłabionym, zamroczonym stanie, Rahotep wyczuł, że było to coś więcej niż konwencjonalna odpowiedź kapłana. Patrzył w surową twarz z małostkowością jęńca wojennego, starającego się odczytać z ruchu brwi swojego zwycięzcy życie lub śmierć. Kapitan zauważył, że Głos Amona nie był ubrany w swój zwykły strój, składający się z płociennego szala i spodniczki, lecz miał na sobie spodnie i wierzchnią ceremonialną spódnicę, a szal zastąpiła skóra lamparta, której zwisająca lapa o złożonych pazurach trzymała ozdobiony klejnotami pas. Czy to dzień jakiegoś ważnego święta, zastanawiał się w oszłomieniu Rahotep. Ale przecież nie nastal jeszcze świt - chyba, że noc ustąpiła tak szybko.

Khephren skinął ręką i czterech niższych ranga kapłanów stłoczyło się w komnacie, by podnieść w górę łożo Rahotepa, jak gdyby to była lektyka dostojnika. Kheti wysunął się z narożnika, w którym kucal, jakby chciał zaprotestować, lecz kapitan uciszył go gestem. Na coś się zanosilo, lecz Rahotep zaczynał ufać arcykapłanowi. On sam zrobił wszystko, co mógł. Rezultat będzie zależał od Amona-Re i Jego Głosu.

Loze zostalo wyniesione na miejsce przed oltarzem. Poza zewnetrznymi rzedami kolumn widac bylo szarosc przedswitu. Kiedy kaplani opuscili loze na dol, nieco na lewo od posagu Amona, Kheti na kolanach przysunal sie do loza, wspierajac Rahotepa ramieniem, tak zeby kapitan mogl dokladnie widziec wszystkich tu zebranych.

Rahotep ujrzal wprawdzie Pena-Seti, ktorego poniekad sie spodziewal i Uni-sa - ze wsparciem gwardzistow oraz kaplanow Anubisa. Naprzeciw nich ustawila sie mniejsza grupka, w ktorej dostrzegl Methena, Hentrego i Ne-reba, z dwoma lucznikami dla zwiekszenia sil.

Khephren zajal swoje miejsce przed glownym oltarzem. W rece trzymal sistrum ze zlotych drucikow i turkusowych paciorkow, ktore rozkolysane, wydalo slodkie brzezzenie. Jeden z kaplanow rzucil proszek na kadzielnice i blekitne spirale kadzidla zaczely wic sie w gore jak leniwe weze.

-Glosie Amona! - to odezwal sie Pen-Seti, ktorego sylwetka na tle sciany przypominala sepa. - Wydaj nam tych rabusiow grobow, wydaj tych bluzniercow Wielkim, zeby Anubis mogl postapic z nimi zgodnie z prawem.

Twarz Khephrena byla pozbawiona wyrazu, lecz Rahotep, bacznie mu sie przygladajacy, dostrzegl leciutkie mrugniecie okiem w swoim kierunku i olsnilo go, zrozumial to, co arcykaplan sugerowal mu wczesniej. Opierajac sie na Khetim, podniosl sie do zgarbionej pozycji i wyciagnal jedna reke w strone oltarza, na ktorym nadal nie ruszony spoczywal poplamiony krwia dzban.

-Odwoluje sie do osadu Amona-Re. Niechaj Wielki, w swej wiecznej madrosci, osadzi slusznosc lub nieslusznosc moich uczynkow! - zawolal.

-Do Amona-Re zwraca sie ten czlowiek, do Amona-Re nalezy osad! - poparły go sprzyjajace mu glosy.

Usta Pena-Seti wykrzywily sie, a rece szarpnely szal. W stosunku do kogos mniej waznego niz Khephren moglby wyrazic protest, widoczny w tej chwili w kazdym ruchu jego ciala. Lecz jakos tutaj i teraz, po prostu nie potrafil mu sie sprzeciwic. Nigdy w przeszlosci nie bylo miedzy nimi zadnej proby sil, a w przeciagu tych lat Glos Amona osiagnal pozycje, ktora oniesmielala innych kaplanow.

-Do Amona-Re nalezy osad! - Ta wyrazona pelnym glosem zgoda dobiegla od strony przyjaciel Rahotepa, a kilku sposrod poplecznikow Unisa niechetnie skinelo glowami.

Khephren zakrecil sistrum, na co dwoch kaplanow Amona wnioslo maly, drewniany relikwiarz - niezmiernie stary i niezmiernie swiety, gdzy zawieral Amona-W-Drodze, Amona podroznych, przywiezionego z Teb przez pierwszego faraona, ktory przylaczyl Nubie do Egiptu.

Głos Amona padł na twarz przed relikwiarzem, potem podniósł się i złamał pieczęć na jego zamknięciu. Wyjął z wnętrza starożytny posazek i trzymał go obiema rękami w gorze nad głową. A wszyscy, którzy na to patrzyli, zarówno dostojnicy, jak i strażnicy, rzucili się na kolana i przesłoniли oczy prawą ręką.

Rahotep usłyszał w tej ciszy słaby odgłos bosych stop Khephrena na kamieniu, zbliżający się do jego łoża. Mimo to trzymał głowę pochyloną, a oczy miał zakryte. Potem doszedł go syk wciąganego oddechu, cichy pomruk i osmielił się podnieść wzrok do góry.

Khephren stał tuż przed nim. Krople potu pokrywały jego czoło. Miał wygląd człowieka napreżonego do granic fizycznej wytrzymałości. Potem, powoli, jego ręce zaczęły się opuszczać, jak gdyby stary, drewniany posazek, który trzymał w wyciągniętych na całą długość ramionach, przejął ciężar granitowego wizerunku stojącego za ołtarzem.

W dół, w dół - dłonie Khephrena były na wysokości ramion, niżej, niżej - całe ciało kapłana pociągał do przodu ciężar tego, co trzymał. Zanim statuetka dotknęła podłogi, arcykapłan ostatnim ogromnym wysiłkiem wykonał częściowy obrót. Był teraz odwrócony od Rahotepa i zmierzał, centymetr po centymetrze, w kierunku kapłanów Anubisa. Posuwając się, raz jeszcze zaczął podnosić posazek, a kiedy stanął twarzą w twarz z Penem-Seti, trzymał go znowu wysoko ponad swoją głowę. Przez dłuższą chwilę stał w tej pozycji, ale wizerunek ani drgnął. Wtedy przemówił:

-Amon-Re wydał swój wyrok. Młodzieniec należy do Amona. I Amon spróbuje to, co uczynił.

Odwrocił się ponownie, by pośpiesznie złożyć Amona-W-Drodze z powrotem w relikwiarzu. Potem podszedł do głównego ołtarza i unosił dzban. Szybkim ruchem roztrzaskał glinę o kamień i wyciągnął zwoj papyrusu. Powoli rozwinał go, pokazując wszystkim.

-Oto są słowa faraona, Syna Amona-Re, tego, który dzierży bicz na swoich nieprzyjaciół i pastora dla swego ludu. Niech nasze uszy będą otwarte na słowo faraona, z woli Amona-Re.

4. Coż znaczy dla nas Teby?

Rahotep starał się z wzmoczoną uwagą słuchać słów, wydobywających się z ust arcykapłana. Zwoj zawierał - tak, jak sadzili - rozkaz, aby wicekról faraon wysłał na północ kilka pułków, które od pokoleń ulokowane były w nubijskich fortach - Dume Amona, Obrone Ptaha, Włocznie Sachmet. Z jakich starych rejestrow wymarłych dynastii wybrali te nazwy? - zastanawiał się sennie Rahotep. Być może, kiedyś stacjonowały one w Semnie, lecz nie teraz. Unis, słuchając tej listy, był wyraźnie rozbawiony. Uśmiechnął się, szczerze tym razem, do Nereba i po chwili powiedział drwiaco:

-Rozkaz faraona z Teb musi być spełniony. Zbierz Dume Amona, Obrone Ptaha i Włocznie

Sachmet, a ja osobiscie wyekwipuje je z moich magazynow. Tak, zaopatrze ich oficerow w rydwany, ich ludzi we wspaniale luki, a ich kolczany w bogactwo strzal. Wezwij ich przed nasze oblicze, poslancu faraona, a wszystko bedzie zrobione dokladnie tak, jak to mowie w tym Swietym Miejscu Amona.

Zaklopotany Nereb spojrzal na Methena, szukajac u niego pomocy. Stary wojownik przygladal sie Unisowi z zawzietoscia, z zawzietoscia czlowieka wywiedzionego w pole. A nastepnie odpowiedzial oficerowi z polnocy.

-Ten zwoj zostal opracowany dawno temu. Nie slyszelismy tu od najazdu Hyksosow na Egipt o takich pulkach. Nasze wojska w Nubii to glownie tubylcze oddzialy pomocnicze i Pustynni Zwiadowcy.

-Tak - dodal Unis - wezwij kosci z grobowcow, zeby maszerowaly na polnoc, jesli chcesz - ty, ktory mowisz w imieniu faraona. W zadnym innym wypadku nie dostaniesz takich wojownikow z Krainy Luku.

-Ale przeciez macie pod dostatkiem ludzi - po raz ostatni zaprotestowal Nereb. Na pewno musial byc swiadom, ze robi to na prozno. - Czyz nie jest to Kraj Luku? Slawa waszych lucznikow jest powszechnie znana. Dajcie mi oddzial lucznikow z pulku Pustynnych Zwiadowcow i drugi oszczepnikow z waszej fortecy zamiast tych, o ktore prosil was faraon.

Unis powoli pokrecil glowa i odrzekl:

-Faraon prosil mnie o trzy pulki, ktorych nazwy wymienil. Tych trzech nie mam i zaden zyjaczy czlowiek nie moze ich poprowadzic do ataku. Kraina Luku jest broniona przez swoich synow; Kuszyci wciaz najezdzaja na nasz kraj, by go pustoszyc, wiec nasze strzaly powinny byc wypuszczane przeciwko nim. Jaka krzywde Hyksosi kiedykolwiek wyrzadzili Nubii, zebysmy teraz na nich wyruszali? Zapytuje cie, panie, czymze sa dla nas Teby, zebysmy przelewali nasza krew w ich obronie, w ich odleglych wojnach!

Z otaczajacej go grupy dal sie slyszec szmer uznania. Pen-Seti wyrazal swa aprobate, energicznie potakujac glowa.

-Faraon rozkazuje... - zaczal Nereb. Unis natychmiast go poprawil:

-Ksiaze, ktory zasiada na tronie w Tebach rozkazuje, ale czy jego wladza rozciaga sie na caly Egipt? Krol Hyksosow, Apophi, mialby pare slow do powiedzenia na temat takiego roszczenia. Ani jeden czlowiek nie wyruszy z Nubii, zeby walczyc za Teby!

Rahotep wyciagnal sie w gore i znalazl w koncu odpowiednie slowa.

-Niezupełnie, bracie. Jeden czlowiek wyruszy...

Unis obrocil sie tak gwałtownie, ze przejrzysta, plisowana wierzchnia spodniczka

zawirowala jak szarfa tanczacej dziewczyny.

-Nie przemawiaj tak glosno, rabusiu grobow - warknal. - Jesteś niczym mucha lazaca po podlodze - bzyknij tylko, a rozdusi cie sandal. Ale jesli masz ochote, jedz na polnoc; bedziemy zadowoleni, uwolniwszy sie od ciebie.

Pen-Seti dotknal jego ramienia i zblizył ogolona glowe do wymyslnej peruki tamtego, szepczac mu jakies sugestie, a oczy natretnie wbil w Rahotepa.

-Dwoch ludzi - odezwal sie Methen. A Kheti, usmiechajac sie cmoknal ustami jak ktos, kogo czeka uczta.

-I jeszcze jedenastu. Wszyscy lucznicy Pustynnych Zwiadowcow - dorzucil po chwili do puli.

Lucznicy, ktorzy przyszli z Methenem, z zapalem wyrazili zgode. Unis zapanowal juz nad soba. Zignorowal Rahotepa i zwrocil sie do Nereba:

-Otrzymales juz odpowiedz, panie. Przykro nam, ze nie mozemy wyslac pulkow, o ktore twój faraon nas prosil, gdyz nie ma takich oddzialow w granicach Nubii. Jednocześnie, skoro nie masz ze soba rozkazu rekrutacji, nie mozesz jej przeprowadzic. Najlepiej bedzie, jesli jak najszybciej pospieszysz z powrotem do Teb, na wypadek, gdyby twój pan uwzględnial w swych planach sily, ktorych nie dostanie i wdal sie pochopnie w jakies ryzykowne przedsiwziecie.

Nereb zaczerwienil sie, dobrze odczytujac zuchwalstwo kryjace sie pod tymi slowami. Niestety, jednoznaczność krolewskich rozkazow ziazala mu rece i zmuszony byl stac w milczeniu, gdy Unis i jego ludzie wychodzili, triumfujac.

Methen przysunal sie do boku loza i zwrocil sie do Rahotepa:

-Ciezko zostales zraniony, chlopcze?

-To tylko male drasniecie - kapitan szybko zbagatelizowal rane.

-Stracil duzo krwi - poprawil go Kheti. - Wielmozny Methenie, przyszlo mi na mysl, ze jesli chcemy osiagnac swoj cel i dostac sie do Teb, to musimy zrobic to szybko, zanim pozostali zastawia na nas jakies sidla.

Methen przywolal gestem oficera z polnocy, a do Khetiego rzekl:

-Wyslij jednego z lucznikow, zeby przyprowadzil tu reszte swoich ludzi, gotowych do marszu, o ile sa zdecydowani przyjac sluzbe gdzie indziej.

Nubijski podoficer chrzaknal i odpowiedzial:

-Panie, oni sa wojownikami. Co to za roznica, czy beda przemierzac nadgraniczne piaski, czy pola na polnocy? A wesze wiecej lupow w tym wypadzie przeciw Hyksosom, niz w jakiejkolwiek dziurze Kuszytow!

Nereb podszedl do Methena akurat w tym momencie, kiedy Kheti wysylal jednego z ludzi z powrotem do fortu z rozkazem, zeby zebrał swych towarzyszy i ich bagaze, ktore przyniesli ze soba z Kah-hi.

-Tak wiec - Methen zwrocil sie do krolewskiego poslanca - czy przyjmujesz nas w sluzbe faraona na zasadach okreslonych w kodeksie wojownika?

Nereb spojrzal przez ramie w kierunku Glosu Amona.

-Czy ten, ktory przemawia w imieniu Re, bedzie swiadkiem w miejsce faraona?

Khephren nie od razu odpowiedzial. Switalo juz, chociaz pierwsze promienie slonca nie ukazaly sie jeszcze ponad wzgorzami na wschodzie. Kaplani ze swiatyni zbierali sie na poranny "Hymn Przebudzenia". Arcykaplan przesuwal w palcach zwoj papirusu.

-Ta pora nalezy do Amona-Re - powiedzial. - Zaczekajcie na swoja kolej.

Odezvalo sie sistrum; z portyku wzywajac trebacz Wielkiego. Rahotep razem z innymi pochylil swa zamroczona glowe i usilowal dopasowac jedno slowo piesni do drugiego. Byl jednak szczesliwy, ze Kheti umiescil go z powrotem na lozu, kiedy dym kadzidla poplynal w gore, a jasne strumienie wschodzacego slonca zalaly niebo.

Jakis czas pozniej - czas wydawal mu sie teraz pojeciem bardzo mglistym - wlozono mu cos pod reke. Jego palce wyczuly odcisk woskowej pieczęci. Zacinajac sie, powtarzal slowa przysiegi. Widzial Nereba, stojacego na miejscu jego przyslego dowodcy, i Khephrena bedacego swiadkiem. Slyszal inne glosy powtarzajace te same slowa - Methena, Khetiego, nieco przestraszone glosy lucznikow. A wiec stalo sie! Nie byli juz Pustynnymi Zwiadowcami, lecz ludzmi nieznanego faraona, rzadzacego w miescie, ktorego nigdy nie widzieli; zwiazani z przedsiwzieciem, ktore Unis i jego dwor uznali za beznadziejne. Czy byli glupcami, zastanawial sie Rahotep, glupcami, czy najmadrzejszymi ludzmi w cale Nubii? Niestety, zaden z nich nie potrafil spojrzec oczami Wielkiego i odgadnac przyszlosci.

Maly, boczny dziedziniec swiatyni wydawal sie niezwykle zatloczony, kiedy wktotce po pierwszym brzasku Kheti pomogl mu sie tam dostac. Nieporzadne tlumoki, zawierajace osobisty dobytek dziesieciu lucznikow, byly spietrzone przy zewnetrznej scianie, a Methen nadzorowal dzialalnosc dwoch kuszyckich niewolnikow, dzwigajacych jego wlasne skrzynie. Dzisiejszego dnia stary weteran nie tylko wlozyl na siebie "zloto mestwa" zdobyte w bitwach mlodosci, lecz przybyl w pelnym wojskowym stroju, z biczem dowodcy pulku w rece, zeby dodac powagi swym rozkazom.

Te pare rzeczy, ktore Rahotep przywiozł z poludnia na oslim grzbiecie, znajdowało sie w malej, prostej skrzyni, obok wybrzuszonej torby Khetiego z laciatej, krowiej skory. Najcenniejszy dla kapitana dobytek, czyli jego luk, naramienniki osoby szlachetnie urodzonej oraz lamparciatko, znajdowały sie na jego plecach lub pod reka.

Kheti był niezadowolony.

-Do czego to podobne, zeby Sokol udawal sie tak nedznie wyposazony przed oblicze faraona. Spojrz na tego dostojnika z polnocy. Jesli w Tebach tak sie chelpia swoim zlotem, to bedziemy wygladac jak chlopi, a nie wojownicy.

Wskazal na Nereba, ktory stal i rozmawial z Methenem. Twardy, krolewski oficer nie tylko nosil sie elegancko, ale nawet, jak to zauwazyl Kheti, mundur Methena w porownaniu z jego wydawal sie tak przestarzaly, jak plany budowniczych piramid. Powyzej spodniczki Pustynni Zwiadowcy i nubijscy zolnierze byli nadzy, tylko w czasie uroczystych parad nosili skrzyzowane przez ramie pasy. Natomiast Nereb byl zakuty w pancierz ze skory i brazu. Nie nosil nemesu - za to na peruce z krotkich, zbitych loczkow mial helm z brazu, do ktorego przypiete bylo jedno, chwiejace sie pioro.

Rahotep zasmial sie i odrzekl mu:

-Zwiadowcy podrozuja bez obciazenia, Kheti. Czyz nie szczycilismy sie tym zawsze w obliczu tych ludzi z fortow? Niech faraon wie, ze bedziemy swobodnie jak ptaki wynajdywac droge dla jego wojsk - juz na pierwszy rzut oka bedzie mogl ocenic nasza sprawnosc. No, ale nadeszla pora, zeby wyruszyć. Rozkaz ludziom, zeby podniesli swoje bagaze.

Kapitan zlozyl podziekowania Kheprenowi i pozegnal sie z nim. Glos Amona byl znowu tym srogim czlowiekiem, ktorego pamietal z wczesnego dzieciństwa. Nieco zmrozony i zdeprimowany, przekonany, ze raczej lojalnosc w stosunku do Teb, a nie jakiegokolwiek osobiste zainteresowanie sklonilo arcykaplana do udzielenia mu pomocy, ale jednak szczesliwy, Rahotep opuscil swiatynie ozywiony pragnieniem stawienia czola nowym wyzwaniom.

Nadal na tyle niepewnie trzymal sie na nogach, ze byl zadowolony z podtrzymujacego go ramienia Khetiego. Uzdrowiciele ze swiatyni zapewnili go, ze jego rana goi sie wlasciwie, a wypoczynek na pokladzie barki przywroci mu sily, tak ze kiedy dotra do Teb, bedzie mogl kroczyć na czele swych ludzi z energia i sprawnoscia niemal taka, jak przedtem.

Kapitan odrzucil sugestie Methena na temat podrozowania lektyka. Pragnal opuscic Semne na wlasnych nogach, nawet jesliby musial miec Khetiego u swego boku. Kiedy schodzili do czekajacej na nich lodzi, Nereb dopasowal swój krok do wolniejszego tempa mlodszeo oficera. Rozesmial sie cierpko na uwagi kapitana dotyczace statku.

-Wracam, jak przybylem - jednym okretem! - powiedzial gorzko. - A sadzilem, ze przyprawdze faraonowi cala flote. Jesli wszyscy poslancy rownie kiepsko mu sie

przysłużyli, to zaiste Teby beda miały powód do płaczu.

-Niezupełnie - odezwał się Methen. - Wracasz, panie, z oddziałem wybranych zwiadowców, ludzi wyszkolonych w swym rzemiosle podczas ciągłej walki w ciężkich warunkach.

-Trzynastu ludzi... - Rahotep był skłonny podzielać pesymizm Nereba.

-Jeden człowiek oddany duszą i ciałem sprawie, może zaorac pustynię i założyć na niej winnice. Od takiego człowieka do wielkiej armii już tylko jeden krok. Niech każdy z posłancew faraona przyprowadzi ze sobą chociaż trzynastu szczerze oddanych ludzi, a zbierze się pułk doświadczonych wojowników.

Nagle przerwano mu. Jakiś rzucony z wielkim impetem przedmiot upadł na chodnik tuż przed nimi. Była to nie wykończona, czerwona misa, jak to ocenił kapitan ze szczątków, na które się rozprysnęła. Jeden z łuczników podniósł największy kawałek i wsunął go w wyciągniętą w oczekiwaniu rękę Rahotepa.

Kapitan ujrzał zdanie nakreślone czerwonym piśmem świątynnego skryby: "Rahotep, narodzony z dostojnej Tuyi i królewskiego syna Ptahhotepa - umrze."

Przekleństwo - takie, jakiego on sam użył przeciw Kuszytom. Nie zdawał sobie sprawy, że przeczytał je głośno, dopóki nie usłyszał zgryźliwego komentarza Methena:

-Zatem Rahotep umrze? Tak jak każdy człowiek w Egipcie, kiedy nadejdzie jego czas i Re zechce wezwać go przed oblicza Sędziów.

Wytracił fragment misy ze słabego uścisku Rahotepa, po czym niespiesznie zepchnął go nogą z drogi wraz z pozostałymi skorupami.

-Anubis przeklina, lecz Amon-Re błogosławi - mówił dalej Methen. - A poza tym, czy bogowie kiedykolwiek interesowali się tak bardzo sprawami ludzi na ziemi, jak ich kapłani chcieliby, żebyśmy wierzyli? Niech zachowają swoje ostrzeżenia dla barbarzyńców i Kuszytów.

Kheti zaśmiał się i postawił sandał na jednym z małych kawałków, rozcierając glinę w proch na kamieniu.

-Strzały latają w powietrzu, włócznie mają ostrza, gorączka przychodzi z nadržecznych moczarów, a umrzeć można nawet od bólu brzucha, w swoim łozu. Trzeba złożyć Dedunowi tłustego barana i zobaczymy, co z tego wyniknie. O, bogowie, co to za wspaniały okret! - wykrzyknął Kheti.

Był to okret rzadko widywany w górnym odcinku Nilu. Rzezbiona głowa na zagietym do wnętrza dziobie przedstawiała Barana Amona, a ścianki kabiny obwieszane były kotarami z

malowanego Inu, które można było zwinąć, żeby wpuszczać chłód rzecznej bryzy. O tej porze roku Nil płynął leniwie, spragniony potokami wody, które w późniejszym okresie przyspieszały jego prąd. Słabe, niepewne podmuchy wiatru z południa drażniły żagle, ale to prąd, a nie te nieprzewidywalne porwy, miał niesić ich w dół rzeki.

Ktoś czekał na nich na nabrzeżu, stojąc nieco z boku, jakby wrodzona skromność kazała mu czekać, aż zostanie zauważony. Rahotep puścił ramię Khetiego i podszedł do Hentrego.

-Jedź z nami, przyjacielu.

Stary pisarz uśmiechnął się smutnie i odpowiedział kapitanowi:

-Nie, mój synu. Garsc zużytych pedzelków i paletka, które służyły człowiekowi niemal całe życie, nie mogą uchodzić za włócznie i tarcze. Potrzebna jest teraz broń bitewna, a nie umiejętności z czasów pokoju. Jestem zbyt stary, by zostać wyrwany z korzeniami i szukać nowego miejsca, gdzie mogłbym wrosnąć.

-Ale - Rahotep zaczął protestować, zdając sobie sprawę, co może oznaczać dla Hentrego pozostanie w Semnie. Sympatie pisarza były powszechnie znane. Nie czynił żadnych wysiłków, żeby ukryć swoje oddanie dla dostojnej Tuyi i jej syna. A Unis był człowiekiem małostkowym. Hentreg powinien jechać z nimi!

-Nie ma powodu, żeby się o mnie obawiać, młody panie - dodał szybko pisarz, jak gdyby czytał myśli Rahotepa z taką samą prędkością, z jaką przebiegały przez jego umysł. - Przyjąłem służbę w świątyni Amona, a Re dba o swoją własność. Przyszedłem tylko, by życzyć ci pomyślności i przynieść to, co ci się prawowicie należy. Kiedy Sokół został zabity przez Hyksosów podczas ostatniej próby oporu wobec tych, którzy przewalali się przez jego kraj, byłem jednym z ludzi, którzy wykradli jego ciało, żeby złożyć je w bezpiecznym miejscu. A myślać, że może w przyszłości ktoś z jego rodu ponownie wzniesie sztandar Sokola, nie pozwoliłem pogrzebac wraz z nim tego, czego jego następca mógłby używać równie odważnie, jak mój pan. - Mówiąc to, wyciągnął spod płaszcza pakunek owinięty w pozłokę od starości płótno. Po chwili dodał:

-Włóż to tego dnia, kiedy wyruszysz przeciwko Hyksosom, panie, tak żeby ten, któremu służyłem przedtem, zobaczył, dzięki łasce Re, jak znowu błyszczy w bitwie!

Rahotep odwinął materiał, by stwierdzić, że trzyma wspaniałą, luczniczą ochraniacz na reke, z lancuszką do założenia na kciuk i rzemieniem do umocowania na nadgarstku. Ochraniacz wykonany był ze szlachetnego srebra i były na nim wyryte Oko Horusa, Skrzydlaty Sokół, nomu jego matki oraz Pioro Maat - Prawdy Bogów. Ponieważ był on zrobiony na inną reke, Rahotep założył go na próbe, sadząc, że nie będzie pasował. Lecz chłodny metal przylegał gładko do skóry, jakby wykuto go specjalnie dla niego. Hentreg uśmiechnął się radośnie.

-Wiesz, Rahotepie, wiele razy widziałem jak twój dziadek, a mój dobry pan i przyjaciel,

wkladał go na reke. Tak, nawet tego ostatniego dnia, kiedy wszyscy wiedzieliśmy, że nie ma już żadnej nadziei na zwycięstwo! Na szczęście nie stał on się lupem żadnego barbarzyńcy, a teraz znowu będzie błyszczał wśród uzbrojenia w orszaku faraona. Witaj Sokole! - Oddal Rahotepowi salut należny nomarsze.

Młody kapitan rozesmiał się ponuro i rzekł:

-Nomarcha bez nomu, prowadzący oddział jedenastu łuczników w niewiadomą przyszłość. Lecz składam ci, Hentre, podziękowania, nie tylko za to - poglaskał ochraniacz - lecz za wszystko, co dla mnie zrobiłeś od czasu, gdy byłem przewracającym się o własne stopy dzieckiem w Domu Kobiet w pałacu wicekrola. I za wszystko, co uczyniłeś dla dostojnej Tuyi, której służyłeś nadzwyczaj dobrze!

Tak więc, to właśnie postać Hentrego, znikająca w oddali, widział kapitan, kiedy okręt jasniejący w Tebach oddał cumy i przesunął się w główny nurt rzeki, kierowany ostrożnymi instrukcjami pilota na dziobie. Zabrział gong i dzięki zwiększonym wysiłkom wiosłarzy statek zaczął nabierać prędkości. Z tyłu za nimi, najpierw nabrzeże, na którym stał Hentre, a potem mury okalające Semne stawały się coraz mniejsze, aż w końcu zniknęły, gdy zakręt rzeki skrył je przed ich oczami.

Dawniej na tej rzece panował intensywny ruch. Ładunki z Nubii - złoto, heban, strusie pióra, aromatyczne drewno i miękkie skóry płynęły na północ, a południe wysyłało im artykuły rzemieślnicze. Teraz handel zamarł. Nikt już z własnej woli nie wysyłał towarów na terytorium Hyksosów, co najwyżej daniny wymuszane na nomach groźbami. Bogactwo Nubii pozostawało w jej granicach. Konsekwencją tego był dotkliwy brak wyrobów rzemieślniczych, których potrzebowała.

Zamiast wyladowanych towarami łodzi, wojownicy mijali tratwy pasterzy, przewożące powierzone ich pieczy zwierzęta z jednej strony rzeki na drugą, w poszukiwaniu lepszych pastwisk. Ci, na pol dzicy wloczędzy ze zdumieniem wpatrywali się w smigający obok nich w dół rzeki, napędzany wiosłami statek.

Jeśli prości ludzie z mijanych po drodze krain byli zdumieni ich widokiem, to ich panowie, niemal jak jeden mąż, byli wrogo do nich nastawieni. Kiedy jasniejący w Tebach cumowała w jakiejś przystani i Nereb próbował wytargować dodatkowe zaopatrzenie, przyjmowany był chłodno. W większości przypadków miał do czynienia z butnymi nadzorcami, którzy co prawda nie sztydził otwarcie na widok pieczęci faraona na królewskim rozkazie, ale wyszkoleni przez lata w przechytrzeniu poborców podatków, potrafili wykrecić się od bezpośredniego spełnienia oficjalnych zadań. Na szczęście, w trzcinie porastającej brzegi żyło dzikie ptactwo, a Hori, jeden z łuczników, udowodnił swoją biegłość w posługiwaniu się bumerangiem. Pieczone gęsi nie były szczytem ich marzeń, ale jednak pozwalały uzupełnić posiłek złożony ze zwiniętych na kształt slimaka, twardych kawałków chleba.

Oddziałowi Nereba nie przybył żaden rekrut, dopóki nie dotarli do granic dawnego Egiptu i

nie zapuscili sie we wlosci wladcow Elefantyny. Co prawda, nomarchowie Elefantyny nie staneli jeszcze otwarcie pod sztandarami Teb. jednak byli sklonni udzielic Sekenenre poparcia. Dwa pulki oszczepnikow wmaszerowaly na poklady lodzi transportowych, ktore utworzyly armade za plynaca na czele Jasniejaca w Tebach. W czasie, kiedy trwal zaladunek, Nereb niecierpliwie przemierzajac ograniczona przestrzen pokladu swojego okretu, przemawial do Rahotepa i Methena.

Wiekoszosc spraw, o ktorych mowil, byla juz dobrze znana temu ostatniemu. Rahotep natomiast nie wszystko rozumial, jednak lapczywie sluchal tego, co Nereb mial do powiedzenia na temat potegi wojskowej Hyksosow.

Kiedy dwiescie lat temu najezdzy ci przedostali sie przez groble Synaju na obszar delty, wtargneli niszczaca fala do Egiptu juz rozdartego wojna i podzielonego miedzy marionetkowych krolow i zbuntowanych wielmozow. Nomarchowie wracali do swych prowincji ze wszystkim, co udalo im sie zdobyc, probujac jeszcze wydrzec, co sie da, slabszym sasiadom. Nie polaczyli sil, zeby walczyć ze wspolnym wrogiem.

Rydwany wrogow przelecialy jak szarancza nad mlodym zbozem, zostawiajac za soba tylko naga ziemie. W delcie Nilu Hyksosi zbudowali Avaris, miasto bedace w glownej mierze forteca, i to taka, jakiej Egipcjanie lub Nubijczycy nawet sobie nie wyobrazali. Z niej wlasnie rzadzili nie tylko Egiptem, ale rowniez krajami azjatyckimi, tak ze czlowiek zaczynal sie zastanawiac, czy istnieje miejsce, w ktorym nie postawili swych falszywych bogow i groznych twierdz.

Kazdy Egipcjanin, od delty az do trzeciej katarakty w kraju Kusz, znal te stara opowiesc o zniszczeniu i smierci. Ale dopiero od Nereba oddzial Nubijczykow dowiedzial sie po raz pierwszy o przedsięwzięciu, na ktore porwaly sie Teby.

-Rydwany - powiedzial oficer. - Mamy konie. Kupilismy je, wymienilismy sie na nie i ukradlismy. - Jego zeby blysnely nagle w usmiechu, jakby przypomniat sobie jakis wlasny wypad. - Krolewski syn i nastepca, Kamose, jest mistrzem rydwanow; trenuje wlasne konie i szkoli oficerow w tej sztuce. Wyobrazcie sobie, druzgocaca linia rydwanow na czele waszego ataku, a za nimi piechota.

-Lucznicy na skrzydlach! - Rahotep potrafil to sobie czesciowo wyobrazic, chociaz dotad widzial tylko jeden rydwan, a jego znajomosc tego pojazdu ograniczala sie do przelotnego spojrzenia.

-Lucznicy? - Na Nerebie nie zrobilo to specjalnego wrazenia. - W przeszlosci lucznicy nie potrafili stawic czola atakowi barbarzyncow!

Methen rozesmial sie cicho i wyjasnil:

-Kapitan Rahotep mowi o lucznictwie, jakie tu, na polnocy, nie jest znane. Pokaz swoj luk, Kheti!

Nubijczyk wyciągnął swą broń i napiął ją. Nereb sprawdził siłę naciągu i przeciągnął badawczo ręką wzdłuż krzywizny łuku, który wykonany był z warstw drewna i rogu, sklejonych razem.

-Na pewno nie widziałeś takiej broni w Tebach - stwierdził Methen. - Zresztą, żaden łucznik z północy nie potrafiłby wypuścić z niej strzały. Pustynni łucznicy już od małego uczeni są trafiania z nich do celu. Co więcej, dostojny Nerebie, znają oni jeszcze jedną sztuczkę, która pomaga im odnieść zwycięstwo nad przeciwnikiem. - Spojrzał na Rahotepa, a kapitan w mig pojął aluzję.

-Hori, Kakawa, Intef, Baku - Rahotep wezwał kilku swoich ludzi. Zadowolony z okazji urozmaicenia monotonii zeglugi, jego niewielki oddział ustawił się w szereg na wąskim pokładzie, z naciągniętymi łukami i przytępiętymi strzałami do polowania w rekach. Jedno z wiosel uderzyło płasko o powierzchnię wody, sprawiając, że stadko ptactwa poderwało się z trzępotem w świecące słońce. Na pstryknięcie palców Khetiego cieciewy łuków zostały jednocześnie napięte i, niemal w tym samym momencie, strzały zostały wypuszczone.

Ptaki spadły, a Nereb wydał krótki okrzyk zdumienia. Tym razem mierzyli w ptaki, a gdyby tak założyć, że będa celowali w oddział atakujących rydwanów?

-Jeśli Hyksosi wyprawia swoje siły do Nubii - rzekł Methen - może się okazać, że ich konie i rydwany nie odniosą zwycięstwa. Przywiedliśmy ci takich łuczników, panie, jakich do tej pory Egipt jeszcze nie widział. Poza tym, mają tak dobry wech w podążaniu zagmatwanym tropem, jak bystre oczy w wynajdywaniu celu dla swych strzał. Być może faraon nie dostanie swych trzech pułków, ale też nie wracasz do niego z pustymi rękami.

-Na to wygląda. - Nereb obserwował załogę okrętu zbierającą martwe ptactwo. - Nigdy dotąd nie widziałem takiej sztuki łuczniczej. Nasz pan zapewne też.

-Umieść swoich łuczników na skrzydłach - Rahotep podjął dyskusję w tym miejscu, w którym została przerwana praktycznym pokazem Methena - i wprowadź między nich przeciwników.

Nereb włożył palce za pasek od sztyletu.

-Książę musi to zobaczyć i to jak najszybciej. Tak, może jednak moja misja nie zakończyła się zupełną klęską. Mimo wszystko przywiezie faraonowi z Nubii coś godnego uwagi!

5. Kamose, dowódca rydwanów

Flotylla łodzi, z pływacym na czele okrętem Nereba, dotarła o poranku do przystani przed Tebami. Za leżącą na wschodnim brzegu części miasta znajdowały się wapienne urwiska, które jeszcze o brzasku były czerwono-żółte, a teraz spłwiałały do białawego brązu, przesłoniętego mgiełką drgającego od nagromadzonego żaru powietrza. Jednak to nie one, a Teby przykuły całkowicie uwagę oddziału z Nubii. Semna była wielka twierdza, z

towarzyszycami jej palacami dostojników i willami ich urzędników. Elefantyna, Wyspa Kosci Słoniowej, stanowiła doprawdy przepiękny widok, ale tu mieli przed sobą Teby, przez wieki stolice Egiptu! Dla ludzi z daleka były one równie nieznane jak minojskie pałace na słonym morzu.

Miękkie futro musnęło dół policzka Rahotepa, gdy trzymany przez niego lamparcik zazdrośnie próbował zwrócić na siebie uwagę. Kapitan bardzo się starał, by nie okazać swego zachwytu nad rozciągającym się przed nimi widokiem. W tym czasie ktoś z załogi rzucił cumę na nabrzeże i Jasnójaca w Tebach była wprowadzana do przystani.

Większe łodzie z tłoczonym się na nich wojskiem, które dołączyły do nich w Elefantynie, manewrowały właśnie, żeby dobić do lądu, kiedy na brzegu dano się zauważyć jakiegoś poruszenie. Kupcy zbierali swoje towary i pośpiesznie usuwali się z drogi, słysząc dochodzące od strony miasta okrzyki - popędzanie tragarzy-niewolników.

Po chwili pojawili się dwaj oszczepnicy z włóczniami w rękach i tarczami niesionymi przed sobą, biegnący w charakterze gonców, a za nimi jechał lekki rydwan, ciągnięty przez ogiera parskającego niecierpliwie, gdyż woznica powściągał go do kłusu. Już na pierwszy rzut oka widac było, że jest to wóz bojowy. Wyposażony był w skrzynie na strzały, przywiązane rzemieniami do jego boków oraz tyczkę z proporcem, przymocowana obok młodego człowieka, stojącego na kolyszającej się platformie i balansującego po mistrzowsku ciałem, żeby zrównoważyć jej ruchy.

Kompania oszczepników, na którą Rahotep spoglądał z uznaniem, podążała za rydwanem miarowym krokiem. Nie byli ani takiego wzrostu, ani nie mieli atletycznej budowy jego łuczników, lecz każdy oficer musiałby przyznać, że są to zahartowani w walce wojownicy. Czy byli oni wybranym korpusem, świetnie wyszkolona straż przyboczna jakiegoś wysoko postawionego dowódcy, czy też tak wyglądały wszystkie wojska Sekenenre? Jeśli to drugie byłoby prawdą... - podniecenie kapitana rosło. Setki lat wcześniej z Teb wyruszyły tłumnie siły pod wodzą Sesostrisa, zdobywcy Nubii, pogromcy Kuszytów. Gdyby pojawił się tu kolejny Sesostris...

Rydwan zatrzymał się na końcu basenu portowego i jeden z oszczepników pośpieszył, żeby złapać lejce rzucone mu przez oficera. Nereb wyskoczył na brzeg i podążył w stronę przybysza. Niecierpliwosc tego ostatniego była jednak tak wielka, że do spotkania doszło w połowie drogi do przystani.

Kiedy młody woznica rydwanu odwrócił głowę, Rahotep dostrzegł szeroki pas wzorzystego płotna opadający z boku jego opaski. I niepotrzebny był mu widok niskich pokłonów Nereba, ani czolobitność ludzi stojących wzdłuż nabrzeża, żeby domyslić się, że jest to jeden z królewskich synów.

Księcia niecierpliwil ceremonial, więc dotknął swoją łaską władcy ramienia Nereba, zwalniając go od ceremonialnych powitań i zalał go potokiem pytań. Potem spojrzal na

Jasniejaca w Tebach. Rahotep byl gotowy. Lucznicy stali ustawieni w szeregu za nim, z Khetim nieco na lewo. Na warkot jego sistrum oddzial powital ksiecia. Wydobywajacy sie z gardla ryk wojennego okrzyku poniosl sie przez rzeke az do miasta.

Gdy okrzyk ucichl, Rahotep zlozyl poklon, powtorzony nastepnie przez Khetiego i Methena, i czekal z pochylona glowa na jego odwzajemnienie. Nadeszlo ono szybko. Gromki krzyk wzbil sie w przestrzen pomiedzy pokladem a brzegiem:

-Widzimy cie, kapitanie!

Rahotep wyprostowal sie, by stanac z ksieciem twarza w twarz. Widziany z tak bliska, syn krolewski okazal sie mlodszy - mlodszy i w pewnym sensie bardziej delikatny, niz wydawal sie, gdy kierowal swym rydwanem. Mogl byc w wieku Rahotepa lub o rok czy dwa starszy. Jego szczuple cialo poruszalo sie z trudem, niemal niezgrabnie, jakby musial naginac je do swojej woli. Twarz mial szczupla, o delikatnej budowie czaszki, lecz jego oczy patrzyly bacznie i dojrzale, gdy szacowal wzrokiem oddzial z Nubii.

Ksiaze przeprowadzil inspekcje szeregu lucznikow, oceniajac i porownujac, jakby sprawdzal kazdego z tych ludzi, oznaczal i wpasowywal w jakis wzor, znany wylacznie jemu. Rahotep byl pewien, ze zaden obcy detal nie zostal przeoczony i ze rozmiary lukow i fizyczna sprawnosc noszacych je ludzi zrobily na ksieciu wrazenie. A kiedy poczul na sobie jego spojrzenie, wyprostowal sie, zeby nalezycie je odwzajemnic.

-To sa Graniczni Zwiadowcy, kapitanie? - wypowiedziane z urywanym, polnocnym akcentem slowa byly oszczedne i celne.

-Tak, Krolewski Synu. Wszyscy sa weteranami w tej sluzbie.

-Slyszelismy o Zwiadowcach. - Bylo to spokojne, niemal bezbarwne stwierdzenie, lecz uradowalo ono Rahotepa. Jego ludzie byli przyjmowani z uznaniem, na ktore zaslugiwali.

-Pozostaniecie bez przydzialu, dopoki faraon nie wyda wam rozporzadzenia.

Rahotep staral sie nie uzewnetrznic swego glebokiego rozczarowania. A wiec, mimo wszystko, nie zostali jeszcze przyjeci do armii. Bedzie to zalezalo od decyzji faraona. W chwile potem jego mysli powedrowaly ku innym sprawom - gdzie znajda w miescie kwatery, skoro nie maja zadnego oficjalnego statusu? A moze powinni pozostac na okrecie? Nadal stal na bacznosc ze swymi ludzmi, podczas gdy ksiaze rozmawial z Nerebem i przeprowadzal inspekcje wysiadajacych wlasnie ze statkow pulkow z Elefantyny.

Rahotep pozwolil swoim wojownikom rozejsc sie. zanim odezwal sie do Methena.

-Tak wiec, mimo wszystko, nie jestesmy w sluzbie faraona!- wybuchnal gniewnie. - Ci mieszkancy polnocy zaliczaja nas pewnie do jednej kategorii z barbarzynskimi Kuszytami.

-Milcz! - nakazał mu Methen równie ostro, jak to robił dekady wcześniej, kiedy z trudem wyciągał chłopca z Domu Kobiet w czasie jego szkolenia. - Nasz władca zrecznie używa swych narzędzi. Nie zostajesz zlekceważony, wręcz przeciwnie, staniesz osobście przed faraonem, a to wielki zaszczyt. To był książę Kamose, królewski następca i dowódca prawego skrzydła armii. I czy ci nie powiedział, że w myśl rozkazu faraona powiniście odpocząć? Stąpaj ostrożnie, Rahotepie. W Semnie było niebezpiecznie, a tu, w Tebach, na nieostrożnych czyha jeszcze więcej niebezpieczeństw.

-Książę Kamose, kiedy tylko spojrzy na człowieka, to wie, co o nim myśleć - zgodził się Kheti. - On nie jest miejskim żołnierzem, lecz takim, który przemierza ze swymi ludźmi pustkowia. Na pewno znajdzie się zajęcie dla wojowników z lukami, włóczniami i toporami, którzy z nim wyruszą. - Z podniesioną głową wdychał rozmaite wonie nabrzeża. - Wszystkie miasta są podobne, tyle że jedne są większe czy starsze od innych. Nie spuszcza z oka tych łuczników, na wypadek gdyby planowali wyprawę w poszukiwaniu nieznanego piwa lub inna podobna głupota. Czy pozostajemy na tym statku?

Problem ich kwatery na najbliższy czas został rozwiązany. Nereb wrócił na okręt z informacją, iż mają być gośćmi w domu jego ojca, dopóki faraon nie zdecyduje o ich przyszłości. Tak więc, z niewolnikami dzwigającymi ich niewielkie bagaże, przemaszerowali przez zatłoczone drogi w okolicach portu i wyszli na szersze alejki, którymi dotarli w końcu do otoczonych murami, miejskich domów dostojników.

Choć przez ostatnie lata Rahotep przyzwyczaił się do surowych warunków nadgranicznych fortów, to jednak wychowywany był w luksusach, w pałacu wicekróla Nubii. Z opowieści służących jego matki oraz nostalgicznych wspomnień Hentrego i Methena stworzył sobie wyobrażenie starej stolicy północy, zgodnie z którym Semna, w porównaniu z Tebami, powinna się wydawać wioską Kuszytów. Lecz rzeczywistość odbiegała od tego obrazu. Była to oprawa dla bogactwa, dla wytwornego, beztrudnego życia, - lecz tylko oprawa. Klejnoty, dla których została wykonana, zniknęły. Teby były stare, w opłakanym stanie, z brakiem wśród miast - cieniem dawnej stolicy w zrujnowanym kraju. A Rahotep, widząc dziury w zniszczonym przez czas materiale, był równie zmieszany, jak przedtem przyjęciem jego łuczników przez księcia Kamosego. Bogactwo Egiptu zostało wysłane na północ, do skarbców najeźdźców. Dla jego własnego ludu pozostały tylko resztki. Tak jak Teby były zaledwie cieniem dawnej stolicy, tak i ojciec Nereba był cieniem urzędnika ich administracji. Sa-Nekluft, Skarbnik Północy, "Nosiciel wachlarza po prawicy faraona", piastował stanowisko bez żadnej mocy wykonawczej, gdyż północny Egipt był zajęty przez wroga i nie było żadnych danin do naliczania, ani transakcji do zawierania w komnacie sadu. Jednak sam fakt, że Sa-Nekluft posiadał zreby swej administracji, przemawiał za tym, że jeszcze nie jest za późno i że Czerwona Dynastia z północy podzwignie się obok Białej z południa.

Odzwierzy, pozdrowiwszy Nereba, wpuszcili ich na zewnętrzny dziedziniec i znaleźli się w ogrodzie. Obowiązki trzymały Sa-Neklufta w miejscu, lecz jego dom przypominał dwory nomarchów na wsi. Na kolistych, podlewanych rabatach rosły drzewa, pnące rośliny wily się na kratkach, a przed nimi, po drugiej stronie długiego basenu, znajdował się

dwupoziomowy kompleks centralnych komnat, od którego rozciągała się w stronę wody wysoko zadaszona weranda. Teby przypominały kociol gotujący się w słońcu, lecz tutaj, w domu Sa-Neklufta, znajdowała się oaza chłodu. Jasne maty wypełniały przestrzeń pomiędzy rzezbionymi i malowanymi kolumnami wspierającymi dach werandy, a boki basenu powyżej linii wodnej były zgrabnie ozdobione malunkami trzciny i wazek. Powietrze przesycone było zapachem kwiatów, a hałas miasta tłumili wysokie ściany, tak że łatwo można było zapomnieć o jego istnieniu.

Młoda gazela zbliżała się do nich ostrożnie, z oczami pełnymi ciekawości, a pawian o pysku psa, zjadający się daktylem, wydał nieprzyzwoity dźwięk i cisnął w ich kierunku kamieniem tak precyzyjnie, że uderzył w kolczan Khetiego. Na ten widok pawian zawył triumfalnie i opadł na cztery łapy w tańcu zwycięstwa.

Młody lampart, całkowicie rozbudzony na widok tak fatalnych manier, warknął i zaszamotał się w uścisku Rahotepa, palając chęcią pomszczenia zniewagi na odwiecznym wrogu swego gatunku. Kapitan był zmuszony użyć swego płaszcza, by zapanować nad małym wojownikiem, dla jego własnego dobra.

-Belikae!

Pawian zatrzymał się z łbem obroconym przez ramię, żeby przyjrzeć się - nieco lekliwie - mężczyźnie nadchodzącemu od strony basenu. Na widok zbliżającego się mężczyzny Nereb ruszył wielkimi krokami, przykleknął na jedno kolano i schylił głowę, by reka tamtego nakresliła na niej znak. Potem podniósł się i obaj objęli się uściskiem jak bliscy krewni.

-Panie - Nereb skinął na nubijski oddział - pozwól sobie przedstawić komendanta Methena, dawniej kapitana Uderzającego Sokola, kapitana Rahotepa, dowodce Pustynnych Zwiadowców i syna wicekrola Nubii oraz zacnego Khetiego, podoficera Pustynnych Zwiadowców, a także tych łuczników, którzy ślubowali wierność faraonowi w obliczu Amona-Re.

Nubijczycy oddali honory. Sa-Nekluft odplacił im się uśmiechem za okazany mu szacunek.

-Witam, trzykrotnie witam komendanta Methena, kapitana Rahotepa oraz wszystkich, którzy im towarzyszą. Długo czasu upłynęło, od kiedy wojownicy z południa przybywali, aby służyć pod wodzą faraona w tym mieście. Jednak nie zapomniano, jak świetnie służyli w przeszłości. Ten dach jest waszym dachem, na tak długo, jak będziecie tego potrzebowali.

Klasnął w ręce i szybko wydał rozkazy słuzacemu, który się pojawił. Łucznicy mieli być zakwaterowani z jego własną strażą, Kheti został umieszczony z jego urzędnikami, a Rahotep i Methen zostali przyjęci jak dostojni goście.

Chociaż otaczający Rahotepa przepych był tylko powierzchowny i wszystko wokół stwarzało zaledwie pozory bogactwa - to jednak Rahotep czuł się nieswojo, przerzucając zawartość swej skrzyni w poszukiwaniu najlepszej ze swych nielicznych zmian odzieży. Jego

Jedyną ozdobę "złota męstwa" stanowiła bransoletka, przyznana mu rok temu z okazji udanego wypadu nad granicę. Była to zwykła złota obręcz z figurkami lwów wykonanymi z mikroskopijnych kawalczków ciemnoniebieskiego lapis lazuli. Mogł też włożyć bliźniacze naramienniki, symbol swego wysokiego rodu - proste, złote koła z sokolem z zielonego malachitu znakiem rodziny jego matki.

Rahotep miał tylko stroj wojownika - nie miał nawet przejrystej, wierzchniej spodniczki szlachetnie urodzonego. Coż, czymże był, jeśli nie żołnierzem? Chętnie obwiesiłby swój zawód otwarcie. Zamiast tego, pieczołowicie włożył pięknie plisowaną spodniczkę z lnu, skrzyżowane pasy na górną część ciała i starannie ułożył nemes, postanowiwszy, że jego konce będą leżały gładko i równo na ramionach. Ostatnia krytyczna ocena własnej osoby w lustrze z brązu pomogła mu stwierdzić, że jest odpowiednio ubrany, by pokazać się na przeglądzie wojskowym, choć może nie w towarzystwie dostojnych biesiadników.

Mimo że ostatnia sprzeczka była już zapięta, a każda falda na swoim miejscu, Rahotep nadal zwlekał z opuszczeniem komnaty gościnnej, z niechęcią myśląc o zapuszczeniu się w gwar głównej sali, gdzie Sa-Nekluft przyjmował gości. Czułby się szczęśliwszy, gdyby został od razu wysłany do koszar. Perspektywa bezpośredniego zanurzenia się w życie, o którym wiedział tak mało, i o którym - pamiętając zuchwałstwo Unisa - wiedział niewiele dobrego, była ciężką próbą, budzącą w nim to samo uczucie niepokoju, którego doświadczał przed porannym atakiem. Po chwili jednak ruszył naprzód, by stawić czoło zebrany w głównej komnacie.

Na szczęście zaliczał się do niższych rangów wśród zgromadzonych i jako taki nie zostanie posadzony na jednym z miejsc honorowych obok gospodarza, przy górnym końcu stołu. Stał przez chwilę w wejściu, starając się wypatrzeć jakas matę za filarem lub w kacie, z której mógłby swobodnie obserwować teren, a jednak nie został dostrzeżony. Lecz nie było mu pisane wykrecić się tak łatwo, gdyż w tej chwili wyrosł jak spod ziemi Nereb, żeby go powitać.

Jedno szybkie spojrzenie na jego stroj wystarczyło, by Rahotep poczuł, wyraźniej niż kiedykolwiek, skrepowanie z powodu własnego ubostwa. Tebanczyk miał na sobie nie tylko złoty diadem wpięty w uroczystą perukę, ale również szeroki kołnierz, naramienniki i pas - wszystko ze złota i wysadzone klejnotami. Z drugiej strony jego spodniczka była krótka spodniczka polowego żołnierza, chociaż fartuszek z przodu był ozdobiony.

-Kapitanie, przybył general Amony i pragnie z tobą rozmawiać - oznajmił Nereb.

Ze zdławionym westchnieniem, wyszukując drogę pomiędzy pozajmowanymi już matami, Rahotep ruszył za nim w kierunku wyższego końca komnaty, gdzie taborety pomniejszych wielmożów i wysokie krzesła głównych gości stały w nieregularnym polkolu, każde z małym stolikiem wypełnionym drobnymi przysmakami.

Przechodząc, Rahotep zauważył Methena siedzącego na taborecie i pograzonego w

rozmowie ze starszym mezczyzna w stroju kaplana Amona oraz z drugim, jeszcze starszym, wygladajacym na pisarza. W koncu dotarli do gornej czesci stolu i Rahotep sklonil sie Sa-Nekluftowi. Obok skarbnika siedzial otyly mezczyzna o ramionach niemal tak szerokich jak u kuszyckiego wojownika. Na jego krotkiej, zolnierskiej peruce znajdowal sie generalski diadem, a ramiona i piers lsnily blaskiem czegos, co moglo byc tylko "zlotem mestwa", gdyz motywy pszczoły i lwa powtarzaly sie na bransoletach, naramiennikach, napiersniku, kolnierzu, toporze i pasie. Kiedy podeszli do niego, trzymal w reku puchar i nie odstawil go, lecz pijac, spokojnie przygladal sie Rahotepowi znad kielicha.

Kiedy go oproznil, cmoknal ustami i rzekl do gospodarza:

-Naprawde wysmienite wino, ciagniete chyba z dzbanow bogow, dostojny skarbniku. Lyk tego zmywa caly kurz drogi. Wiec, to jest twój lucznik?

Poniewaz jeszcze nie podano generalowi jego imienia, Rahotep stal na baczosc, wpatrujac sie w kobierzec rozciagnieta na tylnej scianie. Zdawal sobie sprawe, ze jest krytycznie ogladany od stop do glow. Musial wiec uzyc calej sily woli, zeby sie nie zarumienic w czasie tej chlodnej oceny, ktora byla bardziej drobiazgowa - i byc moze bardziej wroga - niz ta, z ktora sie spotkal dzisiejszego ranka ze strony ksiecia.

-Przedstawcie go! - Rozkaz ten zabrzmial jak warkniecie i Rahotep poczul wewnatrz leciutki dreszcz. General akceptowal go jako oficera i nie miala tu znaczenia jego skromna ranga.

-Kapitan Rahotep z Pustynnych Zwiadowcow, przybywa z Nubii, generale. - Nereb poslusznie dokonal prezentacji, a Rahotep sklonil sie, opuszczajac dlonie do kolan.

-Nubia - powtorzyl general z namyslem. - Sluzba na granicy, przeciwko Kuszytom, kapitanie?

-Tak, panie.

-Fal-Falm, Khoris, Sebra, Kah-hi... - nazwy fortow padaly jak grad strzal i Rahotep rownie szybko odpowiadal, ukrywajac zdumienie, ze general w Tebach jest w stanie nazwac takie zapomniane posterunki graniczne.

-Fal-Falm, panie, i Kah-hi...

-Nereb mowil mi, ze przywiodles oddzial swoich ludzi.

Rahotep zaczerwienil sie. gdyz byl zmuszony przyznac sie komus, kto dowodzil tysiacami ludzi, jak szczuple sa jego wlasne sily.

-Tylko dziesieciu, panie, z ich dowodca jedenastu. Wszyscy sa ochotnikami z Kah-hi, doswiadczonymi tropicielami i zwiadowcami.

-Tak - general zmarszczył brwi - to był zły pomysł. Sa-Neklufcie. żeby zamieścić w tym rozkazie nazwy pułków.

Skarbnik Polnocy skinął głową i odrzekł:

-Oni uparli się, żeby korzystać ze starych zwojów. Nie chcieli słuchać żadnych rad.

General Amony prychnął z pogardą człowieka czynu dla biurokratycznych urzędników.

-Wojownicy walczący piorami! Wszystko musi być zrobione tak, jak to zawsze bywało... - Postawił z powrotem na stole obracany dotąd w palcach puchar, a słuzacy pospieszył, żeby go napełnić.

-Tak więc. ponieważ posługiwali się starymi spisami, brakuje nam teraz ludzi. Lecz - general podniósł bulawę leżącą w poprzek jego kolan i uderzył w lewą dłoń jej lwia głowa - siła prawości jest to, co musi znosić. - Jego pełne usta ułożyły się w uśmiech. - Jesteś zdumiony, kapitanie, słysząc wojownika cytującego Wielkiego Starca? Ale to prawda. Tym razem jednak, kiedy berło zostanie uniesione na znak wojny, trzeba będzie czegoś więcej niż pomyłki skrybow, by powstrzymać nasze rydwany i ramiona naszych łuczników. Nie sadzę również, że kiedykolwiek otrzymaliśmy z Nubii trzy pulki, chyba że wyszarpnijemy je własnymi rękami. Coś niedobrego wisi w powietrzu.

Jego oczy pod ciężkimi, opadającymi powiekami były utkwione w Rahotepie z niewzruszonością inkwizytora.

-Jesteś synem Ptahhotepa, kapitanie? - zapytał.

-Jego młodszym synem, panie, nie następcą.

-Coż, dobrze znałem twojego dziadka, Sokola. Za chłopięcych lat, podczas szkolenia w Domu Kapitanów, byliśmy jak bracia. Był on przede wszystkim wojownikiem, a o jego mestwie podczas ostatniego wystąpienia przeciw Hyksosom nadal śpiewają pieśni w obozach. Z pewnością patrzyłby z upodobaniem na wnuka, który był żołnierzem na kuszyckiej granicy, a teraz podjął służbę u faraona. Sadzę, że pozostawił ci dobre dziedzictwo, chłopcze.

Rahotep zrozumiał. Krzepki Amony miał na myśli nie zagrabiony nom, gdzie rządził jego dziadek, lecz krew w jego żyłach, determinację, która kazała mu wytrwać w swych obowiązkach na wygnaniu w Kah-hi. To był ten sam rodzaj determinacji, który popchnął Sokola do walki - nawet beznadziejnej - przeciw najeźdźcy.

-On zbuntował się zbyt wcześnie. - Amony spoglądał teraz wzdłuż sali, jakby widział nie biesiadników, lecz obraz znacznie bardziej ponury. - Lecz kiedy to hyksoskie paniatko zrobiło wypad na południe i domagało się dostojnej Tuyi do swojego Domu Kobiet, Re-Hesy zwołał swych ludzi i podniósł sztandar wojenny. Został zmiażdżony, jak miazdzone jest

proso w zarnach - zbyt wczesnie. Teraz te zmije, nie niepokozone, rzedza sobie w zaciszu juz tak dlugo, ze staly sie tluste i niemrawe. Rozwalaja sie na swoich tronach i przeliczaja wykazy danin, trzymajac w rekach ludzkie zycie i bezczeszczac swoim diabelskim bogiem nasze swiete miejsca.

-Wszystko ma svoj kres - wtracil Sa-Nekluft. - Egipt nie raz znajdowal sie w klopotach, lecz zawsze powstawal i to mocniejszy niz przedtem.

Amony skinal glowa, wyciagajac ponownie reke po puchar.

-Kapitanie - rzekl, odprawiajac Rahotepa - chcialbym zobaczyc twoich lucznikow, lecz teraz nie pora na prezentacje ich zrecznosci, o ktorej Nereb tyle mi opowiadal. Przydacie sie nam. co do tego nie ma watpliwosci. Zdrowie syna corki Sokola! - podniosl puchar do ust. a Rahotep pospiesznie chwycil drugi, wreczony mu przez Nereba, zeby odwzajemnic toast.

-Zdrowie generala - wymruczal, gdy poczul cierpki plyn na jezyku.

Jakos udalo mu sie zrobic dwa regulaminowe kroki do tyłu, nie przewracajac sie o jakas mate czy wpadajac na taboret. Byl szczesliwy, kiedy Nereb skierowal go na lewo i za kilkoma kolumnami, calkowicie zaslaniajacymi ich przed oczami starszyny, doprowadzil do grupy dostojnikow i oficerow blizszych mu wiekiem i nie tak bardzo przewyszajacych go ranga. Zastanawial sie. czy gdyby nie opieka dowodcy strazy ksiecia Kamosego. zostalby rownie chetnie przyjety w tej grupie, gdzie ubior i bron tak dalece przycmiewaly jego wlasne. Wygladalo jednak na to, ze rowniez tutaj Nubia byla magicznym haslem. Co prawda, kilku jaskrawo odzianych dworzan bylo najwyrazniej znudzonych militarnymi tematami poruszonymi przez oficerow, lecz znalazlo sie rowniez trzech lub czterech, ktorzy otoczyli Rahotepa, wpytujac go o walki graniczne i napady Kuszytow.

-Barbarzyncy - pogardliwie skomentowal jeden z dostojnikow.

Jego i tak duze oczy byly okolone obwodkami z malachitu, a upierscienione palce tylekroc ukladaly przejrzysty plaszcz na ramionach w prawidlowe faldy, ilekroc sie poruszyl i zburzyl ich staranny ukklad.

-Dzikusy...

-Ale wojownicy! - poprawil go Nereb, klasnal w rece, przywolujac sluzacego z jedzeniem dla siebie i Rahotepa.

Jeden z oficerow pochylil sie do przodu i zwrocil sie do kapitana:

-Czy wszyscy twoi ludzie to lucznicy? Podobno maja luki o niezwyklych rozmiarach. Jaki jest ich zasieg?

Nereb zasmiał się i zanim Rahotep był w stanie odpowiedzieć, wtracił:

-Chciałbys wiedzieć więcej niż nasz władca, Seker? Kapitan i jego oddział nie staneli jeszcze przed faraonem.

-Stale wojna, bitwy, zasięg włoczn, gromadzenie rydwanów... - przerwał młody człowiek, który przedtem odzywał się na temat barbarzyńskich Kuszytów. - To jest uczta, a nie koszary straży. A co to?

Wskazywał tak dramatycznie jakieś miejsce w połowie sali, że cała grupa podążyła wzrokiem za jego palcem. Coś małego i czarnego oderwało się od filara i z determinacją sunęło pomiędzy grupkami ludzi siedzących na matach, wykonując serie drobnych skoków, a przy każdym zatrzymaniu się przywierając do podłogi.

Rahotep podniósł się na nogi w momencie, gdy jakaś dama z przekrzywionym wieniec z lotosów na peruce pochylila się do przodu, chcąc przyjrzeć się bliżej stworzeniu, które właśnie w tej chwili znalazło sobie schronienie pod osłoną jej pokaznej figury. Wyciągnęła pulchną rękę, pieszczotliwie zwracając się do niego, by po chwili wydać cienki pisk - tym razem nie udawany.

Akurat w tym momencie Rahotep przebył dzieląc ich odległość kilkoma wycwiczonymi na pustyni susami. Podniósł lamparcik z podłogi i zaczął przeproszać i usprawiedliwiać się przed damą. Ta ssła lekko zadrapany palec i, taksując go wzrokiem, przyjęła jego słowa z bardzo łaskawym uśmiechem, który jednak szybko zniknął, kiedy Rahotep zaczął się wycofywać, trzymając w ramionach kociaka, tracającego łapą kolyszający mu się na szyi amulet.

Młodzi mężczyźni powitali kapitana z rozbawieniem i każdy chciał brać lamparcika na ręce, lecz ten jak zwykle warczał i machał ostrzegawczo łapą z wyciągniętymi pazurami. Rahotep skorzystał z wymówki, by opuścić przyjęcie.

-Muszę z powrotem zamknąć Bisa. Nie jest jeszcze dostatecznie wychowany, żeby przebywać w towarzystwie.

Lecz kiedy wyszedł na korytarz prowadzący do jego pokoju, wcale nie spieszył się, żeby wykonać swe zadanie. Mieszana zapachów, trajkotanie i brzęczenie wielu głosów, obcość towarzystwa sprawiły, że stał się niespokojny. Nadal trzymając Bisa, wyszedł do ogrodu, próbując uporządkować swoje wrażenia z tego niezwykle intensywnego dnia. I gdy nagle ktoś stojący za jego plecami odezwał się do niego cicho, zareagował z wyuczona na granicy czujności, przechylając się w półprzysiadzie na jedną stronę, ze sztyłem w ręku.

Rozległ się stłumiony chichot mężczyzny, który go zawołał.

-Zapewniam cię, kapitanie, że nie jestem mordercą. Uważaj mnie raczej za posłanca. Jesteś wzywany.

-Przez kogo i dokad? - odparował Rahotep. Był wzburzony, ale nie chciał, żeby tamten się tego domyslił.

-Przez tego, który ma prawo rozkazywać wszystkim w granicach Dwoch Krajów! - Rozbawienie zniknęło już z jego głosu. - Chodźmy natychmiast, kapitanie.

6. Oczy i uszy faraona

-Nakryj się, głowę też! Podał Rahotepowi podróżną pelerynę z kapturem, taką jakiej używa się na pustyni. Ale kapitan nie miał zamiaru tak łatwo dać soba komenderować nieznanemu. Przyciskając do siebie mruczacego Bisa, nie wziął okrycia, lecz spytał ponownie:

-Dokąd mam iść? Nie zwykłem tak od razu podać za obcymi. W czyjej służbie jesteś?

Nieznanomy młaskał niecierpliwie językiem. Stał do tej pory w półcieniu, unikając pełnego blasku pochodni, umocowanej przy drzwiach. Teraz jednak wyciągnął w górę do światła dłoń. Na której leżała płaska pieczęć. Rahotep pochylał głowę, żeby lepiej się jej przyjrzeć. Niewątpliwie były to zawijasy królewskiego kartusza, chociaż nie potrafił zrozumieć, czemu miałby być tak ukradkowo wzywany.

-Muszę najpierw zanieść Bisa do swojej kwatery.

Lecz posłaniec zarzucił mu pelerynę na ramiona.

-Będziesz musiał zabrać zwierzę ze sobą. Nie ma czasu i nie możemy zostać zauważeni, wychodzić stąd, chłopcze! Chodź!

Chwył go mocno za ramię i popchnął w kierunku muru. Rahotep posłuchał go, aczkolwiek niechętnie.

Podeszli do mniejszej furtki, częściowo ukrytej za rzędem krzewów, i wyszli na wąską drogę. Czekal tam rydwan, przy którym stał, trzymając wodze, mężczyzna ubrany w przepaskę sługi, lecz noszący się jak wojownik oraz drugi, z pochodnią w ręce.

Przewodnik Rahotepa wskoczył na platformę pojazdu, a kapitan, ponaglony gestem, z pewną ostrożnością poszedł w jego ślady. Po chwili doszedł do wniosku, że przypomina to nieco stanie na tratwie z trzciny, używanej podczas polowania na ptaki na rzecznych moczarach, i kiedy parobek odskoczył, a woznica poluzował lejce, starał się tak balansować ciałem, by zrównoważyć kołysanie plecionej podłogi. Stajenny oraz człowiek z pochodnią biegli przodem, podczas gdy towarzysz Rahotepa zrecznie kierował koniem, jadąc szybko pomiędzy pozbawionymi jakichkolwiek otworów, zewnętrznymi ścianami domostw dostojników. Rahotep tak słabo znał miasto, że nie potrafił stwierdzić, w jakim kierunku zmierzają. Jeśli jednak rzeczywiście jechał na królewskie wezwanie - a przecież nikt nie osmieliłby się używać pieczęci faraona bez jego rozkazu - to powinni wyjechać poza

miasto.

Chociaz ksiazetom Teb daleko bylo do bogactwa ich przodkow, to kiedy ojciec Sekenenre objal tron z nadzieja na oswobodzenie kraju, wzniosl swoj wlasny palac poza starym miastem, zgodnie ze starodawnym obyczajem. Jego syn, sprawujacy obecnie polboskie rzady, mieszkal tam nadal, lecz w odpowiednim czasie zbuduje dla siebie nastepny Dom o Podwojnych Drzwiach.

Rahotep nie pomyлил sie w swych przewidywaniach co do celu ich podrozy, gdyz znajdowali sie juz za miastem. Woznica puscil konia galopem, co zmusilo kapitana do mocnego zacisnienia zebow i uchwycenia sie brzegu rydwanu. Przed nimi widoczna byla ciemna masa budynku z nikla poswiata lamp, przesaczajaca sie przez witrazowe okna. Nie tam jednak zmierzali. Rydwan skrecil, zbaczajac na wschod lukiem, ktory wywiodl ich za budynek, pod mur, przez ktory zwieszaly sie dlugie liscie palm.

Stajenny wyskoczyl z zalomu muru i zlupal lejce, a wysiadajacy woznica pociagnieciem za peleryne dal Rahotepowi znak, zeby mu towarzysyl. Znajdowali sie przed boczna furtka, przy ktorej stala jakas postac, trzymajaca mala lampke i oslaniajaca reka jej migoczacy plomyk. Kiedy podeszli blizej. Rahotep ujrzal, ze jest to kobieta, i to nie zwykla sluzaca, sadzac po blysku bizuterii na jej szyi i przegubach.

Kobieta cofnela sie. a jej lampka prowadzila ich jak latarnia morska. Zaslona w wejsciu opadla za ich plecami i znalezli sie w miejscu, ktore, jak ocenil Rahotep, bylo ogrodem. Lampa migotala z przodu, a oni. wiedzeni jej swiatlem, kroczyli jeden za drugim. Po paru chwilach niespodziewanie znalezli sie w korytarzu o malowanych scianach, oswietlonym mnostwem lamp.

Ich przewodniczka byla kobieta w srednim wieku, noszaca zlota opaske na kunsztownie ulozonej peruce. Kiedy sie poruszala, na jej kostce podzwanialy lekko podwojne bransolety z inkrustacja przedstawiajaca jasnozielone wazki. Na sznureczku wokol nadgarstka zwieszal sie wachlarz i oczy Rahotepa rozszerzily sie ze zdumienia, gdyz przypomnial sobie opowiesci matki. To nie mogl byc nikt inny. tylko jedna ze starszych dam dworu, nosicielka wachlarza jednej z krolewskich zon lub corek. Lecz dlaczego...

Przygladal sie szczegolom korytarza, ktorym przechodzili. Malowidla, przedstawiajace kwiaty w ogrodzie z igrajacymi ponad nimi motylami o delikatnych skrzydlach, wychwytywaly swiatlo lamp. Dama dworu dotarla do drzwi na drugim koncu korytarza i obrocila sie twarza do Rahotepa i jego towarzysza, patrzac na nich krytycznie. Przewodnik kapitana sciagnal z jego ramion peleryne i wskazal szybkim ruchem na sandaly.

Rahotep zsunal z palcow rzemyki. Nie nosi sie obuwia w obecności zwierzchnika. Tymczasem Bis poruszył się w jego objęciach i kapitan popadł w rozterkę. Jeśli zostawi tutaj kociaka. ten może powędrować do ogrodu i zaginąć. Z drugiej strony, skoro udaje się na audiencję do faraona, to czy może osmielić się zabrać go ze sobą?

Kobieta skinęła na nich ręką. Rahotep próbował przycisnąć wiercącego się Bisa mocno do swego boku i być dobrej myśli. Zanurkował pod umieszczoną w drzwiach kotara i stanął w jakby pomniejszonej wersji głównej komnaty. Te same filary podziałowe, te same pokrycia ścian, to samo podium z wysokim krzesłem przy końcu komnaty, które można znaleźć we wszystkich domach dostojników. Ale zarazem to wewnątrz było bogatsze, chociaż zaprojektowane z mniejszym rozmachem niż inne, które dotąd widział. Kapitan zauważywszy służącą, dokładającą opalu do paleniska na podłodze i drugą dziewczynę, stojącą w gotowości w pobliżu podwyższenia, zatrzymał się w nagłym przeczuciu katastrofy. Znajdował się w Domu Kobiet jakiegoś wysokiego dostojnika lub w Domu Królewskich Dam.

Zaintrygowany, okiem zwiadowcy obrzucił komnatę i ludzi w niej się znajdujących.

Wyglądało na to, że na razie nikt nie zauważył jego wejścia, miał więc parę chwil na szybki przegląd. Dwa krzesła przed draperią na tylnej ścianie były zajęte. Zagryzł dolną wargę, kiedy dostrzegł bieżąco-zielony blask korony z pioruna na głowie starszej z kobiet. To musiała być jedna z królowych - Teti-Sheri, królewska matka lub Ah-Hetpe, królewska żona.

Mógł lepiej im się przyjrzeć, kiedy zrobił parę kroków do przodu. Kobieta z Koroną Sepa niewatpliwie musiała być królową Teti-Sheri, natomiast druga, która właśnie się pochyliła, żeby przesunąć pionek na planszy seneta, była znacznie młodsza. Długie pasma jej własnych, falistych włosów przytrzymywał delikatny diadem ze złotych drucików, usiany małymi, białymi i niebieskimi kwiatkami z drogich kamieni, połączonych razem inkrustowanymi kwiatami lotosu. Podobieństwo pięknie wyrzeźbionych rysów obu kobiet było tak wyraźne, że ich pokrewieństwo musiało być bardzo bliskie.

Dama w diademie zrobiła swój ruch i zaśmiała się, unosząc palec wskazujący w geście przyznania się do porażki przed pochylonym nad planszą młodzieńcem, swym przeciwnikiem. Jego mocne ciało o szerokich ramionach i krepiej budowie zapasnika kontrastowało ze smukłą elegancją obu dam. Twarz jego, skoncentrowana na szpikulcach planszowej armii, nie była zbyt urodziwa, gdyż górne zęby lekko wystawały, unosząc wargę, a nos był szeroki i brakowało mu klasycznej linii, widocznej u obu kobiet.

Rahotep miał niewiele czasu na przyglądanie się towarzystwu, gdyż kobieta, która przyprowadziła ich do tej sali, podeszła szybko do królowych i zgodnie ze starym zwyczajem "ucalowała pył".

Królowa Teti-Sheri wyprostowała się na krzesle wysłanym poduszkami. Teraz z kolei Rahotep padł na ziemię w pełnym poklonie, kiedy skierowała na niego swe przenikliwe spojrzenie. Oczy królowej były powiększone przez uczernione rzęsy i linie w kącikach. Kapitan skulił się na posadzce, po czym cicho jęknął, gdyż Bis wyrwał się z jego nerwowego uścisku, spadł na podłogę i umknął, ze zwykłą dla siebie zwinnością i wdziękiem, nim Rahotep zdążył wykonać jakikolwiek ruch w jego kierunku.

Młodsza królowa zaśmiała się ponownie, lecz w jej rozbawieniu nie było złośliwości. Było to raczej zaproszenie, żeby wszyscy przyłączyli się do jej śmiechu. Rahotep, czerwieniąc się ze wstydu i słysząc kroki, nie śmiał spojrzeć w górę, żeby zobaczyć, kto się do niego zbliża.

-Wstan, kuzynie! - Głęboki, młody, prawdziwie męski głos wyjął kapitanowi polecenie, po czym Rahotep poczuł na ramieniu dotknięcie łaski. Kiedy podniósł głowę, stwierdził, że stoi przy nim, uśmiechając się, chłopiec, który przedtem znajdował się przy stoliku z senetem.

A co dziwniejsze. Bis, który nigdy nikomu oprócz kapitana nie okazywał przyjaźni, ocierał się jak kot o kostki tamtego. Rahotep dopiero teraz zauważył księżycy chwast, zwisający przy opasce obejmującej gestę, brązowe loki młodzieńca i pojął, że jest to Ahmose, młodszy z synów faraona.

Kapitan nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia. I dopiero gdy dotarł do niego sens słów, którymi został powitany, podniósł się i wraz z księciem podszedł niesmiało do królowych.

Królewska matka Teli-Sheri wpatrywała się w niego z nateżeniem, studiując uważnie jego twarz, jakby szukała jakichś znajomych rysów.

-A więc jesteś synem Tuji. - Ponagliła go, żeby podszedł bliżej, kiedy zatrzymał się w przepisowej odległości. A potem, widząc jego zakłopotanie, wyjaśniła:

-Czyżbyś nie wiedział, że dostojna Tuya, będąc jeszcze małą dziewczynką, została przyjęta na nasz dwór? Jak mogłoby być inaczej, skoro jej matka była dostojną Heptephaas z królewskiej linii? Och, to było w tych ponurych czasach, kiedy nikt nie wiedział, czy przeżyje od Nadejścia Re o poranku do Jego Odejścia wieczorem. Sokół zaaranżował małżeństwo Tuyi z wicekrólem Nubii dla jej bezpieczeństwa, gdyż spodobała się księciu Hyksosów i zazał jej do swojego Domu Kobiet. Tak więc opuściła nas, a my płakaliśmy... - jej słowa ucichły jak zamierający dźwięk srebrnych strun harfy.

Rece Rahotepa zacisnęły się za plecami. Matka nigdy ani słowem nie wspomniała o życiu na dworze w Tebach. Czy dlatego, że nie mogła sobie pozwolić na wspomnienie szczęśliwych dni - w pałacu, w którym rządziła Meri-Mut? Spoglądając teraz na królewską matkę, kapitan nie wątpił, że jej dwór dalece różnił się od prowadzonego przez polnubijską, pierwszą żonę jego ojca.

-Opowiedz mi o Nubii, synu Tuyi! - królowa znów się ożywiła. Ponieważ Rahotep wahał się przez chwilę, nie wiedząc, czy królowa Teti-Sher chce usłyszeć o nieszczęśliwym życiu jego matki, czy o samym kraju, ponagliła go do mówienia, zadając szereg pytań. W miarę jak upływał odmierzany zegarem wodnym czas, zaczął zdawać sobie sprawę, że wydobyla z niego prawie wszystko; wycisnęła go do sucha, jak się wyciska skórka winogrona.

Nabierał śmiałości, jako że znalazł odpowiedzi na jej pytania i nawet osmielił się zerknąć raz, czy drugi na ścianę za jej krzesłem, na której wisiał kobierzec, który od czasu do czasu

poruszał się lekko, jakby nie zakrywał ściany, tylko jakas wneke lub otwor drzwiowy. Rahotep był przekonany, że podczas gdy królowa Teti-Sheri, królewska małżonka Ah-Hetpe i książę Ahmose słuchali go wprost, to za dywanem znajdował się jeszcze jeden słuchacz. Odnosił wrażenie, że mówi do większej grupy, a nie tylko do tej, która widzi.

-Ten książę Teti, czy pragnie on wzniesć własny sztandar? - spytała królowa-matka.

-Chodzą takie pogłoski, Wasza Wysokość. Lecz plotki nie zawsze wyrastają z prawdy.

Uśmiechnęła się.

-Jesteś ostrożny, kapitanie. Jest to dobra cecha u kogoś tak młodego. Książę Kamose słyszał opowieści o umiejętnościach twoich łuczników. Możliwe, że zostaną poproszeni, by opisać się zrezygnacją przed naszym królem. Tymczasem wiedz o tym, dziecko, że takimi samymi względami, jakimi darzyliśmy Tuye, będziemy darzyć jej syna. Przynies mi teraz tego nubijskiego lamparta, którego wskazał ci Horus. - Te historie również z niego wyciągnęła. - Chciałabym przyjrzeć mu się bliżej.

Jej przemiana z podejrzliwego inkwizytora w czarującą damę była tak nagle, że aż Rahotep zamrugał oczami. Posłusznie jednak rozejrzał się za Bisem. Wzdrygnął się. Kociak umocился pod krzesłem królewskiej małżonki i był w tej chwili czymś zajęty. Sobie tylko znanym sposobem ściągnął porcję pieczonego gołębia z małego stolika zastawionego delikatesami. A teraz, z wielką przyjemnością i pośpiechem, ją pozerwał.

Ahmose zauważył przerażone spojrzenie Rahotepa i wybuchnął śmiechem. Jego matka Ah-Hetpe, zaskoczona reakcją syna, przechyliła się przez poręcz krzesła, pragnąc stwierdzić, na co wszyscy patrzą.

Wesołość ogarnęła także Teti-Sheri.

-Złodziej w pałacu. Wojownik - łupieżca! - krzyknęła z rozbawieniem, a następnie pochyliła się z wdziękiem i trzepnęła złożonym wachlarzem w krzesło Ah-Hetpe. Bis, trzymając kurczowo swojego gołębia, wycofał się w miejsce, w którym Rahotep mógł go dosięgnąć. Lecz kiedy chciał wyrwać kociakowi resztki ptaka, królowa-matka potrzaskała głową.

-Pozwól temu śmialkowi zatrzymać to, co wziął. To dobra wroźba dla ciebie, kapitanie. Kiedy nastąpi właściwy moment, bądź tak śmiały jak dar Horusa, gdyż w tych czasach trzeba być śmiałym, a nie chować się w cieniu.

Rahotep odniósł wrażenie, że jej wzrok powędrował ku kobiercowi, tak jakby te słowa miały być zachętą dla kogoś jeszcze.

Wkrótce potem kapitan został łaskawie odprawiony, a jego powrót do domu Sa-Neklufta został przeprowadzony tak samo, jak wcześniejszy wyjazd. Jeśli nawet skarbnik lub jego syn wiedzieli o tej sekretnej wyprawie, to nie powiedzieli ani słowa, a Rahotep domyślił się.

choć nikt mu o tym nie wspominał, że cały ten zdumiewający epizod powinien zatrzymać dla siebie. Nieco później znalazł drogę do komnaty Methena i pod pretekstem, że chce dowiedzieć się czegoś więcej o tebańskim życiu i istniejących tu nurtach, zaczął go wypytywać, aby zarysować sobie jakieś tło, w które mogłby wpasować poznane dzisiaj osobistości.

Methen mówił o królowej-matce z najgłębszym szacunkiem. Jako następczyni tronu, byłaby ona królową, cokolwiek by się stało, lecz ona królowała faktycznie, a nie tylko z nazwy. Miała duży wpływ na meza. To dzięki niej król stawiał opór Hyksosom, a teraz to samo czyni jej syn. Królewska małżonka Ah-Hetpe miała ten sam, niezależny umysł. Sam Sekenenre, aczkolwiek nie brał jeszcze udziału w żadnej wielkiej bitwie, cechował się przezornością godną administratora. Natomiast jego syn, Kamose, był cenionym dowódcą.

-A książę Ahmose? - spytał Rahotep. Po raz pierwszy Methen pokręcił głową.

-Ahmose jest bardzo młody, niedoświadczony. Chodzą pogłoski, że chciałby objąć dowództwo armii w czasie kampanii wojennej i z taką prośbą zwrócił się do faraona. Lecz ludzie oczekują, że to książę Kamose, jako królewski następca, a nie Ahmose, będzie kierował wojskiem.

Jednak kiedy Rahotep leżał później tego wieczoru, wyciągnięty na swoim łożu, zaczął się zastanawiać. Faktycznie wyczuwał, tam na przystani, silną osobowość Kamosego. Lecz było coś niepokojącego w tym królewskim synu, jakiś wewnętrzny ogień trawiący jego szczupłe ciało. Książę kojarzył mu się z płomieniem - płonącym gwałtownie, jednak szybko gasnącym. Ahmose był inny. Miał tę samą energię i wolę co jego brat, lecz oparta na solidniejszych podstawach, tak jak i silniejsze było ciało młodszego księcia. Kamose mogłby poprowadzić ludzi do zwycięstw, lecz w trakcie walki całkowicie by się wycieńczył. Ahmose przystąpiłby do bitwy metodycznie, jak człowiek podążający za tropem, końcowe zwycięstwo byłoby jego udziałem, a on nadal byłby rzeski.

Rahotep spuścił nogi z łoża i usiadł, wpatrując się w ciemność. Skąd to wiedział i dlaczego, nie potrafiłby wyjaśnić. Był jednak w tym momencie przekonany, że jeśli w przyszłości miałby jakiś wybór, to będzie chciał służyć pod Ahmosem. I natychmiast po podjęciu tej ważnej decyzji zapadł w sen, który wcześniej nie chciał nadejść.

Wezwanie, by zebrał swoich ludzi i pomaszerował z nimi na pole ćwiczeń, nadeszło wcześniej rano przez Nereba. Ponieważ dni były upalne i słońce srogo karało tych, którzy się trudzili pod jego promieniami, wszelkie ćwiczenia musiały odbywać się, zanim Łódź Re dotarła do połowy nieba. Komendant północnych wojsk zrezygnował z uroczystego munduru i pojawił się w prostej spodniczce polowego oficera, maszerując obok Rahotepa jako przewodnik.

Złoty kurz wzbijał się w powietrze znad szerokiego pasa płaskiej, spieczonej słońcem ziemi, gdzie kolyszące się rydwany ustawiały się w szereg. Niecierpliwe ogiery cofały się i

rzaly, a na blysk bulawy dowodcy ruszyly jak burza w poprzek pola. w czolowej formacji prowadzonej przez pojazd ksiecia Kamosego. Obserwujac ten atak. Rahotep doskonale mogli sobie wyobrazic, jak kilka pokoleni wczesniej doszlo do kleski egipskiego uzbrojenia, kiedy na oszczepnikow i lucznikow ruszylo takie natarcie Hyksosow, zalewajac Dwa Kraje. Jednoczesnie zmruzonymi oczami ocenial, jak wielkie spustoszenie moglby siac oddzial dobrze rozmieszczonych lucznikow. Kon, nawet w galopie, byl znacznie lepszym celem niz czlowiek. Wystrzelac konie, a wtedy rydwany zacznal sie wywracac i zderzac jeden z drugim. Czolo ataku zalamie sie samo.

Doswiadczony w lucznicznym rzemiosle Kheti zauwazyl to rownie szybko.

-Grad strzal z lewej i prawej strony, panie - zwrocil sie do kapitana - i te kola przestana sie obracac. Chociaz przyznaje, ze te rydwany sa bardzo szybkie, wiec lucznicy beda mieli szanse oddac tylko jeden strzal i musza byc dobrze rozmieszczeni, zeby tego dokonac.

Nereb obrocil sie. przygladajac im sie bacznie.

-Obaj uwazacie, ze wasi lucznicy byliby w stanie przelamac taki atak? - rzucil, na poly wyzywajaco.

-Jak juz wczesniej powiedzial Kheti, musi byc odpowiedni teren, lucznicy wlasciwie rozstawieni i wszystko doskonale zgrane w czasie. Zakladajac, ze te warunki zostana spelnione, wtedy nawet banda kuszyckich rozbojnikow nie bedzie mogla wam przysporzyc klopotow. Nubijskie luki maja zarowno sile, jak i duzy zasieg.

-Uwazaj, bo moze bedziesz musial wprowadzic w czyn swoje przechwalki - ostrzegl Nereb.

-To nie sa przechwalki, panie - odparowal Rahotep. - Bylem swiadkiem, jak Hori z, mojego oddzialu celnie wypuscil strzale do uciekajacego oryksa. Wszyscy moi ludzie sa wytrawnymi strzelcami.

Nereb opuscil ich, zeby zameldowac sie swoim przelozonym i wydawalo sie. ze nie beda mieli zbyt szybko okazji, zeby zaprezentowac swe zdolnosc i tym samym zdobyc formalny przydzial do szeregow znajdujacych sie przed nimi. Lucznicy byli coraz bardziej zniecierpliwieni i zaczynali juz szemrac pod nosem. Szepty te szybko przerodzily sie w zjadliwa krytyke wyczynow oddzialu lucznikow z polnocy, uzywajacych krotszych lukow i strzelajacych do celow, na ktore Nubijczycy spogladali z jawna pogarda. Rahotep byl pewien, ze jedynie jego obecnosć powstrzymywala ich od glosnych komentarzy.

Byl juz serdecznie zmeczony wdychaniem kurzu, pieczeniem sie na sloncu i staniem beczynnie, kiedy poslaniec okrazyl oddzial oszczepnikow. by dotrzec do nich.

-Panie - wydyszal - faraon chce was zobaczyc, chodźcie!

Pobiegli za nim truchtem, przemykając się zygzakiem pomiędzy rydwanami i piechotą, aż dotarli do platformy, na której stał składany taboret, pod chroniącym go od słońca baldachimem. Dwaj nosiciele wachlarza wprawiali w ruch gorące powietrze ponad niebieskim, wojennym hełmem siedzącego tam mężczyzny. Rahotep pospół z łucznikami padł na twarz przed władcą Dwoch Krajów.

-Faraon chciałby zobaczyć siłę waszej broni, kapitanie. Niech twoi ludzie strzelają do celów. - Książę Kamose wysunął się, żeby przekazać rozkaz.

Rahotep, nie osmielając się spojrzeć na twarz pod błękitnym hełmem przesuwał się w kurzu do tyłu. aż znalazł się w odległości, w której mógł już podnieść się i przyjrzeć wypchanym worom z krowiej skóry, zamocowywanym na strzelnicy. Skrzywił się, widząc bliskość celów i, zapominając o wszystkim oprócz konieczności pokazania się z jak najlepszej strony, zamachał do ludzi ustawiających cele. żeby przesunęli się dalej, a potem jeszcze dalej, chociaż ci byli tym zdumieni.

-Będziemy strzelać jeden po drugim - powiedział do Khetiego - a potem dwukrotnie wszyscy razem, na sygnał.

-Tak jest - zgodził się podoficer i przekazał rozkaz.

Jeden po drugim, Nubijczycy podchodzili do linii i napinali łuki. a strzały swistały w powietrzu, by po belty utkwić w skorzanych worach. Po nich oddał swój strzał Kheti. a na koniec Rahotep, który włożył dziś swój srebrny ochraniacz na rękę. Chociaż jego łuk był mniejszy niż te, które nosili jego ludzie, wykonany był według tego samego wzoru, a jego trafienie było równie celne.

Potem, jak jeden mąż. łucznicy rozciągnęli się w równą linię, z Khetim na jednym końcu, a Rahotepem na drugim. Kapitan rzucił szybko okiem wzdłuż linii, po czym z jego ust wydobył się swist. Dwaście strzał pofrunęło niemal równocześnie i wszystkie dwaście dosięgło celu. Od strony przyglądających się temu oficerów i wojowników dało się słyszeć liczne komentarze, a po chwili przybiegł posłaniec faraona.

-Faraon życzy sobie, żebyście strzelali teraz do ruchomych celów - przekazał Rahotepowi. - Z sieci zostaną wypuszczone ptaki. Niech twoi ludzie będą gotowi.

To, co potem nastąpiło, przypominało ich pokaz dla Nereba na okręcie. Żadnemu z ptaków nie udało się przedostać przez pole na wolność. A Rahotepowi wydano rozkaz ponownego stawienia się przy platformie. Stał z pochyloną głową, po raz pierwszy słysząc głos faraona.

-Jest nam miło przyjąć kapitana Rahotepa i jego ludzi do naszej służby. Niech zostaną przydzieleni jako zwiadowcy do sił księcia Kamosego.

-Życie! Pomysłowość! Zdrowie! - wykrzyknął Rahotep zwyczajową odpowiedź.

Z wielka duma obracał w reku nowy bicz kapitański, podziwiając głowę lwa na raczce, kiedy jakiś rydwan zatrzymał się w tumanie kurzu. Jego woznica, z łatwością panujący nad niecierpliwym koniem, przechylił się przez krawędź i zawołał do Rahotepa:

-Kapitanie!

Rahotep rozpoznał Ahmosego. którego szeroka twarz okalał zwykły, płocienny nemes, taki sam jak jego, tylko ozdobiony królewskim ureuszem. Zsalutował swym świeżo otrzymanym biczem i podszedł bliżej.

-Jutro w tym pustynnym pasie polujemy na lwy. Skoro twoi ludzie są tak świetnymi zwiadowcami, pozwól im pokazać swoje zdolności tropicielskie - tak, jak wykazali się tu dzisiaj swoją celnością. - Ahmose uśmiechnął się i dodał: - Myślę o tym, kapitanie, żeby oswoić sobie kociaka podobnego do twojego, jeśli uda nam się jakiegos wypląszyć. W każdym razie powinniśmy mieć dobrą zabawę, bardzo dobrą zabawę.

Ostatnie słowa wypowiedział powoli, jakby zawierały jakieś ukryte znaczenie. Potem poluzował lejce i pedem odjechał.

-To wielki pan, bracie - Kheti podszedł z tyłu do swego dowódcy. - I sądzić z wyglądu, prawdziwy wojownik.

-To jest książę Ahmose - Rahotep poprawił go z nutą gniewu w głosie. - Młodszy z królewskich synów.

-To co z tego? - Kheti patrzył wzdłuż pola treningowego na szybko ginący w dali rydwan. - Mimo to twierdzą, że jest on przede wszystkim wojownikiem, a dopiero potem oficerem czy królewskim synem. Czego chciał od ciebie, panie?

-Żebyśmy poszli z nim jutro na polowanie. Chce zobaczyć zreczność naszych zwiadowców.

Kheti kiwnął głową. Słychać było satysfakcję w jego głosie, kiedy odpowiedział:

-I tego właśnie pragnę, panie. Ufam, że przybędzie on pewnego dnia do Nubii, bo nie będzie to łatwy kasek do zgryzienia dla Tetiego. Tak, będziemy tropicielami i jeśli kryją się tam jakieś lwy, to na pewno wyjdą dla jego uciechy.

Lucznikom, przyjetym dziś pod królewską komendę, przydzielono kwatery w koszarach - mały, boczny budynek wychodzący na dziedziniec, który dawał im pewne odosobnienie. Rahotep i Kheti mieli dla siebie komnaty, a pozostali rozłożyli maty do spania w sieni. Były to nieskonczenie lepsze warunki niż w ich kwaterach w Kah-hi. a kiedy jeszcze zaopatrzone ich w dobrą oliwę do nacierania, dostatek jedzenia i nie wzywano do natychmiastowego pełnienia obowiązków, śpiewali pochwały swego nowego życia.

Hori zrobił mały bebenek do wybijania rytmu, taki, jaki robiono w jego plemienu, i mężczyźni, jeden po drugim, przylaczali się do tańca wojowników, który był także częścią ich szkolenia, gdyż ruchy były w nim tak dobrane, by utrzymać giętkość i zwinność ciała.

Potem, kiedy zdyszani rzucili się na ziemię, zdali sobie sprawę z obecności nowych przybyszów - oszczepników, sadząc po ich stroju. Eskortowali oni wysokiego mężczyznę o skorze błyszczącej od oliwy, mającego na sobie jedynie prostą przepaskę na biodrach. Rahotep uśmiechnął się, znając dobrze powód ich przybycia - odwieczne wyzwanie, któremu musi stawić czoło każdy oddział nowo przybyły do jakiegoś fortu. Rozejrzawszy się dookoła, zauważył, że Mereruka podnosi się już na nogi, odpinając pas przy spodniczce, a jego towarzysze siadają czujnie wyprostowani, wyciągając z woreczków przy pasach różne osobiste drobiazgi nadające się do stawiania w zakładach. Ponieważ widzieli już Mererukę w akcji, a nawet większość z nich posłużyła mu w przeszłości za łatwych do powalenia przeciwników w zapasach, nie mieli żadnych wątpliwości, co do możliwości swojego mistrza.

Jeżeli ci mieszkańcy północy myśleli, że ich człowiek jest zdolny stawić czoło Pustynnemu Zwiadowcy, a zwłaszcza takiemu, którego umiejętności umożliwiły jego kolegom doprowadzenie do niedzy mieszkańców większości fortów na granicy kraju Kusz, to powinni przemyśleć to raz jeszcze, a najlepiej kilka razy. Wzdychający ze szczęścia Nubijczycy z uwagą śledzili wypadki dzisiejszego wieczoru, przeliczając w myślach zyski. Naprawdę. Dedun uśmiechnął się dziś do nich!

7. Polowanie na "lwy"

Grupa myśliwych wyruszyła z koszar przed świtem, żeby być już daleko w drodze, zanim pełny żar słońca spadnie na tę pustynną krainę. Rahotep siedział w rydwanie, trzymając się krawędzi, podczas gdy Nereb, z lejcami w rekach, wytrzaszał ich na wybojach, jadąc śladem wspanialszego, księżecygo pojazdu. Jego ludzie podawali przodem z psiarczykami, wyruszywszy dobrą godzinę wcześniej. - W tym miesiącu lwy wywlekły byka ze stada świątyni Mina - powiedział Nereb między podskokami. - Są tu dwa młode samce, które najwyraźniej nie boją się ludzi.

Podczas gdy Nereb mówił, Rahotep zastanawiał się nad wyposażeniem przyczepionym rzemieniami do boków rydwanów. Włocznie - tak, wprawni myśliwi mieli zwyczaj ciskać włoczniami w lwy - kasety na łuki i kolczan. To też było normalne. Kontynuując jednak swój przegląd, musiał zauważyć dwie tarcze, które Nereb przyciskał kolanami, by się nie przewróciły. Kapitan nie przeoczył też faktu, że oszczepnik Nereba wyruszył wcześniej, razem z psiarczykami. Mogli oni być potrzebni jako naganiacze, to prawda. Jednak z drugiej strony, nie było z pewnością potrzeby, żeby wykonywali to zadanie w kompletnym szyku bojowym.

Kiedy rydwany skreśliły z traktu tebańskiego na rozległy obszar pokryty czarną, wyschniętą gliną, która mniej więcej za miesiąc, zalana wodą, stanie się żyznym polem.

Rahotep w okrezny sposob podjal interesujacy go temat.

-Jak duza czesc poludnia jest we wladzy Hyksosow?

-O dzien drogi na polnoc od Teb nasi ludzie nadal placa im trybut. Lecz ich pierwsza forteca jest o jeszcze jeden dzien drogi dalej. Dwadziescia lat temu Teby rowniez wysylaly statki z danina, a ksiazeta najezdzcow sprawowali tu rzady.

-Jak ich wygnaliscie? Czemu nie wrocili sila? Nereb usmiechnal sie dziwnie.

-Oni nie odeszli, oni umarli. Ich bog odwrocil od nich twarz i zeslal na nich zaraze. Jaki czlowiek moze obronic sie przed choroba, ktora uderza miedzy wschodem, a zachodem slonca? Ich krol wyslal do wladcy Teb wiadomosc, ze zbudzilo go prychanie hipopotamow w rzece i ze powinniśmy oczyszcic nasz kraj ze wszystkiego, co wywoluje jego niezadowolenie. Tak wiec, odsylajac mu ciało jego gubernatora, poslalismy rowniez skory hipopotamow. Wyglada jednak na to. ze razem ze skorami poplynela klatwa Amona-Re, gdyz synowie Seta zaczeli chorowac i zaraza uderzyla w ich szeregi, chociaz nie dotknela tych, ktorzy sluchali prawdziwych bogow. Lekajac sie choroby, barbarzyncy wydali dekret, nakazujacy wycofanie sie z poludnia, dopoki nie minie niebezpieczenstwo. Zdaje sie jednak, ze ten czas jeszcze nie nadszedl. Kraza opowiesci, ze na ziemiach Semitow panuje wrzenie, w zwiazku z czym krol Hyksosow musi poswiecic swa uwage stlumieniu rebelii na tamtych terenach. - Nereb wzruszyl ramionami. - Zreszta, co to ma teraz za znaczenie, co bylo przyczyna: zaraza, klatwa, czy klopoty w odleglych krajach. W kazdym razie dali nam przestrzen, na ktorej mozemy rozpoczac przygotowania do pozbycia sie ich.

Rahotep mial wrazenie, ze opowiesc Nereba pelna byla dziwnych luk i niejasnosci. Zauwazyl rowniez, ze jada teraz na polnoc. Pozbyl sie jednak podejrzen, kiedy dotarli w koncu do rozleglego, nieuprawnego terenu, gdzie na spieczonej ziemi stal gaszcz uschnietych i kruchych trzciny i papirusow. Gesty, czarny dym wzbijal sie w powietrze z pojedynczych punktow tworzacych polkole i przesuwal sie powoli do przodu przez trzeszczace trzciny zarosla, znaczac droge nagonki z pochodniami, ktorzy won miala wyploszyc wszystkie lwy. odpoczywajace tam po udanym, nocnym polowaniu.

Uwolnione ze swych smyczy psy szczekaly z podnieceniem, a ich szlak przez martwy i suchy gaszcz znaczylo nienaturalne falowanie zoltych wierzchołkow trzciny. Nagle rozlegl sie niski, podobny do kaszlu ryk. Nereb owinal sobie lejce wokol pasa. jak podczas bitwy, dzieki czemu mial wolne rece i mogl chwycic wlocznie wyciagnieta z przytrzymujacych ja rzemieni. Rahotep, obawiajac sie. czy trafi do celu, majac tak chwiejny grunt pod nogami, wybral strzale i zalozyl ja na cieciwe.

Ich rydwan znajdowal sie na lewo od powozonego przez ksiecia, natomiast po drugiej stronie Ahmosego jechal czlowiek nieznanый Rahotepowi - starszy mezczyzna w cywilnym stroju, ktory mial woznice do kierowania koniem, podczas gdy on sam trzymal krotka dzide. Wedlug zwyczaju. Ahmose bedzie mial prawo pierwszy strzelic do lwa. ktory chcialby sie

przebiec między rydwanami. Książe poszedł za przykładem Nereba i owinał sobie lejce wokół pasa. a do reki wziął wojenny luk.

Świetnie wytrenowane konie, raz zatrzymane, stały na swych miejscach bez ruchu, z podniesionymi głowami i nastawionymi uszami, jakby starały się wychwycić każdy dźwięk dochodzący z trzciny. I znowu rozległ się ten ryk przypominający kaszel - niski, oburzony. A ponad nim dało się słyszeć szczekanie podnieconych psów i okrzyki ludzi.

Liszcze papirusów poruszały się i łamały tam, gdzie dym pochodni wskazywał drogę naganiaczy. Ale od strony zbudzonego lwa nie dochodził w tej chwili żaden dźwięk. Gdyby mężczyźni czekający w rydwanach nie znali zwyczajów zwierzęcia, mogliby być niemile zaskoczeni, bo oto lew o plowej sierści, ze wspaniałą grzywą, warcząc z wściekłości, przedarł się przez ostatnią zasłone wysuszonych traw i skoczył pomiędzy rydwany księcia i balansującego swa dzida nieznanego.

Cieciwa brzeknęła ostro i lew przekościłkował, rozszarpując twarde jak cegła gline ostrymi pazurami.

-Ho! - wykrzyknęli wszyscy z podziwem. A Ahmose z chłopieca wesołością, pierwszym naprawdę młodzieńczym gestem, jaki Rahotep u niego zauważył, pomachał swym lukiem nad głową, gdy dwaj oszczepnicy wybiegli z lina do przeciwności zdobyczy na miejsce, gdzie będzie można z niejściągnąć skóre.

Lecz nagonka poruszyła jeszcze jedno zwierzę, znajdujące się w tym jaszczu trzciny. Szczekanie psa przerodziło się w pisk agonii. Wbrew naturze, jakiś osaczony lew musiał zwrócić się przeciw przesładowcom, nie chcąc dać się wypędzić z upatrzonego miejsca i gotów walczyć z nimi aż do końca. Rahotep unosił się o parę centymetrów, wspierając o ściankę rydwanu, gdyż chciał zobaczyć coś więcej z tej walki, a nie tylko gwałtownie poruszające się wierzchołki trzciny.

Wiedział dobrze, że takie wysuszone mokradła kryją w sobie liczne pułapki. Spieczona słońcem skorupa była twarda, jednak trafiały się miejsca, gdzie pozostało jeszcze pod nią trochę wilgoci. I każdy, kto skruszyłby twarde jak kamień górne warstwy, mógłby ugrzeznąć w bagnie i daremne byłyby wszelkie wysiłki, żeby się uwolnić. Rahotep widział kiedyś krowę schwytaną w taką pułapkę - trzeba było ją w końcu zabić, gdyż nie udało się jej wyciągnąć. Każdy z naganiaczy, który miałby uwagę skupioną tylko na osaczonym lwie, mógł również zostać tak wciągnięty, zanim zdążyłby sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

Konie przy rydwanach były rozdrażnione wrzawą, więc Nereb i książę odłożyli bron, żeby zapanować nad niespokojnymi zwierzętami. Czarny ogier Ahmosego cofał się z gniewnym rzeniem, aż Rahotep zaniepokoił się o bezpieczeństwo ciągniętego przez niego, lekkiego pojazdu. Książę przemawiał do konia jednostajnym głosem, by go uspokoić, jednocześnie pewnym ruchem ściągnął lejce.

Wśród trzciny podniósł się krzyk i z wyschniętego bagniska wystrzeliła jakby ciemnobrazowa smuga, która zatrzymała się dopiero przed kopytami konia Nereba, co spowodowało, że przestraszony kon skoczył do przodu. Szarpnięcie to wyrwało krawędź rydwanu z reki Rahotepa i ten przewrócił się do tyłu, uderzając z wielką siłą w ziemię, podczas gdy rydwan, z nie dającym się powstrzymać koniem, potoczył się do przodu.

Z trudem chwytając powietrze i wpatrując się w niebo wirujące mu przed oczami z prawa na lewo i z powrotem, młody kapitan nagle zdał sobie sprawę, że ostatecznie nie wylądował płasko na ziemi, że pod jego barkami coś wije się energicznie, wrzeszcząc z gniewu i strachu. Nie bardzo wiedząc, co się dzieje, w przebłysku wspomnienia o minionych zmaganiach zapasniczych, w których podobnie walczył na ziemi, Rahotep obrócił się na brzuch i rozplaszczyl to wiercące się ciało, czując pod rękami szorstkie futro, a na twarzy gorący oddech drapieżnika.

Nie puszczał go, bo nie mógł. Tylko tak długo, jak długo trzymał te wierzgające łapy przycisnięte do ziemi, mógł uniknąć paskudnego podrapania pazurami. Na szczęście schwytała bestia była dopiero na pol wyrosnieta, gdyż inaczej nie mógłby jej utrzymać po pierwszej chwili zdumienia i paniki.

Kapitan nadal z uporem przytrzymywał zwierze, kiedy jakaś postać przebiła się do niego przez tuman kurzu. Po chwili usiadł, kaszląc glucho, a z oczu popłynęły mu łzy, kiedy daremnie je tarł, usiłując uwolnić od pyłu. Wielkie rece Khetiego z całą siłą przygwozdzily warczącego młodego lwa do ziemi. Na pokrytej pyłem i potem twarzy Nubijczyka pojawił się uśmiech.

-Ha. bracie, to jest zdobycz! Nieco większa od Bisa. lecz mająca ten sam, co on charakterek. Podrapał cie?

Wstrzasnięty Rahotep zbadal szkody. Spodniczka na udach była w strzepach, lecz na skórze pod nią nie było żadnych świeżych śladów. Naprawdę miał szczęście, bo doskonale wiadomo, że pazury lwa są brudne i spowodowane przez nie rany goją się powoli i boleśnie, o ile w ogóle.

Podbiegło dwóch oszczepników z rozciągniętą między sobą grubą siecią. Wspólne wysiłki wszystkich czterech pozwoliły opanować lwa właśnie w chwili, kiedy podszedł do nich książe. Dotknął on ramienia Rahotepa, chcąc, żeby ten się do niego odwrócił.

-Czy odniosłeś jakies rany. Kuzynie? Kapitan zaśmiał się nieco niepewnie i odrzekł:

-Dzięki łasce Horusa, nie, Królewski Synu. I wygląda na to, że masz teraz kociaka. którego pragniesz. Nie - przyjrzał się bliżej ciągle wijącemu się ciału - to więcej niż kocie. Nie wiem, czy uda się ośwoić takie duże zwierze.

-Pierwszy raz widziałem coś takiego! Nigdy nawet nie słyszałem o takim zdarzeniu! - Zaniepokojenie zniknęło już z twarzy księcia. - Zwierze przemknęło pod rydwanem tuż przy

ziemi, ty dokładnie w tym samym momencie wylądowałeś na nim! Kto by uwierzył w taką opowieść, gdyby nie widział tego na własne oczy? Naprawdę jesteś kimś, komu bogowie sprzyjają.

Nie był to jednak jeszcze koniec polowania. Być może wyrażana głośno furia jęca wyciągnęła jego pobratymców z trzcin, a może po prostu uciekali przed nagonką. Jeszcze dwa brązowe lwy wybiegły z ukrycia - roczny kociak i lwica.

Młode biegło prosto, przemykało się, dotykając brzuchem ziemi po każdym skoku. Jego matka natomiast, palając chęć walki, popędziła w kierunku grupki zebranej wokół pojmanego lwiatka. Nie było czasu na przestrzeganie ceremonialu polowania. Kheli unosił w górę topór, a książe wymierzył dźwiedź, po czym obaj trafili w cel.

Ahmose wziął głęboki oddech i szturchnął koncem sandała to bezwładne teraz ciało. Potem spojrzał na rząd trzcin.

-Wygląda na to, że czeka nas dziś jeszcze więcej niespodzianek. Ale ponieważ nawet laska Wielkich może się wyczerpać, jeśli się jej nadużywa, lepiej będzie zadowolиться dotychczasowym szczęściem.

Książe dał sygnał stajennemu, żeby przyprowadził jego rydwan.

-Nerebie - rzekł, witając drugi pojazd, który pędem do nich dołączył - a więc twój kasztan posłuchał w końcu wedzidła? Zresztą, nie sadzę, by nawet Księżycowy Biegacz - przejechał z uczuciem reka po wygiętej w łuk szyi własnego konia - scierpiał lwa pod swoimi kopytami, przynajmniej żywego lwa. Rozważnie postąpiłeś stojąc z dala. Sebni - zwrócił się do cywila. - Konie i atakujące lwy nie kochają się nawzajem.

Mężczyzna w trzecim rydwanie uśmiechnął się blade, po czym odezwał się:

-Na to wygląda. Królewski Synu. Chciałbym zasugerować, książe, że dobrze by było, gdybyś ty również był bardziej ostrożny.

W jego głosie slychac było chłód, który pasował do krzywego uśmiechu. Rahotep przyjrzał mu się ukradkiem, zaskoczony jego dezaprobatą. Czy mógł on być opiekunem przydzielonym dworskim zwyczajem do otoczenia księcia? Lecz przecież Ahmose był dostatecznie dorosły, by domagać się - jako mężczyzna i jako wojownik - uwolnienia od takich ograniczeń.

Jednocześnie Sebni był zbyt młody, by mógł od małego wychowywać księcia. Chociaż trudno było ocenić wiek dworzanina, nie mógł on być więcej niż dziesięć lat starszy od księcia, któremu służył. Nie był też człowiekiem, który pasował do towarzystwa wojowników - nie z tymi wyszukanyymi szatami i wyniosła poza. Kim więc był i jaką pozycję zajmował, że towarzyszył Ahmosemu w rozrywce, która jemu na pewno nie odpowiadała?

Porzucił te rozważania, gdy zaczęli wracać psiarczycy. nagonka i reszta łowców. Ponownie nawiedziły go wcześniejsze podejrzenia. Ta grupa rzeczywiście była zbyt liczna. Naganiaczy było dwukrotnie więcej niż trzeba, a wszyscy, których widział, byli zahartowanymi wojownikami. Jedynie Sebni, jego woznica, stajenny i dwaj goncy podążający za nim w polu, nie byli żołnierzami.

Kiedy odnalazł swój łuk w stratowanym piasku i stwierdził z radością, że nie został uszkodzony, zaczął ponownie zastanawiać się nad celem tej wyprawy. Polowali na lwy, to prawda. Poruszył posiniaczona reka i od razu tego pozalował. Bol w uszkodzonym ramieniu będzie mu przypominał o tym polowaniu jeszcze przez jakiś czas. Nie mógł jednak pozbyć się przekonania, że polowanie było tylko przykrywką dla czegoś zupełnie innego.

Upewnił się o tym, kiedy zamiast wracać do Teb ze swymi trofeami, książe posłał gonca do najbliższej wioski, żeby przyprowadził ludzi do pilnowania jenca i dwóch zabitych lwów do jego powrotu.

Spieszac dalej, ciągle na północ. Ahmose nie rozstawił ponownie nagonki, ani nie posłał ludzi, by przeszukali trzcinowe zarosła. Zar południa zastał ich pod osłoną zrujnowanej świątyni. Schronili się przed słońcem w nawie przybytku zniszczonego przez Hyksosów wiele lat wcześniej. Mieli chleb i cebule, stanowiące zwykłą strawę w polu, oraz cienkie, ciepłe piwo. Były to racje, jakie mogłyby być wydawane w czasie marszu, ale z pewnością nie jako normalne pożywienie w pałacu. Tak więc Rahotep nie był zdziwiony, widząc jak Sebni udaje, że je, natomiast nie stara się nawet udawać, że smakowało mu tych parę kesów, które przelknął. Tymczasem książe palaszował z takim samym wspaniałym apetytem jak łucznicy i oszczepnicy. z którymi równo dzielił się jedzeniem.

Przebywając w obcym środowisku, nubijscy łucznicy tworzyli zazwyczaj osobną grupkę, kiedy wyciągali się, by trochę odpocząć - z łukami pod reka, a toporami obroconymi tak, żeby je mogli złapać na pierwszy alarm. Kheti kiwał się w kacie, a po chwili już spokojnie sobie chrapał. Rahotep krecił się, nie mogąc znaleźć pozycji, która nie urazalaby jego siniaków, więc w końcu porzucił wszelkie wysiłki, żeby wypocząć i usiadł z plecami opartymi o ścianę, patrząc na resztki wewnętrznego sanktuarium i usiłując wyobrazić sobie, jak mogło dawniej wyglądać.

W chwili później jego reka spoczęła na rekojesci sztyletu, ale nie odwrócił głowy, ani nie zaczął szybciej oddychać. Ten cichutki dźwięk dobiegający zza rogu ściany, pod którą odpoczywał, był dostatecznym ostrzeżeniem dla kogoś, kto nieraz czaił się na posterunkach obserwacyjnych na terenach Kuszytów. Ktoś zbliżał się z tamtej strony, usilnie starając się nie robić żadnego hałasu, lecz to ukradkowe skradanie się było dostatecznym ostrzeżeniem. Kapitan odsunął się od ściany, przykucnął i w tej pozycji, na pol obrocony czekał, gotów stawić czoło napastnikowi.

Jednak, kiedy go zobaczył, nie ruszył się z miejsca. Ahmose, ujrzawszy kapitana tak przygotowanego do obrony, zamrugał oczami i uśmiechnął się. Skinał palcem, na co

Rahotep przemknął się wokół narożnika, podczas gdy książe się wycofywał, aż w końcu stanął w miejscu, będącym kiedyś wewnętrznym sanktuarium świątyni. Kapitan nie miał pojęcia, dlaczego książe musiał wybrać taki sposób, żeby z nim porozmawiać. Jednocześnie nie miał wątpliwości, że było to coś ważnego.

-Czy mogłbyś przyprowadzić swych ludzi tak, żeby nikt tego nie zauważył? Wiele zależy od tego, czy opuścimy to miejsce niepostrzeżenie. Mam takich, którzy nam w tym pomogą - wyszeptał książe.

-Mogę to zrobić. Królewski Synu - odparł z pewnością siebie Rahotep. Nie osmielił się zadać pytania, dlaczego było to konieczne.

Uśmiech Ahmosego poszerzył się.

-Wyruszamy na zadanie, które, jak sądzę, bardzo ucieszy cię i twoich ludzi, kuzynie. Zamierzałem wziąć wojowników z mego własnego oddziału, lecz teraz chciałbym zobaczyć, jak poradzą sobie twoi Pustynni Zwiadowcy. Jednakże musimy wyjść niezauważeni.

-Przez Sebniego. panie? - spytał Rahotep.

-Przez Sebniego! - było to powiedziane z zawziętością, a uśmiech zniknął z pełnych ust księcia. - Pospiesz się, kapitanie. Przyprowadz swoich ludzi tą samą drogą; zrób to niepostrzeżenie, jeśli potrafisz.

Rahotep przemknął się z powrotem do grupy łuczników i ukleknął przy najbliższym. Jedną ręką zasłonił mu usta. drugą zacisnął na jego ramieniu i delikatnie nim potrząsał. Jego oczy otworzyły się i po chwili już odzyskał świadomość. Rahotep rozluźnił uścisk, popychając go przy tym lekko, by Nubijczyk obrócił się i obudził następnego w ten sam, cichy sposób.

Kaplani, pełniący niegdyś służbę w tej opuszczonej świątyni, mieli swoje własne tajemne przejścia, o których Ahmose najwyraźniej wiedział. Niemal, pomyślał Rahotep, jakby syn królewski przeprowadził tu wcześniejsze rozpoznanie, mając w głowie jakiś plan. Łucznicy, jeden za drugim, przechodzili przez niskie drzwi - zginając się przy tym wпол - do pozbawionego okien korytarza, biegnącego prawdopodobnie między podwójnymi ścianami i suneli nim. aż wreszcie wyszli na słońce przez kwadratowy otwór, z którego niedawno został usunięty kamienny blok.

Książe Ahmose był ostatnim, który przez niego przeszedł. Poruszał się szybko i pewnie, bez ostrożności przejawianej wewnątrz świątyni.

Wydostali się na zewnątrz od tyłu budynku, spory kawałek od miejsca, gdzie stały rydwany i były uwiązane konie. Ku zdumieniu kapitana, Ahmose nie zrobił żadnego ruchu w tamtym kierunku, lecz, nagłać ich żeby za nim szli. poprowadził prosto w kierunku jałowych wzgórz, które swymi żółto-brązowymi zboczami znaczyły kres uprawnych terenów. Dotarli w ten sposób do wawozu, wcinającego się jak palec wskazujący w pustynię i tam właśnie

książe spotkał się z jakimś człowiekiem. Wyrosł on przed nimi jak spod ziemi, choć prawdopodobnie wyskoczył po prostu zza zwalonych skał.

Mężczyzna miał na sobie tylko przepaskę biodrową z kawałkiem skreconego materiału, jaką noszą chłopcy, lecz zsalutował księcia, jakby był jednym z jego oficerów.

-Spędzili konie nad rzeką. Królewski Synu. Nastąpiła jakaś zwłoka w przybyciu statku. - Nieznajomy zaakcentował słowo "zwłoka" znaczącym śmiechem.

-Jakie mają siły? - dopytywał się książę.

-Jest ich pięćdziesięciu. Głównie procarze, kilku łuczników i tylko oficerskie rydwany, bo wracają rzeką. Jednak są to wybrani ludzie i nie należy ich lekceważyć, gdyż na ich czele stoi komendant Horfui. Widziałem go na własne oczy!

-Pięćdziesięciu. I Horfui... - Ahmose przeciągnął ręką po policzku jak ktoś, kto rozmyśla nad rozwiązaniem problemu. Potem zwrócił się do nadal nic nie rozumiejącego Rahotepa.

-Podobno Pustynni Zwiadowcy nie tylko polują na rozbojników, ale lubią też podejmować duże ryzyko podczas rzucania patyczków w grze wojennej. Jak będzie, kapitanie? Czy osmielimy się wystąpić przeciw pięćdziesięciu Hyksosom pod dowództwem wodza, który już setki razy zdobył swoje "złoto męstwa"?

Odpowiedź Rahotepa podyktowana była wiara, którą pokładał w Ahmosem jako dowódcy już od ich pierwszego spotkania.

-Książę, nie sądzę, żebyś wdawał się w coś, co byłoby niemożliwe do przeprowadzenia.

Ahmose skinął głową, zrozumiał zapewne, jakie Rahotep ma do niego zaufanie. I po chwili Ahmose zaczął wyjaśniać założenia planu bitwy, przykucnąwszy, tak żeby koncem bicia móc rysować na piasku coś w rodzaju mapy.

-Hyksosi przybyli, żeby zabrać swoje konie, wypuszczone na pastwiska na podległych im terenach, gdzie pasły się. Dopóki nie były im potrzebne. Teraz trzymają je tutaj, na nabrzeżu dawnego nomu. Jednak statki, które miały zabrać je na północ, spóźniają się. Gdyby przeciąć liny, którymi uwiązane są konie i przepędzić je tyle, ile się uda, przysporzyłoby to Hyksosom sporo kłopotów. Dlatego uważam, że powinniśmy to zrobić. I to właśnie tej nocy. Hyksosi nie spodziewają się ataku od strony pustyni, gdyż ich patrole stworzyły mur między Dwoma Krajami a Beduinami, a ponadto są przekonani, że z naszej strony nie zagraża im żadne niebezpieczeństwo - ostatnie słowa wypowiedział, próbując powstrzymać swój gniew. - Tak więc, jeśli ich obejdziemy i po zapadnięciu nocy uderzymy na nich z północnego wschodu...

Rahotep potrafił pojąć, jakie to stwarza możliwości. Był to rodzaj wypadu, który leżał w naturze Nubijczyków. Oni sami kilka pokoleń temu porzucili działalność, za którą teraz tepili

Kuszytow. Nubijscy rabusie bydla, nadgraniczni zlodzieje - od wiekow znali sztuczki z obu stron prawa faraona. Kapitan zapalil sie do tego planu, gdyz ujela go calkowita pewnosc siebie ksiecia Ahmosego.

Maly oddzial zatoczył na pustyni kolo. oddalajac sie od swiatyni w kierunku wschodnim, a nastepnie powoli zawracajac w kierunku rzeki. Kiedy wyruszyli, okazalo sie. ze to Rahotep sprawuje komende, gdyz ksiaze jemu pozostawil dowodzenie zwiadowcami. Sam natomiast bystrym wzrokiem obserwowal, jak Nubijczycy przystepuja do akcji, podobnej do tych. jakie setki razy wykonywali przedtem. Nasladowal tez ich susy, udowadniajac, ze chociaz jest mistrzem rydwanow, to nie obcy mu jest krok piechoty.

Zapadala juz noc, a oni nadal biegli swoim slynnym klusem. Nagle zobaczyli pochodnie w obozie Hyksosow. Oczekiwane barki jeszcze nie przybyly i pilnujacy koni straznicy nadal czekali ze swym stadem, uwiazanym rzedami wzdluz brzegu. Opoznienie transportu na pewno sprawilo im wiele problemow. Musieli karmic zwierzeta, strzec ich bezpieczenstwa i pelnic warty, chociaz ksiaze i jego wywiadowca wydawali sie byc przekonani, ze Hyksosi nie spodziewaja sie tu ataku Egipcjan.

Kapitan podzielimil swoj i tak maly oddzial na trzy mniejsze. Kheti z trzema zwiadowcami mial skierowac sie na poludnie i posuwac sie brzegiem rzeki w strone obozu. Jego grupka miala dwa zadania do wykonania - zajac sie posterunkami, gdyby jakies sie tam znajdowaly, i zdobyc jedna z pochodni, umocowanych na koncu kazdego rzedu koni.

Drugi oddzial, z Rahotepem na czele, mial powielic te same manewry, kierujac sie na polnoc, podczas gdy zadaniem reszty grupy bylo zebranie wszystkich - na ile to bedzie mozliwe w ciemnosciach - wysuszonych traw. trzciny i innych latwopalnych rzeczy i przygotowanie z nich strzal zapalajacych, gotowych do uzytku.

Wieksza czesc przeprawy brzegiem rzeki musiala odbywac sie na czworakach. Lucznicy posuwali sie naprzod ruchem weza. Rahotep mial ogromna nadzieje, ze bliskosc obozu wyploszyla wszystkie krokodyle, ktore chcialyby wybrac to miejsce na wypoczynek. Nie mial najmniejszej ochoty niepotrzebnie narazac swego zycia. Caly wiec czas weszyl, by wyczuc ostrzegawczy, pizmowy odor gadow.

Zamiast tego poczul silny zapach koni oraz won ognisk, na ktorych gotowano strawe - co sprawilo, ze z zawiscia oblizal usta - a na koniec wyczul jeszcze zapach oliwy do nacierania ciala. W tym momencie Hori, pelzajacy tuz za nim, rzucil sie do przodu. Z ciemnosci dobiegl ich dziwny odglos wciagania powietrza, bliski westchnieniu i Hori ulozyl ostroznie cialo na ziemi. Potem swisnal i na ten znak poszli dalej, obchodzac martwa postac wartownika.

Wśród szeregow koni krecili sie ludzie roznoszacy swym podopiecznym worki z obrokiem. Wiekszosc stanowili Egipcjanie; byli to niewolnicy, jak ocenil Rahotep. Przysunal sie blizej do Horigo, sciagajac nemes i pas z bronia, i wciskajac to wszystko w rece lucznika. Wysocy, ciemnoskorzy Nubijczycy mogli zostac zauwazeni przez jakiegos bystrookiego

oficera. Kapitan natomiast będzie po prostu jednym z egipskich robotników.

Rahotep podkradł się do krawędzi oświetlonego obszaru obozu, po czym ruszył naprzód powoli, jakby był zmęczony i w złym humorze, w kierunku ostatniej pochodni, która płonęła najbliżej ich kryjówki. Wiedząc, że nie może tego zrobić ukradkiem ani pośpiesznie, wyciągał płonącą szczapę z uchwytu na słupku spoconymi rękami, spodziewając się w każdej chwili, że ktoś na niego zaraz krzyknie. Potem, trzymając ją tak blisko siebie, że aż przypiekła mu skórę i starając się zasłaniać ją ciałem od strony obozu, rzucił się ponownie w ciemność, skacząc w zagłębienie w ziemi, z którego się wynurzył.

8. Gwardziści faraona

Strzały niosące peki płonącego materiału wzbily się łukiem w powietrze, ponad rzędami koni. Uwiązane zwierzęta szalały ze strachu, który był jeszcze podsycany przez okrzyki i podniecenie, jakie zapanowało w obozie. Zaskoczeni ludzie krecili się w kolko, bez celu. Lecz seria wykrzykiwanych rozkazów uswiadomiła Rahotepowi, że oficer, lub oficerowie, panują nad sytuacją z pewnością godną weteranów. Tak więc, tych parę chwil, gdy zamieszanie zdezorientowało i sparalizowało znajdujących się nad rzeką mężczyzn, musiało wystarczyć oddziałowi Rahotepa, by na nich uderzyć. I wystarczyło - z szybkością nabytą podczas niezliczonych starć z Kuszytami - łucznicy wkroczyli do akcji. Czterech z nich nadal wystrzeliwowało płonące strzały, a reszta przedostała się między konie.

Sztyletami cięli liny przytrzymujące konie, a zamęt wprowadzony przez uwolnione i przerażone zwierzęta powiększył jeszcze ogólny rżes. Choć kapitan niewiele wiedział na temat postępowania z koniami, chwycił zwisającą linę i trzymał ją z uporem, mimo że przez jakiś czas był ciągnięty przez słabo widoczne zwierzę, które przedtem pętało. Na szczęście koni ten nie był wojowniczym ogierem i kiedy kapitan wycofywał się w noc, zupełnie chętnie posłuchał jego poleceń.

W tym hałaśliwym zamieszaniu nie byłoby słychać jego sistrum. toteż Rahotep odchylił głowę i z całą mocą swych płuc wydał głośny i przeraźliwy okrzyk wojenny pustynnych rozbojników, taki pean zwycięstwa, jaki słychać, gdy Beduini przewalają się przez karawane. Niech Hyksosi myśla, że to łupieżcy z pustynnego kraju przedarli się przez ich patrole, by tu rabować.

Biegając tuż przy koniu, którego wyprowadził z obozu, kapitan skierował się na wschód, w kierunku wieżyczki skalnej, którą wcześniej wyznaczyli sobie jako punkt zborny. Teraz, w świetle księżyca zauważył, że nie był to naturalny występ skalny, lecz pozbawiona głowy, poobijana figura, pamiątka tego Egiptu, który najeźdźcy próbowali zrownać z ziemią. Rahotep nie był jedynym, który wrócił z koniem. Pomimo swego strachu przed tymi zwierzętami, trzech łuczników, a wśród nich Kheti. przywieźli czworonożną zdobycz. A dwie postacie, które właśnie nadchodziły, prowadziły podwojny łup. Dopiero, kiedy jedna z nich przemówiła, kapitan poznał księcia.

-Poruszyliśmy gniazdo skorpionów, najlepiej będzie, jeśli szybko zostawimy je za sobą!

Kapitan spojrzal do tyłu. Pozapalano pochodnie, widział też płonące jasniejszym ogniem miejsca, gdzie strzały zapalające trafiły w zapasy żywności lub paszy. Nagle zagrzmiał, wzywając do pośpiechu, róg wojenny. I oddział Rahotepa dostrzegł zbierających się mężczyzn, uzbrojonych i gotowych do pościgu. Kapitan, który miał doświadczenie w takich pościgach, zwrócił się do Ahmosego, jakby byli równymi ranga oficerami.

-Książę, jeśli oni myślą, że jesteśmy Beduinami. to uderza na wschód, a nie na południe, gdzie mogliby odciąć nam drogę. Zostawmy więc najpierw ślad wiodący na wschód.

-Niech i tak będzie. Lecz oni będą chcieli za wszelką cenę odzyskać swoje konie, a tych potrzebujemy. Są one w tej chwili więcej warte dla wojsk faraona, niż całe złoto Nubii!

-Dotrzyjmy tylko do piasków pustyni. Królewski Synu, bo w piasku o wiele łatwiej jest zostawić fałszywy trop.

Ahmose był wyraźnie niechętny zbaczaniu z drogi, lecz trudno było podważyć argumenty kapitana. W jednym punkcie, jednakże, pozostał stanowczy.

-Zdobylismy pięć klaczy, a te są bezcenne, gdyż Hyksosi nie chcą sprzedawać klaczy ani wypuścić ich z rąk, jeśli mogą tego uniknąć. I dlatego nie możemy ich stracić. Ogierzy to inna sprawa, zresztą trudno je się prowadzi.

-Książę! - to był Kheti, pełen szacunku dla Ahmosego, ale bardziej od niego doświadczony w tropieniu nieprzyjaciela. - Zmylmy nieco tropy i dotrzyjmy do odpowiedniego miejsca, gdzie można będzie ukryć ślady, a wtedy ktoś może odłączyć się z klaczami, podczas gdy my będziemy podążać dalej z ogierami. Jeśli Hyksosi wpadną na nasz ślad, to doprawdy są psami Księcia Ciemności, a nie ludźmi, których można łatwo sprowadzić z tropu. A ktoż może walczyć przeciw Księciu Ciemności?

Tak też zrobiono. Książę był zarówno pomocą jak i zawadą, gdyż chociaż oświetlał im drogę, mógł ich również zdradzić przed ścigającymi. Mimo że się spieszyli, kluczyli zostawiając tropy, które miały zmylić przesładowców. Zdecydowali się wykorzystać najbliższą osłonę, która dostarczy okolicę, aby się rozłączyć. Dotarli w końcu do linii kanałów irygacyjnych, które w tej chwili były w większości rowami wypełnionymi gliną.

-Oto twoja trasa z klaczami. Królewski Synu - Rahotep wskazał reka kanał. - Możecie posuwać się od jednego do drugiego i niełatwo będzie im to wytropić, zanim Re nie zesle światła poranka; a do tej chwili pozostało jeszcze sporo godzin.

Książę rozesmiał się i rzekł:

-Świetnie, kapitanie. Jak się podzielimy? Amen i ja możemy prowadzić dwie klacze każdy, ale musimy mieć jeszcze co najmniej jednego człowieka, żeby wziął ostatnia.

-Kakaw - Rahotep wyliczał najlepszych tropicieli - Ikui, Mereruka, Sahare, jesteście teraz, ludźmi Krolewskiego Syna i podlegacie jego rozkazom. Ksiaze, dołączymy do ciebie, kiedy będziemy pewni, że ich zgubilismy.

-Dopilnuj, żebyście faktycznie do mnie dołączyli, kapitanie! - zabrzmiało to ostro jak rozkaz. - Narobiliśmy niezłego zamieszania tym synom Seta, ale nie chce, żeby przerodziło się to w bitwę. Horfui nie jest zoltodziobem, który mógłby przerazić się strzał spadających na niego znieńców. Kiedy tylko ruszy naprzód, to jego celem będzie zdobycie głów - zrobił ponura aluzję do okrutnego zwyczaju najeźdźców okaleczania jenców. Schwytanym obcinano ręce lub głowy, żeby ofiarować je swemu mrocznemu bóstwu w jego odrażającej świątyni.

Odczekawszy, aż grupa księcia skieruje się na południe przez sieć rowów irygacyjnych. Rahotep poszedł wraz ze swoimi ludźmi w kierunku wschodnim, zabierając ze sobą trzy ogiery. Dwa z tych koni były na szczęście na tyle młode, że dało się je łatwo prowadzić, lecz trzeci mógł przysporzyć kłopotów. Już dwukrotnie próbował stanąć deba i strącić człowieka, który trzymał jego wodze. Tylko Kheti miał dość siły, żeby sobie z nim poradzić. Nubijski podoficer gwizdnął na niego, starając się jak najlepiej nasładować dźwięki, które kiedyś słyszał u stajennych, opiekujących się koniami do rydwanów. Być może właśnie to sprawiło, że koń w końcu zareagował na pociągnięcie liny. Kiedy ruszyli wreszcie swoimi równomiernymi susami w kierunku wapiennych urwisk i wschodniej granicy doliny Nilu, koń biegł niemal równo z Khetim, jakby on również był w stanie wyczuć konieczność ucieczki i pragnął teraz dobrowolnie do niej się przyłączyć.

Słońce zdążyło już się wspiąć wysoko, zanim Rahotep palony jego zarem uswiadomił sobie, że w pośpiesznie ustalanych planach przeoczyli pewien ważny szczegół - wodę. Każdy z luczników nosił zawieszony na biodrach, nieduży, żołnierski woreczek z wodą. Lecz korzystali z nich dzień wcześniej, przekonani, że ich zawartość będą mogli łatwo uzupełnić. W tej chwili w żadnym z worków nie było więcej niż łyk czy dwa wody - na dodatek ciepłej, niesmacznej, przesiakniętej zapachem worka. Gdyby złączyli ją razem, to ilość ta nie starczyłaby nawet dla jednego konia. Każde źródło na pustynnym szlaku karawan było chronione przez garnizon. Musieli więc skrócić w kierunku pol uprawnych i rzeki, i to szybko.

Kheti i Rahotep cofnęli się kawalek, aby wspiąć się na pagórek i ogarnąć wzrokiem okolice. Wypatrzyli oddział wojowników wytrwale podążający tropem, który pozostawili. Wszystko więc przebiegało dokładnie tak, jak zaplanowali.

-Ho-ho! - Nubijski potrafił właściwie cenić coś, co zasługiwało na uwagę. - Oni znają pustynie, bracie. Zobacz, jakim krokiem się poruszają.

-Tak więc nam pozostaje jedynie rozłożyć skrzydła i odlecieć - skomentował sucho kapitan. - Znasz jakieś zaklęcie, po którym wyrosłyby nam skrzydła, Kheti?

Nubijski zachichotał, po czym odpowiedział:

-Nie. Ale znam takie, od którego wyrosną nam nowe stopy. Już wkrótce zobaczysz to. bracie. Chodźmy!

Dolaczywszy do reszty, zastali ich rozcinających sztyletami worki na wodę i zlewających resztki do jednego pojemnika. Płaskie kawałki skóry uzyskane z worków miały posłużyć im do zacierania śladów - była to stara sztuczka Kuszytów. Tylko ci, którzy walczyli z tymi podstępными rozbojnikami i znali wszystkie ich sposoby, mogliby się domyslić, co mają zamiar zrobić uciekinierzy.

Dwaj łucznicy utworzyli tylną straż, a pozostali skreśliли gwałtownie na południe, wykorzystując krawędź skalnej płyty, na której rzecz jasna nie pozostawili żadnych widocznych śladów. Kiedy potem wjechali z powrotem na piasek, ci idący na koncu trzepali po nim skorzаныmi płachtami, zacierając w ten sposób ślady.

Wyglądało na to, że ich podstęp był skuteczny, gdyż mimo że musieli zwolnić tempo marszu ze względu na wycieńczone konie, nie zauważyli żadnych oznak pościgu. Gdyby udało im się dotrzeć bez żadnych przeszkód do rzeki, ich wyprawa zakończyłaby się całkowitym zwycięstwem.

Mijały wyczerpujące godziny. Nagle zwisająca głowa największego ogiera uniosła się. Kon z zapalem wciągnął powietrze, a jego nozdrza błysnęły czerwienią. Polem wydał radosne, wysokie rżenie i stanął dęba, wyrrywając wodzę z ręki zdumionego łuczника. Pozostałe konie brykały i wierzgały, aż w końcu mężczyźni zmuszeni byli je wypuścić.

-Woda! - zaskrzeczał chropawo Kheti. a wszyscy przyspieszyli kroku, chociaż nie było nadziei na ponowne złapanie galopujących teraz zwierząt.

Zbiegli na dół rozpadlina w wapiennej skarpie i stwierdzili, że było to jedno z tych miejsc, gdzie skaliste wzgórza okalające dolinę przechodziły w żyzne tereny. Oleisty, zagłębiony w ziemi strumyk Nilu wiał się przez spieczoną powierzchnię mulu. niecałe pół kilometra od nich.

Ujrzeni coś jeszcze - skupisko kopulastych chat, prawdopodobnie były to spichlerze jakiegoś nomu. Pośród nich, wspierając się wzajemnie plecami, grupka łuczników stawiała czoło nierównym siłom. Byli oni otoczeni przez nieduży oddział rydwanów. Wozy bojowe zataczały koła wokół budynków, podczas gdy ci, którzy się w nich znajdowali, atakowali dzidami i strzałami broniących się łuczników. Krag pojazdów poruszał się tak szybko, że minęło parę chwil, zanim Rahotep stwierdził, że były tylko cztery rydwany, każdy z woznicą i drugim wojownikiem.

Jeden z koni w tym zwariowanym wirze wydał niesamowity ryk bólu i przerażenia, i stanął dęba, przebierając kopytami w powietrzu, z beltem strzały wystającym z brzucha. Przewrócił się do tyłu na rydwan, który ciągnął, wgniatając nieszczęśliwego woznicę w szczątki pojazdu. Pasazerowi udało się w ostatnim momencie wyskoczyć z rydwanu, cudem unikając następnego niebezpieczeństwa, jako że drugi pojazd Hyksosów, nie będąc w

stanie skrecic, zderzył się z wrakiem rydwanu i wierzgajacym koniem.

Z grupki otoczonych luczników dał się słyszeć okrzyk i po chwili dwaj mężczyźni, którzy próbowali wydostać się z tego karambolu, zostali trafieni strzałami. Wyglądało na to, że oddział znajdujący się przy magazynach, świetnie sobie radzi. Tylko że nieprzyjaciel miał łada moment otrzymać wzmocnienie.

Te cztery rydwany, które przyparły luczników do ich zaimprovizowanego fortu, były zaledwie zwiadowcami większego oddziału. Tupot nie podkutych kopyt na spieczonej glinie, turkot obracających się koł oraz wojenne okrzyki wozniców i wojowników dobiegały z polnocy, gdy następna grupa Hyksosów zbliżała się szerokim polkolem, jak kosa wcinająca się w pole dojrzałego zboża.

Rydwan jadący na czele miał umocowany proporzec, na którym trzepotały szorstkie pasma włosów z konskiego ogona, ufarbowane na czerwono i czarno. Było jasne, że jadący w nim wojownik nie jest zwykłym żołnierzem.

Strzala wystrzelona spomiędzy magazynów urwała część tego powiewającego dumnie pioropusza. Dwa następne konie z atakującego szeregu zwały się na ziemię, a jeden z nich zderzył się jeszcze dodatkowo z koniem biegnącym po jego prawej stronie. Lecz jeden z luczników też został trafiony i zatoczył się do tyłu z włócznią tkwiącą w jego ramieniu.

Trzy ogiery, które wyrwały się na wolność ludziom Rahotepa, teraz przecinały z lomotem kraniec pola bitwy, kierowane jedną tylko myślą - dotrzeć do znajdującej się tam wody. Więc, kiedy nierozważny woznica podjął próbę przejechania pomiędzy nimi, a upragnionym celem, został po prostu stratowany.

Rahotep zakreślił swym sistrum i na ten sygnał jego ludzie rozciągnęli się w stopniowo wydłużającą się linię. Rydwany znajdowały się w tej chwili pomiędzy nimi a magazynami i zaczynały właśnie tworzyć taki sam poruszający się krąg, jakim ich zwiadowcy przygwoździli przedtem uciekinierów. Spojrzał wzdłuż linii, którą utworzyli jego ludzie. Odległość dzieląca ich od nieprzyjaciela była ogromna, niemal przekraczająca ich możliwości strzelnicze. Ale posuwanie się naprzód w otwartym polu oznaczało dopraszać się o stratowanie, zanim oni sami zdążą zadać jakikolwiek cios nieprzyjacielowi. W taki właśnie sposób Egipcjanie byli pokonywani w swych pierwszych walkach z Hyksosami.

Strzały spoczywały na cieciwach. Jego lucznicy stali równie pewnie, jak dwa dni wcześniej przed faraonem. Kapitan rzucił rozkaz. Pierwsze strzały były jeszcze w powietrzu, kiedy wojownicy sięgnęli już po następne. Grad pierzastych pocisków uderzył w zewnętrzny okrąg rydwanów, powalając na ziemię zarówno konie, jak i ludzi.

Ten nagły atak z nowego kierunku był kompletnym zaskoczeniem i ruchomy szereg Hyksosów splatał się. I właśnie wtedy ich dowódca wykazał swoją klasę. Wprawnym ruchem woznica zawrócił rydwan z proporcem, a ciąg wykrzykiwanych rozkazów rozproszył

na wszystkie strony mezczyzn z kotlujacej sie grupy, w ktorej strzaly bez trudu znajdowaly swoj cel.

Co prawda lucznicy Pustynnych Zwiadowcow stracili juz poczatkowa przewage osiagnieta dzieki atakowi z zaskoczenia, ale zaprocentowalo teraz wyszkolenie i doswiadczenie, ciezko zdobywane przez lata. Z kolei oddzial pod magazynami wypuszczal dostateczna liczbe strzal, zeby kasac wroga od drugiej strony.

Jedna rzecz przemawiala jednak na korzysc dowodcy Hyksosow - odcinal on oddzial Rahotepa od wody. ktora byla im niezbedna. Mogl on nawet zapedzic ich z powrotem w glab pustyni, z ktorej nie beda juz w stanie wrocic. Wtedy z latwoscia wystrzela przy spichlerzach jednego po drugim, broniacych sie lucznikow, gdy tylko skonczy im sie zapas strzal.

-Strzaly? - Rahotep rzucil pytanie Khetiemu. Jemu pozostalo w kolczanie jeszcze okolo dziesieciu, lecz zdawal sobie sprawe, ze pomimo swego wyszkolenia i woli walki, nie mogli rownac sie z Nubijczykami w skutecnosci strzalow.

-Osiem! Piec! Dziewiec! - jedna po drugiej wracaly do niego odpowiedzi.

-Zeby sie tylko Dedun teraz usmiechnal - Kheti napial swoj gigantyczny luk. - Niechaj ta strzala leci prosto, o Strazniku Wyzszych Drog i Nizszych Sciezek! - Wycelowal idealnie, ale niestety mial pecha, gdyz dowodce Hyksosow uratowal od smierci jego kon. Zwierze skrecilo w bok. zeby uniknac rozbitego rydwanu i strzala Khetiego przeleciala pomiedzy wyciagnieta reka, a ciałem, zamiast trafic ponizej zeber, jak zostala wymierzona.

Prawdopodobnie fakt, ze jego dowodca byl o wlos od smierci zdekoncentrowal woznice, gdyz kon wyrwal sie do przodu wprost na metrowej wysokosci murek, ktory ograniczal puste obecnie klepisko. Widzac, ze katastrofa jest nieunikniona, hyksoski kapitan wyskoczyl z rydwanu, ladujac na dloniach i kolanach w poblizu ogrodzenia magazynow.

Po chwili byl juz znow na nogach z gibkoscia czlowieka dobrze wyszkolonego w roznych zwrotach bitwy i stanal oko w oko z mlodszy, nizszym mezczyzna, ktory przykuczal za oslona tarczy i krecil mlynka trzymana w reku maczuga.

Oficer Hyksosow. choc nie mial zadnej tarczy, chwycil topor bitewny i zwinnie uskakiwal, unikajac ciosow. Nie udalo mu sie jednak uniknac rozgoraczkowania, ktore odciagnelo go od otwartej przestrzeni i jego ludzi, z powrotem w kierunku grupy oblezonych.

Pozbawiony dowodcy nieprzyjaciel probowal na nowo uformowac jakis szyk, by przypuscic atak w kierunku urwiska i oddzialu Rahotepa. Natarcie rozpoczelo sie i po chwili zalamalo, gdy Nubijczycy, ktorzy dotad wstrzymywali strzaly, czekajac na znak kapitana, przeszli powietrze gradem pociskow skierowanych w piersi koni.

Ludzie zeskakowali lub spadali z rydwanow, niektorzy na tyle pewnie czujac sie na nogach,

by podać dalej z gotowymi do boju procami i włóczniami.

-Na do! - kapitan szybko wydał rozkaz.

Spotkali się już kiedyś z tym rodzajem walki. Szereg łuczników rzucił się na ziemię, unikając mieszanych pocisków. Rahotep skrzywił się z bólu, gdy jeden z wystrzelonych z procy kamieni odbił się rykoszetem od ściany urwiska, prosto w jego stłuczone ramie. Odrzucił łuk i wyjął sztylet, a co drugi z jego ludzi chwycił topór bitewny i tak przygotowani, wyskoczyli, by przeciwstawić się natarciu Hyksosów. Podczas gdy czterej pozostali łucznicy kryli ich, strzelając do atakujących.

Kapitan ujrzał mającą nad nim brodatą twarz, w ozdobionym rogami hełmie i pochylił się, by uniknąć ciosu dzidy, jednocześnie wbił sztylet, prawie klecząc, pod pancerz tamtego. Mężczyzna zawył czując ostry ból, upuścił dzidę, a padając, przycisnął ręce do brzucha. Rahotep potknął się, odzyskał równowagę i uskoczył w prawo, gdyż kątem oka zauważył metalowe ostrze.

-Ho! - to był krzyk Khetiego. - Do tyłu, bracia, zabierajcie się do tyłu!

Rahotep, trzymając bron przed sobą, wycofywał się wraz z innymi, jak sofa się warczący lampart, by zyskać przestrzeń do następnego skoku. Nad nimi swistały strzały.

Trzech spośród atakujących leżało nieruchomo. Czwarty czołgał się na rękach, ciągnąc nogi za sobą. Dwoch następnych przygłębło do ziemi obawiając się strzał, które ciskali na rozkaz Khetiego Pustynni Zwiadowcy. Słychać było jeszcze jakieś okrzyki, ale Hyksosi wyraźnie się już wycofywali. Dzika furia, z jaką Nubijczycy miotali strzały, była dla nich czymś nowym.

Łucznicy i oszczepnicy spoglądali na siebie poprzez polac czarnej ziemi, która stratowana przez nich, zamieniła się w pył. Przez moment ich własna walka oznaczała dla nich cały świat. Zostali jednak wyrwani z tego zaabsorbowania przez rozkazujący sygnał takiego samego rogu. którego dźwięk słyszał Rahotep w konskim obozie. Zaskoczony nagłym tonem tego wezwania podniósł wzrok i ujrzał z południowej strony chmurę kurzu, a poprzez jej zasłone, nadciągające galopem konie.

Jego początkowy wybuch rozpaczy zmienił się w zdumienie, a potem w gorące uczucie triumfu, kiedy dojrzał porządek na wysuniętym na czoło rydwanie.

-Zwiadowcy! - zwrócił się do własnego, małego oddziału. - Dalej, na tych synów Seta! Dajcie im pokosztować ostrza i łuku!

Lecz Hyksosi, zdeorganizowani już przez nieszczęśliwy wypadek swojego dowódcy, a potem ostro pobici przez łuczników, jakich nigdy dotąd nie spotkali, wycofywali się. Jakies pięć rydwanów ruszyło na północ, a ich woznice smagali konie, żeby zmusić je do galopu.

Rahotep prowadził swych ludzi poprzez mokradła, podczas gdy spieszące im na pomoc egipskie wojsko rozdzieliło się na dwa oddziały, z których jeden ścigał uciekających Hyksosów. a drugi podjechał do magazynów. Jednocześnie następny obłok kurzu zapowiedział przybycie piechoty, której zadaniem miało być zaprowadzenie porządku na polu bitwy i poodciąganie na bok rozbitych pojazdów w poszukiwaniu wrogów, którzy jeszcze przeżyli. Jego własny oddział osiągnął kopulaste budynki właśnie w chwili, gdy jakaś postać o zmierzwiionych włosach, krwawiąca z płytkiego przecięcia na ramieniu, wsparła się ręką o murek klepiska i dzięki temu stanęła na nogi.

-Książę! - Kapitan przesadził siłami i podtrzymał go. a ten uśmiechnął się do niego przez szarą maskę pyłu.

-Zobacz, jak polujemy na lwy innego rodzaju, kuzynie... - Ahmose ciężko oddychając, wyrzucał z siebie słowa i jednocześnie wskazywał na mezczyźne leżące u jego stóp. Z głową odchyłoną do tyłu pod takim kątem, że jego krecona, namaszczona olejkami broda skierowana była oskarżycielsko na przeciwnika, który go powalił. - Hortui nie wyruszy już więcej do walki, a w Avaris słychać będzie zgrzytanie zębów, gdyż dowódca ten był strażnikiem południa!

Trzymając się ramienia Rahotepa. książę przechylił się. by wyciągnąć z plew przemieszanych z gruzem wspaniałą toporek. Zważał go krytycznie w rękę i obejrzał uchwyt, zanim wcisnął go za swój pas, zgodnie ze zwyczajem zwycięzców w indywidualnym pojedynku. Była to piękna miedziana bron. z cedrowym trzonkiem pokrytym złotem i elektrum, z obu końcami ozdobionym wizerunkami gryfów wykonanymi z krwawników i turkusów, które stały się wyraźnie widoczne po starciu z niego kurzu.

-To nie jest bron Hyksosów - stwierdził Ahmose. - Musi ona pochodzić od kogoś z Ludzi Morza, jakiegoś dostojnika albo księcia z Minos. Być może ten toporek stał się własnością Horfui dzięki prawu wojennemu, tak jak teraz stał się moja...

-Huraaa! - dobiegł ich okrzyk zwycięstwa wydany przez żołnierzy.

Rydwany, które ratowały się ucieczką, zostały zawrócone, garsc ludzi otoczona, a reszta wycofywała się, walcząc. Po chwili do magazynów zbliżył się galopem ozdobiony piórami koń. Książę Kamose rzucił lejce swemu towarzyszowi i podszedł do brata. Ahmose powitał go szerokim uśmiechem.

-Tu leży Horfui, bracie. To dobrze?

Starszy książę nie okazywał żadnego podniecenia, przyglądając się martwemu dowódcy Hyksosów. Jednak kiedy przemówił, w jego słowach zabrzmiała spokojna pochwała.

-To dobrze, bracie. Horfui był potężnym człowiekiem w ich szeregach. Tym razem jego odwaga przyniosła mu zgubę - a nam korzyść. Lecz nie zawsze można liczyć na cudzą nierozwagę. Gdyby twój posłaniec nie dotarł do mnie. co by się wtedy z wami stało?

Ahmośe otrząsnał się jak psiać wynurzający się z kąpieli w rzece.

-Mielimy w tym swój cel, chcieliśmy się sprawdzić. - Przebiegl wzrokiem po plataninie rydwanów, martwych ludzi i koni. - Daj mi tych łuczniaków, bracie, a podejmę się wyruszyć przeciw samemu Avaris.

Usta Kamosego wygięły się w słabym uśmiechu i zdawało się, że na moment opadł z niego ciężar odpowiedzialności. Gorące przywiązanie do brata złagodziło jego brzmiały zazwyczaj szorstkim naleganiem głos, kiedy odpowiadał na tę niespodziewaną propozycję.

-W swoim czasie, niecierpliwcy, w swoim czasie. Dzisiaj dosyć już padło zabitych. A jeśli chodzi o tych łuczniaków - spojrzał na znajdującego się za plecami młodszego księcia Rahotepa i mężczyzn, którzy spieszyli, żeby dołączyć do swoich towarzyszy przy chatkach - zgodzę się, że w dużej mierze oni przechyliłi szalę. Kapitanie!

Rahotep zasałutował.

-Faraon dowie się. jak świetnie się spisałiście. Przydzielil was do mnie, a teraz ja mu was oddam, do jego straży przybocznej. Sprawujcie się u niego tak, jak u mojego brata, a dni wasze będą długie i przyniosą wam zaszczyty.

-Niechaj Syn Re żyje wiecznie! - Rahotep podziękował za promocję oficerską.

Przydział do osoby faraona był zaszczytem, na który żaden skromny oficer wojsk pogranicza nie mógł liczyć. Tyle, że kapitan wcale tego nie pragnął. Ktoś mający ambicje, by pisać się w górę w królewskiej służbie, mógłby rozkoszować się przebywaniem pod okiem faraona, lecz Rahotep pragnął wojskowej służby w polu, nawet jeśli oznaczałoby to ponownie surowe warunki nadgranicznego posterunku na południu. Czuł się skrepowany otepiającym ceremoniałem życia, do którego nie został przygotowany i które wydawało mu się niemal równie obce, jak życie w mieście Avaris lub w wiosce Kuszytów.

Kakaw, łucznik trafiony wlocznia podczas walki przy magazynach, nie zginął. Kheli i Rahotep posiadający podstawową znajomość chirurgii, nabyta wraz z doświadczeniem wojennym, orzekli wspólnie, że ma on spore szanse przeżycia, pod warunkiem, że bez zwłoki i zbędnych wstrząsów zostanie przetransportowany do Teb. Za zgodą księcia Kamosego zarekwirowali statek towarowy, podając z aprowizacją za nieszczęsna wyprawa Hyksosów. Po załadowaniu na pokład swojego łuczniaka i trzech innych, ciężko rannych ludzi, wyruszyli z powrotem do miasta, a reszta wojska podążyła brzegiem.

Ich łupem były głównie konie. Ahmośe wytrwale trzymał się przy klaczach zabranych z nad rzeki. Pośród koni było dziesięć wyszkolonych ogierów. Szesc z nich było w uprzęży i te zostały po prostu włączone, wraz ze swymi rydwanami, do wojsk egipskich. Garstka jenców, raczej ostatniej rangi, maszerowała otoczona przez oszczepników. Łucznicy rozdzielili między siebie bron i ozdoby zabitych wrogów.

-Niezła walka - westchnął z satysfakcją Kheti, siadając ze skrzyżowanymi nogami na pokładzie łodzi obok Rahotepa. - Takie polowanie na lwy to lubię, bracie. Obysmy mieli takich więcej.

Rahotep potrzaskał z powatpiowaniem głową i spytał:

-Sądzisz, że gwardia faraona robi wypadki na pustyni?

Nie zmąciło to jednak pogody ducha Khetiego i po chwili odrzekł kapitanowi: - Ci faraonowie Egiptu nie kryją się za tarczami żołnierzy podczas walki, ale sami. Własnymi rekoma, zadają pierwszy cios. Słyszałem, jak ich wojownicy o tym mówili, bracie. Kiedy jakieś miasto ma być zdobyte, to pierwsza z obleźniczych drabin musi należeć do królewskiego syna. Kiedy obracają się koła i pedza konie, wtedy błękitna korona podaje na czele ataku. Tacy są mężczyźni, którym służymy, panie! I ich gwardii czeka jeszcze wiele akcji.

Rahotep spojrzał na sily. Posuwające się równoległe do nich brzegiem rzeki. Tak, zgodnie z tradycją ci, w których żyłach płynie królewska krew, muszą przewodzić ciałem, tak samo jak myślą i duchem. Lecz złe przecucia, które opanowały go od chwili, gdy książę Kamose przydzielił go do gwardii, pozostały, wisiały nad nim jak chmura, której nic był w stanie odpedzić.

9. Szczekanie szakala

Wspaniały pałac Sekenenre tracił powoli swój blask. Jednak dla kogoś, kto o świetności dawnych faraonów dowiadywał się tylko ze starych opowieści, kto wszystkie ostatnie lata spędził w surowych warunkach nadgranicznych posterunków, dla kogoś takiego zewnętrzny dziedziniec pałacu ze swymi chodnikami z czerwonego granitu, gdzie królewscy gwardzisci stali sztywno jak posągi oraz wewnętrzna komnata audiencyjna ze swym siedmiostopniowym, czarnym tronem były na pierwszy rzut oka imponujące. Dopiero po jakimś czasie człowiek patrzył na to wszystko ze znudzeniem. Faraon był w dużej mierze więźniem swych boskich obowiązków. Był bardziej uwiązany niż jakikolwiek kuszycki niewolnik trudzący się w jego kopalniach. Godziny jego życia, od rytualnego powstania z łoża do ułożenia się na spoczynek, były ściśle wyznaczone i na każdą z nich przypadał określony obrządek lub obowiązek. Nawet pozywienie przechodzące przez jego usta i wino przynoszone w starannie wybranych dzbanach było ustalane przez nadwornego lekarza, jeśli chodzi o rodzaj i ilość. Faraon nie był zwykłym śmiertelnikiem, lecz ogniwem pomiędzy Egiptem a Wielkimi, i jako takiemu, nie wolno mu było mieć żadnych osobistych pragnień.

A może wolno? Nikt nie może mieszkać długo w obrębie jakiegoś domu - nawet tak rozległego i skomplikowanego jak królewski pałac - żeby nie dotarło do niego równie wiele, a nawet więcej plotek, niż kłazy w jakimkolwiek obozie czy koszarach. Ograniczony przez odwieczny ceremonial, rytuały i zwyczaje jak każdy faraon. Sekenenre stale udawał, ku niezadowoleniu i tajemnej opozycji niektórych ludzi ze swego otoczenia, że nadal może

dokonywać jakichś wyborów.

Kiedy Sekenenre stanął po raz pierwszy w sanktuarium Amona-Re, sciskając pastorał i bicz, na wprost wyobrażenia boga, którego ziemskim przedstawicielem był on sam, co wtedy powiedział? Słowa te zostały polem wyrzeźbione, żeby każdy mógł je przeczytać, a były to śmiałe słowa, jak na króla będącego zaledwie cieniem dawnych władców w tym rozdartym królestwie.

-Re uczynił mnie pasterzem tego kraju, gdyż wie, że utrzymam w nim porządek dla Niego i powierzył mojej opiece tych, których On ochrania.

Dla Sekenenre opieka ta nie była pustym słowem: był to obowiązek, który wiodł go do stawienia czoła potęgzie Hyksosów, do przeciwstawienia pozostałości dawnego Egiptu, dobrze obwarowanemu, obcemu imperium. Jeśli jednak Sekenenre widział powstanie jako swój święty obowiązek, to byli również i tacy - jak to Rahotep zaczynał powoli dostrzegać - którzy mieli odmienne zdanie.

W pasiastych, czerwono-żółtych nemesach gwardii królewskiej, ozdobionych zapinką z symbolem ich oddziału, dziesięciu łuczników pełniło swą służbę wraz z innymi oddziałami podległymi szefowi straży, pozostając pod nominalną komendą własnego kapitana. Wprawdzie dzięki łasce faraona zostali teoretycznie zaakceptowani, lecz w rzeczywistości sprawy miały się inaczej, gdyż tym, co wiodło ludzi do dworskiej służby, była ambicja, a ta dawała również pozyskanie intrygom i sekretnym manipulacjom dla ściągnięcia na siebie królewskiej uwagi.

Fakt, że grupa Nubijczyków z prowincji uważanej w Tebach nie tylko za barbarzyńską, lecz wręcz niełojalną, na dodatek pod komendą pozbawionego ziemskich posiadłości oficera, dostała się do służby w takiej bliskości faraona, był czymś, czego wielu młodych i nieco starszych setników i dowódców rydwanów nie mogło przyjąć z radością.

Rahotep stąpił ostrożnie, jak każdy zwiadowca na wrogim terytorium. Był nowicjuszem w dworskim życiu, lecz zetknął się już z taką atmosferą wrogości na dworze Meri-Mut. Nauczki, które w dzieciństwie otrzymał od Umsa, spowodowały, że nauczył się wyczuwać ukrytą nienawiść i rozpoznawać lekceważenie. Z dnia na dzień dowiadywał się coraz więcej o subtelnych siłach scierających się wśród urzędników i mieszkańców pałacu.

Jednego po drugim wylowił tych, których uważał za jądro oporu wobec woli faraona. Był wśród nich wezyr Zau, który aż za bardzo przypominał młodemu kapitanowi Pena-Seti. Nie był on może tak stary jak kapłan Anubisa, ale był człowiekiem o naprawdę potężnym intelekcie: cenionym administratorem, precyzyjnie radzącym sobie ze skomplikowanymi obowiązkami wykonawczymi, idealną osobą na stanowisku, którego celem było zdjęcie większości ciężaru rządzenia Egiptem z ramion faraona. W tak zakreślonych granicach Zau byłby dla każdego rządzącego darem bogów. Jednak granice te były dla niego zbyt wąskie i Rahotep, składając kawałek po kawałku słowa, na polu dosłyszane szepty i drobne

poczynania, doszedł do wniosku, że Zau był szczerze przekonany, iż Egipcjowie nie wolno niszczyć istniejącego stanu rzeczy i że proponowana przez Sekenenre energiczna akcja jest ściąganiem nieszczęścia na kraj. Będąc fanatykiem całkowicie przekonanym o własnej racji, był on równie niebezpieczny jak Pen-Seti - a nawet bardziej, ze względu na władzę, jaką dysponował pod pieczęcią faraona.

Do Zaua Rahotep dodał Sebniego, z otoczenia księcia Ahmosego. Choć młodszy książę pozornie chadzał własnymi ścieżkami i miał sporo swobody, Rahotep dowiedział się, że pisarz Sebni został umieszczony w jego świątyni, aby hamować i ograniczać poczynania królewskiego syna. Jedynie silny charakter księcia pozwalał mu okpiwać pisarza, tak jak to zrobił podczas polowania na lwy.

Byli również inni; kapitan mógłby długo wyliczać ich imiona. Niektórzy z nich byli ludźmi obdarzonymi władzą, dzierzycami dziedzicznych stanowisk, z których nie mogli być usunięci bez dowodów jawnej zdrady lub niekompetencji. Skarbnik Południa, Kheruef; dwaj sędziowie; generał Sheshang oraz kilku kapłanów wysokiej rangi.

Być może własne doświadczenia z Penem-Seti i niebezpieczeństwa przeżyte w nekropoli w Semnie uczyniły Rahotepa szczególnie ostrożnym w stosunku do kapłanów ze świątyni Anubisa. Wierzył on jednak, że nie ma żadnych trwałych uprzedzeń w stosunku do zwolenników boga o głowie szakala - tego Poszukiwacza ustawianego przy wejściach do tamtego świata, aby wiodł błądzące dusze na sąd. Kiedyś w Egipcie kapłani Anubisa faktycznie byli "poszukiwaczami" - studiowali wiedzę nie tylko dla własnych potrzeb, lecz dla powszechnego dobra ludzi. Kształcili jasnowidzów, którzy potrafili zajrzeć w niedaleką przyszłość oraz stawiali ludziom horoskopy, walcząc o odwrócenie zagrażającego nieszczęścia i choroby, doradzając i pomagając, kiedy już ich dopadły.

Madrość każdego boga powinna być przefiltrowana przez umysły i uczucia tych, którzy mu służą. Jeśli służy ci się prawdziwymi wiernymi, nie nadużywającymi mocy dla własnych celów, wtedy ta niesmiertelna wiedza przesacza się czystą i świeżą. Jeśli jednak odwrócili się od duchowych praw Wielkich i domagali się korzyści dla siebie samych, wtedy to, co mieli do przekazania, było metne i skalane. Były więc dwa oblicza wiedzy - jedno jasne, drugie ciemne. A celowe doszukiwanie się tego ciemnego było porzuceniem służby dla Amona-Re i zwroceniem się ku Setowi.

Toteż podczas "małej audiencji" o poranku, Rahotep, stojąc w gotowości z lewej strony tronu, przyglądał się bacznie Tothotepowi, arcykapłanowi Anubisa i nie podobało mu się to, co widział. W twarzy tej był zimny spokój Khephrena, lecz pod nim tliło się coś daleko bardziej groźnego. Trudno mu było nie dostrzec wpływu, jaki wywierała swą osobowością na innych.

Sekenenre z uwagą słuchał Tothotepa, natomiast ten przechodził do porządku dziennego nad zawołanymi protestami Zaua. W czasie jednej ze swych rzadkich przepustek Rahotep rozmawiał o tym prywatnie z Methenem. Doświadczonemu oficerowi zlecono

musztre oszczepników z nowego naboru, stacjonował więc w tebańskich koszarach. Teraz swobodnie pojechał z Rahotepem na tratwie z sitowia, z której łowili ryby, Methen skrzywił się.

- Człowiek nie oznajmia głośno swej obecności, kiedy śledzi oboz Kuszytów - zauważył enigmatycznie.

- Ani nie stapa bosą wśród węży! - odparował Rahotep. - Nie jestem żadnym prostym dzikusiem, którego może okpić byle handlarz. Jeśli jednak nie będę zadawał pewnych pytań, to nieswiadomie wpłynę w legowisko krokodyli. Czy to dlatego, że nie mam powodu miłe wspominać wyznawców Anubisa, nie powinienem ufać również ich głównemu kapłanowi?

- Nikt nie mówi źle o świątyni - Methen ponownie omiął pytanie. - Twarz każdego faraona zwraca się z szacunkiem do Szakala, gdyż jest między nimi prastara umowa, o której nikt otwarcie dziś nie wspomina. Mój młodszy brat należał do tej świątyni. Kiedy Hyksosi najechali na Sokolę, podcięli mu gardło na jego własnym ołtarzu, w darze dla Tego Który Mieszka w Ciemności. Ale dzięki niemu znam pewne tajemnice Anubisa. A największa z nich jest ta, że w dawnych czasach Szakal trzymał życie faraona w swoich szczękach - i to bardziej bezpośrednio niż bogowie trzymają życie nas wszystkich.

Rahotep wyprostował się, sprawiając, że lekka tratwa zaczęła tańczyć pod nimi. a po chwili zapytał:

- Jak to?

- Dawno temu, zanim zbudowano piramidy, zanim Menes zjednoczył Dwa Kraje. Południowy i Północny, tworząc z nich jeden, faraon żył tylko tak długo, jak długo był silny i energiczny. A kiedy się zestarzał, przychodził do niego Szakal - bo ci, którzy służyli Anubisowi, stawiali faraonowi horoskop i w ten sposób przepowiadali datę jego śmierci. Przyspieszali jego odejście za horyzont, tak żeby ktoś młodszy i bardziej meski mógł zajmować wielki tron. Tak więc wyłącznie Szakalowi i tym, którzy Mu służyli, powierzony był los faraona. Dziś Jego kapłani nadal stawiają królewski horoskop. Mają również moc przewidywania przyszłości, tak że mogą ostrzec o nieszczęściach, które mają nadejść.

- Nie chciałbym się znaleźć po przeciwnej stronie niż Tothotep - powiedział powoli Rahotep.

- Ani ja. Wolalbyś pewnie, żeby faraon nie był ci okazał łaski dworskiej promocji?

Rahotep, zaryzykował już jedno zwierzenie, teraz wylał ich z siebie cały potok. Potrzebował zarówno pociechy, jak i rady.

- Nienawidzę tego palacu, niczym nie różni się on od Semny. Poza tym czuję, że jestem zaledwie pionkiem w jakiejś grze rozgrywanej przez ukryte siły. Nie wiem, czy nasz oddział został tu umieszczony, by być tarczą, czy bronią? Czuję się jak człowiek krocący nieznaną ścieżką z zawiązanymi oczami!

Jednak na twarzy Methena nie było ani śladu współczucia. Zamiast tego jego rysy przybrały wyraz, którym w przeszłości tak często witał niepotrzebna głupotę, co przywiodło Rahotepowi na myśl nostalgiczne wspomnienie mniej skomplikowanych czasów.

-Czy pragniesz ponownie być chłopcem w Domu Kapitanów, odmawiając grania roli mężczyzny? Najwyższy czas, żebyś się zbudził i zachowywał zgodnie ze swym urodzeniem. Nie jesteś prostym żołnierzem, jesteś tym, kim się urodziłeś - nomarcha Sokola. Coż to ma za znaczenie, że nie ma w tej chwili nomu pod tym sztandarem. Nastanie dzień, kiedy zostanie przywrócony, a ty musisz być gotów, żeby zająć swoje miejsce jako jego władca. Wykorzystaj swoje uszy, oczy i rozum, zamiast odgrywać rozżalone dziecko, któremu ukradziono zabawki. Życie tutaj jest bardziej twoim życiem niż to w Kah-hi. Ucz się; ucz się tak, żebyś był przygotowany do działania, kiedy nadejdzie właściwa pora! Porównujesz siebie do pionka w grze - przygotuj się do samodzielnego rozgrywania takich gier. Na granicy starales się myśleć jak Kuszyci, żeby złapać ich w pułapkę. Tu musisz, się nauczyć nowych sposobów przetrwania. Rozumiesz?

Chwilowy gniew starego żołnierza zmienił się w rzeczową argumentację. Brzmiało to tak, jakby wskazywał młodszemu koledze drogę, po której musi obowiązkowo kroczyć, ale na której on sam nie może mu być przewodnikiem.

Rahotep zaśmiał się krótko i zgiał niemal w pole, nadstawiając gołe plecy, po czym rzekł:

-Użyj swojego bicia, komendancie. Czyż nie zostało powiedziane: "Uszy chłopca są na jego plecach, słyszy najlepiej, kiedy jest dobrze bity"?

-Dopóki bicie jest wymierzane moją ręką, to w porządku. Jednak... Rahotepie, stąpaj ostrożnie, bo kto inny sprawi ci lanie.

-I te właśnie słowa powinienem nosić jak tarcze na swym ramieniu. Bądź pewien, że dotarło do mnie, co powiedziałeś!

Od tego czasu starał się gorliwie przestrzegać rad Methena. Gdy zdał sobie sprawę, że stary weteran miał rację. Choć życie faraona było tak obwarowane przez obrzędy i uroczystości, że wydawał się być bardziej symbolem, który starali się z niego uczynić kapłani, niż żyjącym człowiekiem, to jednak Sekenenre nie był bynajmniej ich marionetką. Co prawda, brakowało mu nieskrepowanej energii młodszego syna: pozornie nie posiadał nawet siły i przedsiębiorczości swego następcy. Jednak Rahotep, który z racji pełnionych obowiązków często przebywał w jego obecności, zaczął dostrzegać i doceniać sposób, w jaki ten kruchy i oddany swym obowiązkom człowiek działał, żeby osiągnąć swoje własne cele.

Pod względem fizycznym faraona cechowała ta delikatność budowy, którą odziedziczył Kamose. Miał wspaniałe rzeźbione rysy, niemal kobiece. Lecz mocny zarys szczęk i ust zdradzał jego wewnętrzna siłę. Był mistrzem w powożeniu rydwanem i Rahotep domyślał

się, że czuł się szczęśliwy dopiero wtedy, gdy uwolniony od dworskich ograniczeń, mógł dowodzić swą armią w polu - gdzie tradycja nie tylko zezwalała, lecz wręcz nakazywała mu czynny i intensywny udział.

Pora sucha zbliżała się do końca i Nil lada moment mógł wylać. Rahotep już od trzydziestu długich dni był w służbie faraona. A kiedy rzeka pociemniała i zaczęła przybierać, zaczęły jednocześnie rosnąć napięcia w pałacu.

Kapitan pełnił właśnie służbę, kiedy pisarz królowej. Pepinecht - ten sam, który zaprowadził go do Domu Królewskich Kobiet podczas jego pierwszej nocy w Tebach - przybył do niego z rozkazem, który, aczkolwiek nosił królewską pieczęć, nie przeszedł przez dowódcę gwardii.

- Za tydzień faraon musi wyruszyć w podróż, żeby zmierzyć przybor wód w rzece - oznajmił pisarz. - A dzisiaj przybędą tu ci, którzy mają odczytać jego przyszłość. Wpuść ich.

Rahotepowi to stwierdzenie niewiele mówiło. Jednak kiedy później robił obchód łuczników postawionych na straży kwatery szeregowców, był świadkiem przybycia grupy kapłanów ze świątyni Anuhisa. Tolhotepowi odzianemu w ceremonialne szaty towarzyszył chudy człowiek, którego ascetyczna twarz wyglądała jak arkusz papiirusu, przez który przenika światło pochodni. Nosił on ostrożnie w obu rękach na wysokości piersi wazę z pocerniałego srebra, dzięki której Rahotep rozpoznał w nim jasnowidza, jednego z nielicznych, którzy dzięki łasce Wielkich potrafili spoglądać w przeszłość i przyszłość.

Potem przez korytarze przeniesiono w lektykach królewską matkę i królewską małżonkę. Kiedy znalazły się w wewnętrznej komnacie, gdzie czekali kapłani, odprawiły większość orszaku, tak że to służby Szakala musieli pozasuwać wiszące w wejściach specjalnie tkane zasłony, zamykając komnatę.

Zasłony te nic stanowiły żadnej przeszkody dla woni kadzidła, ani nie tłumili cichego, monotonnego potoku zakleć, który miał odizolować jasnowidza od wpływów tego świata i umożliwić mu otwarcie oczu w jakimś innym. Rahotep był już kiedyś świadkiem takiego seansu w Semnie - co prawda wtedy nie dał on żadnego rezultatu.

Jasnowidz miał wpatrywać się w glebie boskiej misy wypełnionej wodą z warstewką oliwy na powierzchni. Jeśli taka będzie wola Anubisa, to warstewka ta ułoży się w jakiś obraz lub znak, który będzie mógł być zinterpretowany przez Jego kapłanów. Połączenie dźwięku i zapachu miało stępić zewnętrzne zmysły.

Kapitan przeszedł wzdłuż korytarza, zatrzymując się przed każdym ze swoich ludzi, żeby upewnić się, czy zachowują czujność. Jednakowoż zdążył ponownie znaleźć się przed drzwiami komnaty, kiedy monotony śpiew urwał się nagle, a nabrzmiała cisza przerwała drżące mamrotanie starego człowieka. Kapitan nie był w stanie rozróżnić poszczególnych słów. lecz po chwili dobiegł go nagły, ostry krzyk kobiety.

Podniosły się również inne głosy i w jednym z nich Rahotep dosłyszał gniew. aczkolwiek dobrze skrywany. To był Totholep! Potem spokojny głos, który Rahotep miał już okazję słyszeć podczas wygłaszania wyroków i wydawania dekretów, ponownie przerwał ciszę.

-Więc niech tak będzie! Co Re daje, to również może zabrać. Jednak dopóki żyje, dopóty będę robił to, co jak wierze, jest jego wola. Czy wojownik w bitwie wrywa tarczę towarzyszowi, żeby osłonić własne ciało? Nawet Hyksosi tego nie robią. Sekenenre będzie żył tak, żeby żaden człowiek po jego odejściu za horyzont nic mógł powiedzieć: "To nie był godny pan, lecz tchórz, który pęza w słońcu, obawiając się ciemności". Nic się nie zmieniło i nic się nie zmieni w moich planach. Powiedziałem!

Kiedy kapłani Anubisa opuszczali komnatę, jeden z nich chwycił jasnowidza pod ramię, gdyż ten poruszał się niepewnie jak ślepiec, a jego twarz po przeżytych szoku pokryła się trupią białoszczią. Totholep wyszedł na samym końcu, aż zacisniętych warg i z szarpnięcia, jakim wyprostował swój płaszcz z lamparciej skóry, Rahotep mógł domyślić się siły jego gniewu.

W tej samej chwili, przez jakiś fatalny zbieg okoliczności, arcykapłan stanął niemal tuż przed nim. To, co jak żar po zduszonym ogniu tkwiło głęboko w jego oczach, nie było zbyt miłym widokiem. Pen-Seti wzbudzał lek, lecz ten człowiek budził śmiertelne przerażenie. Przez długą chwilę, jakby wyjęta z normalnego czasu, stali twarz w twarz. Totholep wbił swe ciemne oczy w młodszego mężczyznę, jak gdyby chciał jakimś sposobem przekazać tej niższej istocie cały swój gniew i zawód. Rahotep wiedział, że nic dobrego nie wyniknie z tego spotkania, mimo że było ono przypadkowe. Ponownie zaczęła dreczyć go myśl, że jest przesuwany tu i tam, bezwolnie, przez tych, dla których jest tylko bezrozumnym pionkiem na planszy.

Arcykapłan nie przemówił ani słowem, podobnie jak Rahotep. który odstąpił na bok, żeby go przepuścić i pospieszył potem na skinienie reki, która przywołała go do drzwi. Czekala tu na niego ta sama dama dworu, która eskortowała go na pierwsze spotkanie z królowymi. A teraz, wydając głośno rozkaz, żeby przywołać nosicieli lektyk, dodała półszepcarn:

-Kiedy zakończysz służbę, kapitanie, królowa-matka chciałaby z toba porozmawiać. Przyjdź do furtki w murze.

Won kadzidła ulotniła się. a pałac pograżył się w normalnej nocnej ciszy i w końcu kapitan był wolny. Niemal niesmiało zapukał do tego wejścia, przez które niegdyś wprowadził go Pepinecht. Kiedy znalazł się wewnątrz, stwierdził, że pisarz już na niego czeka, żeby zaprowadzić go do małej komnaty.

Tym razem dwie królowe siedziały same. Nie było stolików zastawionych polmiskami, ani rozłożonej planszy do gry. Miał dziwne wrażenie, że wchodzi do kwatery jakiegoś dowódcy. Rzucił przelotne spojrzenie na tylną ścianę, która była zakryta kobiercem za jego pierwszej bytności i jego oczom ukazały się zasłonięte teraz drzwi. Kiedy "ucalował pył" przed

krolowymi, zarowno pisarz, jak i dama dworu wycofali sie na taka odleglosc, z ktorej nic nie mogli uslyszec.

-Kapitanie! - Rece krolewskiej matki spoczywaly na poręczach fotela i teraz zacisnely sie.
- Czy rozeszła się już wiadomość o tym, co wydarzyło się tej nocy? Ściany domu faraona mają uszy i oczy. a nie brakuje tu też języków do szybkiego przekazywania złych wieści.

-Krolowo, jeśli się rozeszła, to nie dotarła do moich uszu! - wyznał szczerą prawdę.

Przyglądała mu się zwezionymi oczyma z bacznością sokola. Potem spojrzała na swoją córkę, krolewska małżonkę. Ta młodsza twarz była tak dokładnym odbiciem starszej, że było to aż niesamowite. Przez te krótkie chwile, kiedy ich spojrzenia się spotkały, przekazały sobie bez słów jakąś wiadomość.

-Słuchaj dobrze. - Głos Teti-Sheri był zaledwie cichym szmerem. - Dzisiaj wieczorem Ten-Ktory-Przemawia-W-Imieniu-Anubisa przyprowadził swojego jasnowidza i zostało przepowiedziane, że jeżeli faraon wyruszy przeciwko Hyksosom, wtedy czas jego panowania zostanie skrócony i odejdzie poza horyzont.

-Tak nie może się stać! - zaprotestował Rahotep.

Machnęła ręką na znak, że jego gwałtowne oburzenie nie ma znaczenia.

-Tak muszą powiedzieć wszyscy, którzy kochają Egipt, gdyż faraon planuje zrzucić jarzmo najezdźców i to jak najszybciej. Im dłużej ludzie pozostają w lancuchach, tym bardziej zapominają, jak smakuje słodczy wolności. Są tacy, którzy zaczynają z czasem traktować swe lancuchy i klatki jako oazy bezpieczeństwa w niepewnym świecie.

Rahotep nieswiadomie kiwał potakująco głową, przypominając sobie rozmowy, które słyszał na tebanskim dworze.

-Dlatego też zdecydowali się na taką straszną przepowiednię - zawahała się. najwyraźniej niezdecydowana, czy mówić dalej.

Nagły przebłysk świadomości zmusił go do dokonczenia ze zgrozą:

-Myślać zapewne o dopilnowaniu, żeby spełniła się przy ludzkiej pomocy.

Krolewska matka siedziała zupełnie nieruchomo. Natomiast krolewska małżonka zadrzała i częściowo odsunęła ręce od piersi, jakby chcąc odparować jakiś cios. Potem Teti-Sheri uśmiechnęła się, ale w wygięciu jej ust nie było śladu wesołości.

-Tuya może cieszyć się nowym Sokolem, nie brakuje mu rozumu. Myśl tak dalej, ale zachowaj te myśli wyłącznie dla siebie. Ostrzeżenie w odpowiednim czasie jest dla żołnierza tyle samo warte, co dodatkowy oddział za jego plecami. Bądź ostrożny, powtarzam ci raz

jeszcze, bądź ostrożny. Ty i twoi lucznicy jesteście ludźmi spoza układów istniejących w naszym życiu. Właśnie dlatego możecie lepiej wypełniać obowiązki i być może uda wam się dopilnować, żeby nasz pan nie odszedł przed czasem.

-Jest jeszcze jedna sprawa - po raz pierwszy przemówił Ah-Hetpe. - Ponieważ jesteście tu obcy, znajdą się tacy, którzy będą wolli obwinąć was niż swoich przyjaciół czy krewnych, gdyby cokolwiek się stało. I może się tak zdarzyć, że nikt nie wyciągnie do was pomocnej dłoni, aby was oczyścić z zarzutów.

A więc o to chodziło! Wszystkie jego mgliste obawy nagle nabrały ostrości. On i jego ludzie - bez miejscowych powiązań i nieskorumpowani - mogli być zbawieniem dla królów w obliczu pałacowych intryg. Z kolei dla każdego spiskowca nubijski oddział byłby odpowiednim kozłem ofiarnym. Faktycznie musiał kroczyć z zawiązanymi oczami ścieżką wiodącą przez bagno pełne krokodyli. Myśli te najwyraźniej odzwierciedlały się na jego twarzy, gdyż Teti-Sheri uśmiechnęła się ponownie, lecz tym razem jej uśmiech nie był tak łagodny jak przedtem.

-Służ nam chociaż przez krótki czas, kapitanie. Kiedy nasz pan wyruszy przeciw Hyksosom, a wyruszy na pewno po Błogosławieństwie Wod, wtedy nie będzie już mieli okazji pozbawić go życia. A jeśli spróbują, to ich żeby jadowe wbija się tylko w kamień.

Obietnica ta stanowiła niewielką pociechę, stwierdził niewesoło Rahotep, siedząc na stoliku w swej kwaterze i wpatrując się z roztargnieniem w Khetiego, którego wezwał na naradę, a teraz po prostu nie wiedział jak ją zacząć. Mogł się jednak domyslić, że jego mleczny brat zdążył już zebrać niektóre nitki z wielkiego supła w swoje sprawne ręce, gdyż teraz odezwał się pierwszy:

-Szakał zaszczekał dziś wieczorem nie bez powodu, bracie. A teraz wszyscy strzepia sobie języki na temat tego ostrzeżenia.

-Tak. Doświadczyłem tego w dwójnasób. Musimy być w pogotowiu, dopóki nie minie Błogosławieństwo Wod...

To, co chciał jeszcze dodać, miało jednak pozostać niewypowiedziane. W drzwiach stanął Nakh-hof, zastępca komendanta gwardii. Z trudem utrzymywał wyprostowaną pozycję, a jego twarz była zielonkawa pod brązowymi, oleistymi kroplami spływającymi mu po policzkach.

-Kapitanie! - zabrzmiało to jak krzyk bólu. - Spadła na nas jakaś okropna choroba. Połowa strażników nie może się podnieść ze swych mat. Weź swoich ludzi i pilnujcie komnaty faraona, dopóki nie będę mógł wam przysłać zmiany!

Podczas przechodzenia z jednego korytarza w drugi, Kheti powiedział pośpiesznie do Rahotepa:

-Choroba, która uderza tak nagle i spada akurat na ludzi ze strazy przybocznej, to naprawdę szczególne zjawisko. Być może ten, który szczeka, jest w to zamieszany.

Była to jednak choroba i to poważna, jak przekonał się na własne oczy Rahotep. Rozstawiając swych ludzi w miejsce gwardzistów, których w większości trzeba było wynieść. Miał nadzieję, że ostrzeżenie, którego poufnie udzielił każdemu z luczników, wystarczy, żeby zachowali czujność i przygotowali się na kłopoty.

Noc mijała i zaczynało mu się wydawać, że był przesadnie podejrzliwy. Według wielkiego zegara wodnego brakowało mniej niż pół godziny do chwili, w której faraon zostanie zbudzony na poranne przywitanie Amona-Re. Kiedy wewnątrz komnaty rozległ się krzyk.

Rahotep popędził korytarzem, dobiegł do kotar akurat w momencie, kiedy przedzierał się przez nie strażnik tych drzwi. Odepchnął go swym ciałem i zatrzymał się wewnątrz, starając się w ciemnościach rozeznaczyć sytuację. W kacie, gdzie loże faraona stało na pół ukryte za baldachimem, toczyła się jakaś walka, więc Rahotep skoczył w stronę tego zamieszania, wołając jednocześnie o światło.

Rzucił się na splątane ciała walczących ze sobą mężczyzn, a jego ręce zeslizgnęły się po mocno naoliwionym ciele. Potem napotkały pokryta włosami skórę - spiczaste ucho zwierzęcia! Faraon walczył o życie z jakimś monstrum, które włożyło głowę zwierzęcia na ludzkie ciało!

Kapitan uderzył pięściami na osłep. Z całej siły, którą mógł zebrać. Coś chrząknęło, kiedy w drzwiach zabłysło światło. Napastnik wyslizgnął się w kierunku narożnika komnaty. Rahotep zrobił krok w pogoni za nim i nagle opadł na jedno kolano, gdyż jego stopa utkwiała pod drugim ciałem. Macał na osłep, aż jego palce zamknęły się wokół metalu.

Nakh-hof, który w cudowny sposób wyleczył się ze swej ciężkiej choroby, wszedł do środka i stanął za nim. Kiedy wsunął płonącą pochodnię pod baldachim, wszyscy tłoczący się strażnicy mogli dokładnie przyjrzeć się rozgrywającej się przed nimi scenie. Rahotep kleczał przy Sekenenre. Faraon słabo pojekiwał, a w jego piersi tkwił sztylet - sztylet, którego rekojesc trzymał w tej chwili Rahotep. Poza ludźmi, którzy właśnie weszli, komnata była pusta. Dla tych świadków on właśnie był zbrojcem złapanym podczas popełnienia przestępstwa!

10. Więźniowie anubisa

Rahotep przycisnął mocno czoło do twardego kamienia ściany, pod którą leżał. Lekki ból, który go przeszył, pomógł mu w tej gorączce wspomnień i myśli złożyć wszystko w całość. Został zamknięty w tej czerni lochu, jak gdyby jego zmaltretowane ciało zostało zapieczętowane - jeszcze żywe - w jakimś sarkofagu albo grobowcu. Jednak - nie mógł złapać powietrza w zduszonym szlochu dziecka, które lkało aż do wyczerpania - dla Rahotepa, syna Ptahhotepa i Tuyi, nie znajdzie się żaden grób, poza brzuchem jednego z

krokodyli w rzece. Bedzie umieral bardzo dlugo, a potem czeka go kompletne zapomnienie zamiast zycia wiecznego. A moze sedziowie zmarlych beda bardziej litosciwi niz sedziowie zyjacych?Wietszosc wydarzen, ktore nastapily po tym, jak Nakh-hof zaskoczyl go nad cialem nieprzytomnego faraona z narzedziem zbrodni w reku, byla na szczescie tylko zamazana plama w jego pamieci. Okrutnie go wychlostano podczas przesluchania. Kiedy przekonal sie, ze nikt nie chce sluchac jego wersji wydarzen, ani zapewnien o niewinnosci i ze pragna tylko wydobyć od niego przyznanie sie do winy. wtedy zamilkł i zachowal milczenie juz do konca.

Byl jednak moment, ktory zapamietal z cala wyrazistoscia - ceremonialne zlamanie na jego zmaltretowanej twarzy wlasnego, kapitanskiego bicza przed zebrana w tym celu gwardia. Inny zapamietany obraz ukazywal jego lucznikov, odartych z broni i insygniow swej sluzby, pedzonych do pomieszczen dla niewolnikow oraz wlezonego w srodku tej grupy, nieprzytomnego Khetiego, ktory do konca przeciwstawial sie niesprawiedliwosci. Potem obudzil sie tutaj. Co prawda, nic mial pojecia, gdzie sie znajduje, ale i tak niewiele go to obchodzilo.

Przesunal obrzmialym jezykiem po poranionych wargach w daremnym poszukiwaniu wilgoci. Wody! Nawiedzilo go wspomnienie zaglebienia z metna woda w wysychajacym strumyku na granicy kuszyckiej. Tesknil teraz do tej wody. Mimo ze byla zielona od wodorostow, cuchnaca i pelna owadów, pozadal jej chciwie. Cela, do ktorej go wtracono, byla wprawdzie zimna i wilgotna, ale nie bylo w niej wody. A moze zostal juz skazany i zamurowany tutaj po wsze czasy, zamkniety wraz przeklenstwem, ktore uwiezi rowniez jego dusze razem z rozkladajacym sie cialem. Slyszal juz mroczne opowiesci o takich karach. A z pewnoscia trudno o wieksza zbrodnie niz podniesienie sztyletu na Syna Re.

Bywaly chwile, kiedy wyzwalal sie z ciemnosci, zimna, bolu i biegł znowu z Pustynnymi Zwiadowcami po pustkowiach lub spuszczal sie po urwisku na wystep skalny, gdzie Horus zaprowadzil go, zeby znalazł malego lamparta. Potem ponownie odzyskiwal swiadomosc beznadziejnej terazniejszosci i miejsca, w ktorym sie znajduje.

Odkryl, ze kostke zakuto mu w obrecz, od ktorej biegł lancuch przymocowany do sworznia wbitego w kamien sciany. Stwierdzenie tego faktu odegnalo jego pierwotne obawy. Gdyby faktycznie zostal zamurowany, to nie zadawaliby sobie trudu, zeby go zakuwac. Podniesiony na duchu przez te malenka pocieche w morzu obaw i czarnych przeczuc. Rahotep przystapil do badania swojej celi wyciagnietymi rekoma.

Przy najmniejszym poruszeniu bol przeszywal jego zranione ramiona, lecz wytrwale podazal dalej wiedziony wrodzonym uporem. Macal w ciemnosci, ale nie znalazł zadnej przerwy w otaczajacych go z trzech stron scianach. Do czwartej nie udalo mu sie dosiegnac mimo polozenia sie na brzuchu i wyciagniecia rak na cala dlugosc - nie pozwalala na to rozpietosc lancucha. W trakcie tych poszukiwan znalazł za to dzban i talerz. Dyszac ciezko z pozadania, bardzo powoli przysuwal do siebie dzban, obawiajac sie, by nie uronic chocby kropli cennego plynu, ktory, jak slyszal, przelewal sie wewnatrz. Napil sie oszczednie

zatechlej wody. Z kazdym przelkniety m lyczkiem czul. jak wlewaja sie w niego nowe sily. Na talerzu znajdowal sie trojkatny chleb z grubo mielonego ziarna, ze zgrzytajacymi w nim plewami - normalne pozywienie niewolnikow. Zjadl kawalek powoli, krzywiac sie z bolu i dlawiac przelykanymi z wysilkiem kesami. Nie zjadl jednak wszystkiego, chociaz brzuch sciskal mu sie z glodu. Nic nie wskazywalo na to, zeby mial dostac nastepny posilek. Najlepiej postarac sie, by ten starczyl jak najdluzej. Rahotep usiadl prosto, bojac sie oprzec pokaleczonymi plecami o mur, i zul ostroznie chleb.

Znalezienie jedzenia utwierdzilo go w przekonaniu, ze nie zamierzano pozostawic go tu na zawsze. Odsunawszy wiec na bok mysli o dopiero co przezytym koszmarze, kapitan zaczal rozwazac, co moze zrobic, zeby wydobyć sie z tego wiezienia. Zostal tu wrzucony kompletnie nagi, zdarto mu nawet amulet z szyi. Nie mial niczego, co mogloby posluzyc mu za bron i na dodatek byl przykuty lancuchem.

Przykuty! Jego palce powedrowaly do obreczy na kostce i przesunely sie wzdluz ogniow lancucha do uchwytu, ktorym byl przytwierdzony do sciany. Ten z kolei wbity byl w zaprawe w miejscu, gdzie stykaly sie ze soba cztery bloki. Szarpnal go, z gory wiedzac, ze nawet sily Khetiego nie starczylaby, zeby go obluzowac. Ale zaprawa...

Znowu zaczal macac po podlodze, az znalazl talerz, na ktorym lezal chleb. Sadzac z dotyku, bylo to zwykle naczynie z wypalanej gliny. Lecz moglo posluzyc za cos w rodzaju narzedzia. W kazdym razie, nie zamierzal siedziec w ciemnosciach z zalozonymi rekami i spokojnie czekac na smierc! Po chwili zastanowienia Rahotep stlucz talerz i zostaly mu dwie wyszczerbione, spiczaste skorupy. Zjedna z nich w reku rozpoczal swe, jak sobie zdawal sprawe, niewykonalne zadanie, dziobiac tym kruchym, glinianym ostrzem w twardej jak kamien masie wokol uchwytu lancucha. Rownie dobrze moglby probowac osuszyc Nil zlozonymi w miseczke dlonmi - szeptal mu zgryzliwie wewnetrzny glos. Nie przestawal jednak drazyc, chociaz glina kruszyla sie przy kazdym uderzeniu.

W tej ciemnosci nic byl w stanie odroznic dnia od nocy ani okreslic godzin. Mogl tu byc dluzej albo krocej niz mu sie. zdawalo. W koncu zapadl w sen. Kiedy sie obudzil - sztywny i obolaly - wypil nieco wody i zjadl kes czy dwa chleba. Jedzenie nie zostalo uzupelnione i pogratulowal sobie zdolnosci przewidywania, ktora sklonila go do racjonowania tego, co znalazl.

Ostatni kawalek stluczonego talerza zamienil sie w pyl, a opuszki palcow mial obtarte do krwi, gdyz staral sie wykorzystac nawet najmniejsze skorupy do pocierania zaprawy wokol uchwytu. Sadzil, ze wydrzyl tam chociaz niewielkie zaglebenie, lecz caly jego wysilek okazal sie daremny. Usiadl wiec teraz spokojnie, sciskajac w rece ostatni kes chleba.

Podnosil go wlasnie do ust. kiedy ponad jego glowa rozblysko oslepiajace swiatlo. Rahotep oslonil dlonmi oczy w instynktownym odruchu i przycisnal sie do sciany, w ktorej byl umocowany jego lancuch. Tak dlugo przebywal samotnie w tej ciemnosci, ze z poczatku nie zrozumial, jaka obietnice niosa ze soba dobiegajace dzwieki. Powoli ukladaly sie one w

calosc i zaczely nabierac sensu.

-Dostojny Rahotepie...? - uslyszal znajome mu polykanie koncowek. Po chwili wszedl mu w slowo drugi glos - cichy, wladczy glos oficera.

-Rahotepie! Bracie!

Kapitan wywolal z pamieci imie i wypowiedzial je ochryplym glosem, ktory najwyrazniej byl wszystkim, na co mogl sie zdobyc.

-Kheti!

-Tak. bracie. Kheti. Trzymaj te pochodnie nizej, glupcze! Nie teraz, tylko kiedy znajde sie za ta dziura!

Jakies ciało przeciskalo się z dużym wysiłkiem przez kwadratowy otwór znajdujący się na wysokości ponad dwóch metrów w tej najdalej położonej ścianie, zwieszalo się przez chwile na rękach, po czym opadlo na podłoge. Rahotepa nadal piekly oczy porazone światłem pochodni, lecz zmusil się do rozejrzenia po kamiennej celi. która go wiezila - od jak dawna?

-Jestem przykuty - jego ochryply głos dziwnie odbijal się od nagich ścian.

Kheti natychmiast przyklekнал, badając ogniwa i kolko, do ktorego były przyczepione. Szarpnął je na próbę, po czym pokręcił głową i przeniósł uwagę na obęcz otaczająca kostkę Rahotepa.

-To da się przelamać, bracie. Zbierz siły - zwrócił się do kapitana.

Pomimo poranionych pleców Rahotep oparł się o mur, rozkładając raniona, żeby utrzymać równowagę, podczas gdy Kheti wepchnął kciuki do wnętrza obęczy. Muskuly napreżyły się na ramionach Nubijczyka, a Rahotep poczuł, jak jego ciało i kości są sprasowywane w uścisku tych rak.

-Uf, metal jest stary i zniszczony - Kheli mruknął z zadowoleniem. - Jeszcze raz, bracie!

Rahotep zacisnął oczy. czuł struzkę zimnego potu spływającą po policzku. Nagle ten straszliwy nacisk zniknął i dało się słyszeć uderzenie metalu o kamień. Cała stopa miała zdrewniała, jakby ustalo w niej krazenie, lecz posłusznie pokustykał naprzód, kiedy Kheti zaczął go prowadzić w poprzek celi. do miejsca gdzie znajdował się otwór.

-To teraz w gore! - Nubijczyk chwycil go w pasie i uniosl. Pochodnia gwałtownie zniknela z otworu, a jakies rece zlapaly za wyciagniete w gore nadgarstki kapitana. Potem wyrwaly go z uscisku Khetiego tak gwałtownie, ze przez moment czul sie. jakby rozrywano go na pol.

W chwile pozniej lezal na plecach w korytarzu tak waskim, ze jego ramiona dotykaly obu scian. Za jego glowa i u stop stali jacys ludzie. Choc byl jeszcze oslepiony, dojrzal w koncu, ze to jego lucznicy.

-Jak... - nie udalo mu sie dokonczyc pytania, gdyz rozleglo sie jakies szuranie i uslyszal Khetiego, raz jeszcze wydajacego rozkazy.

-Wepchnij ten kamien dokladnie, ty swinski Kuszyto. Niech te ogolone czaszki zastanawiaja sie, czy ich wlasny Wielki zrobil sobie obiad z kapitana za ich plecami. To byloby swietne wytлумaczenie! Panie - Kheli stanal przed Rahotepem, oddajac mu oficerskie pozdrowienie - czy mozesz chodzic? Licho wie, dokad ta nora prowadzi, lecz musi gdzies miec koniec!

-Pomoz mi wstac. Jesli zostawiles mi w stopie dosyc calych kosci
- Rahotep zasmial sie nieco lekkomyslnie - to z pewnoscia moze chodzic. Gdzie jestesmy i jak tu dotarliscie?

Kheti wlozyl mu rece pod pachy, podciagajac go do pozycji stojacej, po czym jego potezne ramie znalazlo sie za plecami kapitana, zeby go podeprzec, dopoki nie przestanie sie chwiac.

-Jestesmy w jakims tajemnym przejsciui tych zmijowatych kaplanow. Nikt tedy dawno nie chodzil, sadzac po tym -

przeciagnal naga stopa po grubej warstwie kurzu na podlodze. - Poniewaz jestesmy na tyle silni, by dzwigac kamienie, z ktorymi nie poradziliby sobie ich niewolnicy, zabrali nas do oczyszczania czesci starego, zrujnowanego sanktuarium, na miejscu ktorego chca wzniesc nastepna kryjowke dla swych gusel. Dzisiaj podczas usuwania gruzu Mahu natrafil przypadkowo na blok w scianie, ktory przesunal sie pod naciskiem jego reki. Wieczorem ucieklismy z kwater niewolnikow i wykorzystalismy to wejście.

-Ale jak wam sie udalo mnie znalezc? - domagal sie wyjasnienia Rahotep, podazajac za dwoma lucznikami niosacymi pochodnie, a Khetiego i pozostalych majac za plecami.

-Bylo sporo gadania o tym, jak to trzymaja cie w jakims sekretnym miejscu w swiatyni - glos Khetiego stwardnial, a dlon trzymana na ramieniu kapitana zacisnela sie. - Planowali wspaniale przedstawienie...

-Ze mna w roli glownej - dokonczyl Rahotep slabo.

-To prawda, panie. Dlatego tez, stwierdziwszy dzieki otworom w scianach, ze to tajemne przejście prowadzi do wnetrza swiatyni, zaczelismy szukac czegokolwiek, co mogloby zdradzic, gdzie cie uwiezili.

-Tak - wtracil sie niosacy pochodnie Mahu. - Spojrz tutaj, panie.

Przesunal zagiew blizej podlogi i Rahotep zauwazyl zaglebienie wielkosc reki na krawedzi kamiennego bloku - wykute najwyrazniej, zeby ulatwic jego przesuwanie.

-Odsunelismy jeden. Byla za nim cela wiezienna - pusta, jesli nie

liczyć kości. Tak więc zaczęliśmy sprawdzać każdy taki kamień. Za trzecim znaleźliśmy ciebie!

-W takim razie nadal jesteśmy w świątyni Anubisa?

-Tak. panie - ponownie dobiegł go szept Mahu. - To jest stara budowla, bardzo skomplikowana. Myślę, że nawet ogolone głowy nie znają wszystkich jej sekretów. Jeżeli nie znajdziemy drugiego końca tego korytarza, możemy się tu ukrywać w ciągu dnia, dopóki pogon nie rozbiegnie się po pustyni, a potem wrócić tą drogą, którą przyszliśmy, przez oboz niewolników.

-Tymczasem możemy dowiedzieć się czegoś więcej o tajemnicach łysych głów - zauważył Kheti. - Poszukajmy teraz ich skarbcza.

-Nie pora teraz myśleć o łupach! - Rahotep niemal zaczął się jakac. Nubijczycy, jako wyznawcy Deduna, nie zawahaliby się uszczknąć coś nieco z darów składanych obcemu bogu. Był jednak zdumiony, słysząc, że Kheti proponuje coś tak odległego od ich głównego celu. Jakim była ucieczka.

-Nie chodzi o zdobycze, panie! - ton Horicgo był pełen szczerego oburzenia. - Chcemy tylko zabrać to, co do nas prawnie należy. Te klechy złożyły naszą bronię jako daninę dla swojego Szakala. Odzyskajmy ją a będziemy mogli stawiać opór jak mężczyźni.

Cichy pomruk uznania przebiegł wzdłuż linii zwiadowców. Rahotep też nie protestował, kiedy zatrzymywali się na jakiś czas, by zaglądając przez dziury w ścianach, stwierdzić, co się za nimi znajduje. Przy takim założeniu, pomysł Khetiego, żeby szukać skarbcza, faktycznie nie był pozbawiony sensu.

Spowodowane uwolnieniem podniecenie niosło do tej pory Rahotepa, jak powódź niesie szczatki domostw. Teraz jednak w głowie zaczęło mu wirować i musiał przytrzymać się jedną ręką ściany wąskiego przejścia. Całą swoją uwagę musiał teraz skoncentrować na ważnym zadaniu stawiania jednej nogi przed drugą, by nie stracić przy tym równowagi. Zatrzymali się przed kolejnym otworem obserwacyjnym, przez który dobiegła śpiewana pełnym głosem pieśń.

Rahotep rozpoznawał z trudem słowa i zwroty. Kapłani przygotowywali procesję na uroczystą wizytę faraona. Jakiego faraona?

-Sekenenre...? - spojrzał pytająco na Khetiego.

Nubijczyk, słabo widoczny w tym nikłym świetle, uśmiechnął się i odrzekł:

-Faraonowi nic się nie stało, poza uderzeniem w głowę i zadrasnięciem na piersi. W innym wypadku, wszyscy bylibyśmy już dawno martwi, bracie!

W to kapitan mógł uwierzyć. Jednak kim lub czym był zbrojca, którego udało mu się spłoszyć i gdzie się rozplynął? Kheti, obserwujący komnatę przez dziurę, obrócił się i westchnął z ulgą. Po czym zadowolony rzekł:

-Oto nadchodzi, gwardia i wszyscy! Miejmy nadzieję, że będą przez jakiś czas wyc do swojego Szakala. O co chodzi. Mahu?

Idący na czele łucznik przemknął chwilę wcześniej wzdłuż korytarza i z trudem precyzyjnie przesuwał swoje ogromne ciało wokół

naroznika. Teraz patrzył na nich i kiwał gwałtownie rekami.

Okazało się, że Mahu znalazł pomieszczenie, którego szukali. Wąskie szczeliny znajdujące się wysoko w murze wpuszczały do magazynu trochę światła, widzieli więc polki wyladowane skrzyniami i dzbanami. Mahu wskazał z podnieceniem na wieszadło, na którym wisiały luki.

-Tak. to nasze! - potwierdził Kheti. - Ale jak do nich dotrzemy? Przykucnął na podłodze i przebiegał dłońmi po ścianie w poszukiwaniu takiego samego wejścia jak te, które prowadziły do celu. Radosny chichot dał im znać, że je znalazł. Pozostali cofnęli się gorączkowo, żeby zrobić miejsce.

Wąski, kamienny blok przesunął się z trudem, a Kheti sceptycznie zmierzył otwór wzrokiem.

-To raczej droga dla weza - stwierdził. Próbował się precyzyjnie, lecz było widać już na pierwszy rzut oka, że otwór jest zbyt wąski zarówno dla niego, jak i dla pozostałych luczników. Rahotep zaczął przesuwac się do przodu.

-To moje zadanie. Przepuscacie mnie! - Wypowiadał te słowa w pośpiechu, ale tak naprawdę nie był wcale przekonany, czy ma jeszcze dość siły, by tego dokonać. Kiedy Kheti ustąpił mu miejsca, kapitan zaczął się przeciskac. Chropawy kamień tkwiący w przejściu przesunął się jak ostra szczotka po obolałych ramionach i z ust Rahotepa wyrwał się okrzyk bólu. Wytrzymał jednak i, szarpnawszy się po raz ostatni, znalazł się po drugiej stronie.

Ponieważ po tym wyczynie bał się stanac na nogi, przeczołgał

się więc w poprzek komnaty do wieszadła. Skulił się pod nim, ciężko łapiąc powietrze i przygotowując się do wysiłku, jakim będzie podniesienie się i wydostanie broni. Potem wyprostował się powoli, wspierając się o skrzynie. Jeden po drugim odwiązywał luki i siał z haków kolczany z lamparciej skóry. Kapłani byli bardzo drobiazgowi w swoich roszczeniach co do łupów. Znalazł swój pas z wsuniętym w niego ostrym sztyłem oraz srebrny ochraniacz na dłoń. Jego jedyne dziedzictwo z Sokola, zawieszony na kolku na końcu rzędu i dołączył je do swojej kolekcji.

Właśnie kiedy sięgał po ochraniacz, poruszył skrzynkę znajdującą się na półce poniżej. Jej wieko spadło z lekkim hałasem, a Rahotep, z trudem chwytając powietrze, zeszywniał z oczyma utkwionymi w drzwiach, spreżając się w oczekiwaniu na wejście świątynnych strażników.

Drzwi jednak pozostały zamknięte, a z zewnątrz nie dobiegł nawet najgłośniejszy dźwięk. W skrzyni, z której stracił wieko, leżała maska szakala, nieco większa niż naturalnych rozmiarów, ale i tak wyglądała bardzo realistycznie. Wyjmując ją Rahotep stwierdził, że skóra tego zwierzęcia została bardzo umiejętnie naciągnięta na ramę z drewna i wikliny.

Najwyraźniej została wykonana tak, by kapłan mógł ją nosić na głowie. Miała nawet futrzane klapki, które miały zakrywać szyję i ramiona. Przeciagnawszy palcami po jej uszach i pokrytej futrem skorze. Rahotep nie miał już wątpliwości, jakie to monstrum zastał w sypialni faraona. W tym przebraniu kapłan Anubisa mógł być wzięty za posłanca Boga i przejść nie zaczepiany przez nikogo. Kapitan pragnął zabrać maskę ze sobą, żeby móc udowodnić swą niewiarygodną opowieść o zbrojcy, lecz była zbyt

wielka i z zalem musial ja odlozyc.

Powoli, walczac na kazdym centymetrze powrotnej drogi z dygocacym ciałem i zawrotami glowy. Rahotep czolgal sie w strone otworu, pchajac przed soba swa zdobycz. Obawial sie, ze nie bedzie w stanie ponownie przejsc przez to waskie przejście. Na poly blagalnie wyciagnal rece i, czujac goracy, silny uscisk wokol nadgarstkow, zostal przeciagniety na druga strone.

Nie pamietal nic z tego, co nastapilo pozniej. Kiedy odzyskal przytomnosc, lezal na stosie mat, twarza w dol. Znany mu juz rownomierny bol ustepowal co chwila miejsca palacemu dotykowi, wiec Rahotep probowal uwolnic sie z przytrzymujacego go uchwytu.

-Spokoj, bracie! - Słowa te dobiegaly z przestrzeni ponad jego glowa, tak samo jak w celi, w ktorej uprzednio znalazl go Kheti. - Daj mi tu wiecej oliwy, idioto.

Ciecz splynela na plecy kapitana i zostala w nie wtarta pomimo jego oporu. Potem wlozono mu w usta wydrazona trzcinke i kazano ssac. Potulnie posluchal. Poczul na jezyku slodko-kwasny smak wina zmieszanego z mlekiem i przelkнал.

-Bedziesz zyl - w glosie Khetiego slychac bylo prawdziwa ulge. - Te pregi sa juz czesciowo zagojone, a oliwa dodatkowo im pomoze.

Rahotep otworzyl oczy i odwrocil glowe. Przed nim znajdowala sie sciana, ktora niegdys musiala byc pomalowana. Z oddali dobiegal odglos rozpryskujacej sie wody i mamrotanie sciszonych glosow.

-Gdzie my jesteśmy? - spytał.

Kheti stanął tak, żeby znaleźć się na linii jego wzroku. Trzymał w ręce spory plaster melona i odgryzał z niego ogromne kęsy. W przerwach zlizując sok spływający mu po palcach. Teraz przykucnął, żeby być bliżej kapitana i odpowiedział na jego pytanie:

-Gdzie jesteśmy, bracie? A gdzież by, jeśli nie we Włoszech Szakala. Rahotep próbował usiąść i ponownie runął do przodu.

-Złapali nas! - próbował dowiedzieć się czegoś więcej. Kheti pokręcił głową.

-Nie, bracie. Znaleźliśmy sobie wygodne legowisko. Wygląda na to, że Mahu miał rację. W dawnych czasach była to znacznie potężniejsza świątynia niż teraz. Udalo nam się trafić do części, gdzie od lat nikt się nie pojawił, oprócz jaszczurek i ptaków. Strażnicy tłuką się po pustyni w poszukiwaniu swych nubijskich niewolników, podczas gdy my leżymy sobie tutaj i delektujemy się tym, co mają najlepszego - bo Hori i Kakaw wspaniale potrafią się obsłużyć w ich kuchni. To świetny żart.

Rahotep zaczął się słabo śmiać. Cała ta sytuacja przechodziła wszelkie wyobrażenia. Była jakby wyjęta wprost z jakiejś legendy, na przykład z "Wygnanca Sinuhe". A może on już rzeczywiście "przeszedł poza" i to było życie po drugiej stronie horyzontu?

Jednak sytuacja ta, jakkolwiek wydawać mogła się fantastyczna, miała miejsce naprawdę. Dzięki swemu wyszkoleniu zwiadowcy doskonale potrafili ukryć się w tej opustoszałej części świątyni, zamieszkałej z pewnością przez całe rzesze kapłanów w

czasach, kiedy Teby były stolicą bogatego Egiptu. Lucznicy podkradali prowiant z magazynów, a resztę czasu poświęcali na odpoczynek, rozważając jednocześnie plany na przyszłość.

Rahotep zdawał sobie sprawę, że na zewnątrz tej tymczasowej kryjówki ich życie będzie w nieustannym zagrożeniu, o ile nie dotrą do jakichś pustkowi znajdujących się poza zasięgiem władzy faraona. Istniała pewna alternatywa, której nikt jednak nie wypowiedział głośno - ucieczka na północ i przyjęcie służby w szeregach Hyksosów. Sam Rahotep uczepił się z uporem jednej myśli, jak ugodzić nieprzyjaciela. Za wszelką cenę chciał ujawnić spisek kapłanów, jeśli z łaski Re jest to w ogóle możliwe.

Pozostali w ukryciu przez cały dzień, zasypiając na zmianę z łatwością ludzi przyzwyczajonych wykorzystywać na odpoczynek każdą możliwą chwilę w przerwach pomiędzy okresami wyczerpującej akcji. Było już po zachodzie słońca, kiedy Kheti wynurzył się z tajnego przejścia.

-Tohotep ma gości. Jacyś mężczyźni gromadzą się w jego wewnętrznej komnacie - podzielił się nowinami.

Zalarmowany Rahotep usiadł prosto. Niczym nie przypomniał obecnie złośnego zbiega, który został tu przyniesiony w noc ucieczki. Poruszał się jeszcze ostrożnie i starał się chronić plecy, lecz był umyty i ubrany w lnianą spódniczkę, tak jak wszyscy jego ludzie - choć była to czysta biel szat świątynnych, zamiast pasiastego materiału służby królewskiej. Liczyli na to, że kiedy podejmą ostateczną próbę wyrwania się na wolność, zostaną wzięci za oddział strażnicy świątynnej, a ciemność nocy powinna pomóc im w tym podstępie.

-Kogo Tothotep zabawia? - zapytał kapitan.

-Po pierwsze - wezyra...

Kheti zdążył tylko tyle powiedzieć, gdy kapitan był już na nogach.

-Czy można ich obserwować i podsłuchac, o czym mówią? - dopytywał się pośpiesznie.

-Tak, ale niestety tej nocy musimy już wyruszyć. Straże wysłane, by wywachac nasz trop, będą dziś wracać.

-Dobrze. Jednak myślę, że większy pożytek przyniesie nam podsłuchanie, o czym ci ludzie rozmawiają.

Kheti złapał go za ramię i rzekł ostro:

-Nie służysz już faraonowi - temu królowi, który za szczere oddanie odplaca bitem! Nie mieszaj się więcej w sprawy ogolonych czaszek i tych, którzy śpiewają im do wtoru, bracie.

Rahotep wyrwał się z przytrzymującego go uścisku.

-Czy zapomniales o naszej przysiędze przed ołtarzem Amona-Re? - odparował. - Być może faraon wierzy, że go zdradziłem, lecz przed obliczem bogów jestem czysty i dlatego aż do skutku będę tropił tych, którzy skalali nasz honor w Tebach.

Kheti nachmurzył się. Starożytny kodeks wojownika nadal władał umysłami żołnierzy. Nawet w Nubii był do pewnego stopnia przestrzegany. Z ociąganiem, najwyraźniej wbrew własnym chęciom, skinał w końcu głowa. Potem powędrował wraz z Rahotepem wzdłuż zakurzonego, wewnętrznego przejścia, aż

dotarli do miejsca, gdzie blask światła z otworu obserwacyjnego znaczył ich cel.

Tothotep rzeczywiście siedział po drugiej stronie tej ściany, podczas gdy na honorowym krześle usadowił się wezyr w maskującym, pustynnym płaszczu z odrzuconym do tyłu kapturem. Znajdowało się tam jeszcze dwóch mężczyzn: general Sheshang i drugi, który krył się w cieniu Tothotepa, siedząc na podłodze ze skrzyżowanymi nogami w ulubionej pozycji skrybow - ze spodniczka naciągnięta mocno między kolanami w charakterze pulpitu do pisania, chociaż nie trzymał piórelka, a skrzynka na przybory do pisania zwisała nadal z jego ramienia.

-Nie podoba mi się to - Zau powiedział bardzo cicho. Musieli mocno się wysilać, żeby go dosłyszec. - Ci nubijscy łucznicy mogą jeszcze sprawić kłopoty.

Tothotep uśmiechnął się złowrogo, po czym rzekł:

-Sa teraz ciałem pozbawionym głowy. Bez swojego oficera uciekna dzięki okolice, starając się wrócić do własnego kraju. A z ostatnich wieści, które otrzymałem z Nubii wynika, iż czeka ich tam tak zimne powitanie, że nie będzie już dla nas żadnym problemem. Nasz posłaniec właśnie dziś wieczorem powrócił z nowiną, że książę Teti przejął władzę. Jeśli nawet naszym strażnikom nie uda się ich wytropić, ma to dla nas niewielkie znaczenie.

-A ich oficer? - naciskał general. Tothotep przybrał lekko zasmucony wyraz twarzy.

-Jest bezpieczny w naszych rekach, panie. W odpowiednim

czasie dostanie to. na co zasługuje. Wszystko idzie po naszej myśli. I jutro, zanim zapadnie noc - przerwał, a Rahotepa przeszły ciarki, kiedy kapłan utkwil wzrok w ścianie, za którą stali, jak gdyby potrafił przeniknąć wzrokiem lity kamień i dostrzec ich obu - jutro przed nadejściem nocy wielki tron będzie ponownie wolny i wszędzie rozlegać się będzie lament, gdyż Syn Re przekroczy horyzont!

Zabrzmiało to jak syk zmii. General drgnął, wprawiając w ruch pióra na swym diademie, i przesunął koniuszkiem języka po wargach...

-Bierzemy udział w niebezpiecznej grze - zauważył.

-Jeśli ty wykonałeś swoją część przygotowań, panie - stwierdził sucho Zau - to nie marny się czego obawiać. Wracając do obozu, nasz władca wpadnie w dolinę w zasadzkę Hyksosów. Jego lojalna gwardia zostanie wybita co do nogi, broniąc jego świętej osoby. A Egipt powita nowego i niedoswiadczonego młodego pana, którego łatwiej będzie można skłonić do posłuszeństwa słowom bogów. Czy chcesz, żebyśmy zostali doprowadzeni do zguby, całkowicie spustoszeni przez barbarzyńców z północy? Teraz, kiedy Nubia rządzi zbuntowany Teti, wystarczy tylko wypowiedzieć wojnę, żeby zostać zmiażdżonym między dwoma kamieniami żaren. Jeśli faraon poprowadzi nas przeciw którejkolwiek z tych armii, to druga także na nas uderzy i skończymy jako ich niewolnicy. Lepiej płacić trybut i składać Apophisowi deklaracje lojalności, niż być zmielonym na miazgę!

-I taka jest Prawda Maat! - dodał Tothotep. Jednak general nadal nie był przekonany.

-A jeśli następca tronu nie będzie zważał na wasze wspaniałe rady w tych sprawach? Zawsze myślał podobnie jak jego ojciec.

-Książę Kamose jest bardzo delikatnej budowy. Jest wiele chorób, które mogą zaatakować człowieka.

-A Ahmose? - wypytywał Shcshang wytrwale. Zau rozesmiał się.

-Ahmose jest tylko chłopcem - rzekł. - Jest pod opieką Sebniego, którego nastawienie dobrze znamy. Dla Ahmosego wojna jest po prostu przygoda. Prawdopodobnie uda się go namowić, żeby zwrócił swój wzrok na południe i poprowadził wyprawę przeciw Tetiemu. Wyślij go z takimi oddziałami, jakie ty dla niego wybierzesz i książę Ahmose już nigdy nic sprawi kłopotu Dwóm Krajom.

Tothotep podniósł się nagle i powiedział:

-Musi nam się to udać! Tak było zapisane w misie Anubisa. Szakał wyznaczył koniec temu panowaniu, a my tylko wypełnimy obowiązki wobec naszego boga!

Zau owinał się brzegami peleryny i rzekł, zbierając się do wyjścia:

-Dopilnuj, żebyś wykonał swoją część, generale. Niech faraon wjedzie do Doliny Jaszczurki na swoim rydwaniu, lecz opuścić ją może tylko na marach!

11. Faraon przekracza horyzont

Rahotep stłumił podniecenie, które wprawilo jego serce w zbyt szybkie bicie. Nadal jednak oddychał gwałtownie. Peleryna, która był otulony, odgradzała go od wscibskich spojrzeń - przynajmniej

taka miał nadzieję. Udalo mu się bez zdemaskowania przeprawić przez rzekę ze świątyni do Teb. Jednak najtrudniejszą część przedsięwzięcia wciąż była przed nim. Musiał porzucić ochronę murów, do których się przyciskał, przejść śmiało między wartownikami w bramie, podając hasło, i niepostrzeżenie – wszak był wyjetym spod prawa zbiegiem – znaleźć się w kwaterze komendanta Methena. Z reka zacisnięta na rekojesci sztyletu podszedł do bramy. Był jeszcze wczesny wieczór. Żołnierze, którzy mieli przepustkę do miasta, wracali dopiero do koszar. Kapitan przyłączył się do jednej z takich grup, pozostając krok czy dwa w tyle, tak żeby nikt się nim specjalnie nie zainteresował.

Powracający żołnierze wymienili z wartownikami niewybredne żarty, które natychmiast ucichły, kiedy pojawił się oficer gwardii. Rahotep przeklął pod nosem swój pech. Na szczęście oficer nie poświęcił najmniejszej uwagi stojącej nieco z boku, owiniętej w pelerynę postaci. Skierował za to potok pogardliwych uwag pod adresem niezwykle potulnych teraz żołnierzy. Ustawił ich w szereg i odprowadził szybkim krokiem.

Rahotep odetchnął z ulgą, a następnie odrzucił kaptur, tak żeby widoczny był jego nemes z zaimprovizowanymi insygniami. Wszystko zależało teraz od tego, czy straż go rozpoznaje. Jego służba w siłach królewskich trwała tak krótko, że mógł liczyć na powodzenie swego przedsięwzięcia. Włocznia opadła przed nim jak bariera.

-Re wznosi się w chwale. - Rahotep zawierzył swą przyszłość hasłu, które Mahu, bedacy na zwiadach pod ścianą garnizonu, szepnął mu dosłownie przed chwilą.

Włocznia uniosła się szybko, a wartownik zaszalutował. Rahotep

mogł teraz swobodnie wejść na dziedziniec garnizonu, który jego zdaniem był zbyt jasno oświetlony pochodniami regularnie rozmieszczonymi w obojach na murze. Na szczęście był tu już kilkakrotnie, odwiedzając Methena w jego kwaterze, tak więc nie musiał nikogo pytać o drogę. Na przeszkodzie mogło mu stanąć tylko jedno - komendanta mogło nie być w jego komnacie.

Pomimo zdenerwowania kapitan starał się utrzymywać powolny krok. Przeciał dziedziniec i wspinał się wąskimi schodami prowadzącymi do mniejszych pomieszczeń, gdzie oficerowie mieli swoje prywatne kwatery. Chwilę później stanął przed właściwymi drzwiami i z radością spojrzął na opuszczoną w nich zasłonę. - Methen był w środku.

Stał jeszcze przez chwilę, nasłuchując szmeru głosów, który zdradziłby ewentualną obecność jakiegoś gościa. I tak był tym pochłonięty, że aż podskoczył, kiedy zasłona wybrzuszyła się tuż przy podłodze. Coś czarnego miało się pod nią przez chwilę zapamiętać, aż wreszcie opadło na jego sandały i pacnęło go na powitanie pazurami w nogę.

-Bis! - Kapitan przykleknął, a lamparcik uderzył go lekko swym okrągłym lepkiem z ostro sterczącymi uszkami. Potem Bis unosił się na tylnych łapach, a przednia trącał nemes Rahotepa, tak długo aż ten wziął go na ręce i przytulił mocno do siebie. W pewien sposób to zwierzęce przywitanie złagodziło ból i cierpienie kapitana, podziałało nań kojąco, jak niegdyś oliwa i opiekuncze ręce Kheticgo.

Potem mata zwinęła się z trzaskiem na swych rolkach i Rahotep ujrzał zdumioną twarz Methena. Widział, jak oczy starszego oficera rozszerzają się - a jednocześnie jego ręka wyciąga się, by

złapać faldy peleryny i wciągnąć kapitana do środka. Dopiero kiedy zasłona została bezpiecznie opuszczona. Methen odwrócił się i przemówił.

-Skąd przyszedłeś, chłopcze? Co stało się tamtej nocy w pałacu? Kapitan usiadł na najbliższym stojącym taborecie, a Bis, mrużąc oczy, ułożył się w poprzek jego kolan. Kapitan relacjonował przebieg wydarzeń tamtej nocy z własnego punktu widzenia; sucho, jakby składał raport dowódcy oficerowi.

Kiedy skończył. Methen skinął głową.

-Ty i twoi ludzie zostaliście wykorzystani, żeby ułatwić innym ich plany - stwierdził lapidarnie. - Domyslał się tego. Lecz nie mieliśmy żadnych dowodów. Naprawdę cieszysz się łaska Re. Jednak nie powinieneś tu przebywać. Im szybciej oddalisz się od Teb, tym większa masz szansa na przeżycie.

-Mam wiadomość - uczył młodszy mężczyzna. Pospiesznie opisał spotkanie, któremu przyglądał się z ukrycia w świątyni. - Ostrzeż faraona, bo inaczej powie im się to, co nie udało się poprzednim razem.

Methen przeciał niewielką izbę kilkoma wielkimi krokami. Wyrzucił przez okno z witrażem, po czym przejechał piętami po ścianie.

-To nie jest takie proste. Jestem osobą podejrzaną, ponieważ pochodzę z Nubii, która się zbuntowała. Nikt nie pozwoli mi zbliżyć się do osoby z królewskiej rodziny. A poza tym - odwrócił się ponownie z ponurą twarzą - skąd możemy wiedzieć, kto w tej armii jest szczerze oddany faraonowi?

-Nereb? - zaryzykował Rahotep. Nie przyszło mu to wcale do głowy i winił się w myślach, że tego nie przewidział.

-On jest przy faraonie - odrzekł Methen. - Jednak może coś da się zrobić poprzez Sa-Neklufla. Ci, którym ufam, są dziś wszyscy poza Tebami.

-Celowo?

-Może i tak. Bądź jednak pewien. Rahotepie, że zrobię wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby ostrzec naszego króla. Przyszło mi teraz do głowy, że oni mogli otoczyć go swymi ludźmi, żeby żadne szeptki nie doszły do jego uszu.

-W takim razie pozostała do zrobienia tylko jedna rzecz. Gdzie leży ta Dolina Jaszczurki? - Co ci chodzi po głowie?

-Nadal dowodzę dziesięcioma лучnikami, z Khetim jedenastoma którzy są najlepsi w całej armii. Mamy większą część nocy i cały dzień, żeby przedsięwziąć odpowiednie kroki. Być może, kiedy faraon zostanie zaatakowany, stwierdzi, że jego gwardia się podwoiła!

Methen kreślił jednak przecząco głową.

-Nie sądzę, żeby ktokolwiek mógł pieszo dotrzeć tam na czas. Nasz władca opuścił już Teby, gdyż ma ukazać się w Świątyni Wód. Nie będzie wracał do miasta, tylko wyruszy na przelaj, żeby dołączyć do armii. A zarówno on, jak i gwardia pojedą rydwanami. Ty nie możesz przeprowadzać się tymi samymi drogami, którymi porusza się armia, gdyż zostaniesz szybko zdemaskowany. A jeśli zatoczysz koło przez pustkowia, to

odleglosc, ktora masz do przebycia, jeszcze sie zwiekszy. Chcesz dokonac rzeczy niemozliwej, kapitanie?

-Niemniej jednak - odparl Rahotep - musimy sprobowac. Jesli nie uda ci sie dotrzec do faraona, postaraj sie porozmawiac z ksieciem Ahmosem. A teraz pokaz mi, gdzie lezy ta Dolina Jaszczurki i w jaki sposob mozna lam dotrzec z Teb.

Rahotep opuszczal koszary, niosac ukryty za pasem kawalek plotna, z labiryntem wyrysowanych winem linii. Methen nalegal, by mogl towarzyszy mu w drodze powrotnej przez brame, lecz okazalo sie, ze ktos probowal ich sledzic.

Bis nie chcial rozstac sie z Rahotepem teraz, kiedy ponownie go odnalazl. A kiedy Methen probowal podniesc go do gory i zaniec z powrotem, kociak dawal taki pokaz krolewskiego gniewu, ze z obawy przed podrapaniem pozwolil mu kroczyc sladem kapitana.

Zanim nastal swit, zwiadowcy dotarli juz. w glab pustyni. Rahotep popedzal sam siebie tak samo bezlitosnie, jak pozostalych. Jesli tylko jest to w ludzkiej mocy i zgodne z wola Amona-Re, zeby dotarli na czas do Doliny Jaszczurki, to oni ze swej strony dadza z siebie wszystko. O tym, czego by tam mieli dokonac, kapitan mial na razie bardzo mgliste pojecie. Gdyby udalo im sie odkryc i unieszkodliwic, jednego po drugim, ukrytych w zasadzce wrogow, bylby to naprawde usmiech losu. W najgorszym wypadku mogli przylaczy sie do obroncow faraona i w ten sposob czesciowo zrehabilitowac sie po swej poprzedniej porazce i hanbie.

W porownaniu z nimi Re przemierzal niebo zbyt szybko. Kapitan,

wiedząc, że nie może sobie pozwolić na dotarcie do doliny z ludźmi zbyt zmęczonymi, by naciągnąć ciężkie, sam na pol przytomny od słońca i słabości, zmuszony był zarządzać co jakiś czas odpoczynek. Kładł się wtedy płasko na ziemi, starając się odprężyć zarówno umysł, jak i ciało. W tym czasie Bis wtulał się w jego bok. Jakby w obawie, że jeśli się odłączy, to ponownie straci wszelki kontakt z Rahotepem. Dzisiaj lamparcik pozwalał nawet na to, aby Kheti niosł go, kiedy był zmęczony, chociaż zazwyczaj nie znosił, żeby Nubijczyk się nim zajmował.

-Niech no on pozbedzie się mlecznych zębów i całkowicie dorosnie, a zyskasz towarzysza walki, któremu nikt nie dorówna!
- zauważył Kheti. - Pojdzie za toba aż po horyzont, bo uznał cie za swego pana. a to wśród kotów jest bardzo rzadkie.

Rahotep przytaknął mu z roztargnieniem. Wybiegał już myślą do przodu, próbując przewidzieć wszelkie przeciwności i ewentualnie im zaradzić. Miał całkowite zaufanie do swoich ludzi. Nie sądził, by jakikolwiek zaczajony oddział mógł stawiać im czoła, jeśli tylko dotrą w porę na pole bitwy. Jedynym ich wrogiem był czas. który biegł zbyt szybko.

Już dawno, dzięki gorzkim doświadczeniom, nauczyli się najlepszego sposobu pokonywania pozbawionych wody pustkowi. I chociaż opuścili Teby z pełnym worem wody dla każdego, przestrzegali, by była ona ściśle racjonowana. Niestety, nie mogli sobie pozwolić na przeżycie najgorętszej części dnia.

Musieli więc jakos znieść siłę palącego słońca, gdy maszerowali skalistym wąwozem pomiędzy urwiskami - popekanymi i kruszącymi się - obchodząc dookoła obsunięcia żwiru, gliny i glazów. Powietrze nad skalami drżało od gorąca, gdy oddawały

nagromadzony zar, a na dodatek parzyły reke próbująca podeprzec się przy wspinaczce. Jedyną ulgą było podażenie skąpa smuga cienia w poprzek jednego ze zboczy, gdzie mogli znaleźć oparcie dla nóg.

Od czasu do czasu Rahotep wspinał się na szczyt urwiska, z którego mógł objąć wzrokiem szerszy teren i porównać go z prowizoryczną mapą wyrysowaną na płótnie przez Methena. Był jednak zbyt zmęczony i obolały, by się ucieszyć, kiedy w końcu wypatrzył punkt orientacyjny i stwierdził, że są już blisko celu.

Z powodu zbliżającej się powodzi wielkie obozowisko sił królewskich zostało przeniesione z płaskich pól nadbrzeżnych na wyżyny, dokąd nie dochodziła woda. Faraon zamierzał wyruszyć na północ w pierwszych tygodniach powodzi, gdyż wtedy legiony hyksoskich rydwanów nie będą mogły zgromadzić się na równinie nad rzeką i przeprowadzić skutecznego ataku.

Neferusi, miasto garnizonowe pozostające we władzy najezdźców, było uzgodnionym celem pierwszego ataku Egipcjan. Zostało ono silnie ufortyfikowane sposobem Hyksosów i przez ponad stulecie służyło jako ośrodek władzy okupantów w środkowym Egipcie.

W tej okolicy wszelka miejscowa opozycja przeciw obcym władcom została zniwiedzona kilka pokoleń wcześniej, więc egipskie siły z południa, które chciałyby tu uderzyć, nic nie mogły liczyć na jakąkolwiek pomoc z jej strony. Hyksosi niewatpliwie ogoliliby kraj z żywności i wszystkiego, co mogłoby pomóc powstańcom. W tej sytuacji frontalny atak z Teb byłby nie tylko pierwszym, ale i ostatnim ciosem w wojnie Sekenenre o oswobodzenie swego kraju.

Niemniej jednak, wszystko, co najciekawsze wojskowe pomysły w królewskiej służbie były w stanie przewidzieć, zostało przygotowane i teraz armia oczekiwała tylko na rozkaz wymarszu. Jeśli faraonowi uda się bez szwanku dotrzeć dziś wieczorem do obozu, to rusza naprzód. Jeśli zginie - jak postanowili jego przeciwnicy - upadnie cały misternie opracowany plan powstania. Runie tak, jak przewracają się gliniane ściany pod uderzeniem wód powodzi, spychając ponownie jego dynastie i naród do ponurego poddaństwa, z perspektywą wykonania od początku całej tej znużającej pracy.

Następca tronu nie mógłby się zająć opanowaniem sytuacji, byłby wszak zajęty uroczystymi obrzędami pogrzebowymi - a doradcy tacy jak Zau czy Tothotep z pewnością zmuszaliby go do przestrzegania tradycji, czyniąc księcia więźniem własnej pozycji. Natomiast po pogrzebie faraona mogłoby być już za późno, by kontynuować ofensywę na zajętych przez wroga terytoriach. Gdyby zaś Kamose nie okazał się wygodnym narzędziem w ich rękach, to jego również by się pozbyli. Wszystko to było tak łatwo przeprowadzić, kiedy tylko Sekenenre zostanie usunięty za horyzont! Rahotep był w stanie przewidzieć bieg wydarzeń tak wyraźnie, jakby był świątynnym jasnowidzem obserwującym nadchodzące wydarzenia w misie Anubisa.

-Panie! - tym razem Hori pierwszy osiągnął szczyt urwiska. -
Nadjeżdżają rydwany!

Kapitan nie wzdurzył się, wyciągnął do niego rękę i skorzystał z pomocy łucznika, by zająć dogodniejszy punkt obserwacyjny. Hori miał rację - chmura białozółtego pyłu wzbijała się spod szybko toczących się kół i wbijających się w ziemię kopyt - był to niewielki szwadron rydwanów. Nie, to nawet nie był szwadron,

gdyz Rahotep doliczył sie zaledwie pieciu w tym szeregu. W tym miejscu ukształtowanie terenu zmuszalo je do jechania pojedynczo, a prowadzacy rydwan wyroznił sie zarowno podwojnym zaprzegiem, jak i proporcem faraona.

Pomiedzy zwiadowcami a ta poruszajaca sie linia rozciagal sie nierowny, wyboisty teren i Rahotepowi nagle zrobilo sie slabo, kiedy uswiadomil sobie, ze tylko skrzydla samego Horusa moglyby ich przeniesc na czas w wyznaczone miejsce. Musieli jednak sprobowac.

Podczas biegu, w obawie przed groznymi upadkami pomagali sobie rekami w co trudniejszych miejscach. Byli jednak jeszcze daleko od krawedzi doliny, kiedy do ich uszu dobiegły przerazliwe okrzyki, ktore mogly znaczc tylko jedno - oddzial faraona wpadł w zasadzke. Rahotep - mimo straszliwego bolu w okolicach zeber - parł uparcie naprzod, ale i tak choc dokladal wszelkich staran, pozostawal w tyle za swymi ludzmi. Nagle ujrzał, ze Kheti dotarl juz do krawedzi zbocza, zalozyl strzale na cieciwe, jeszcze zanim zdazyl sie zatrzymac i wypuscil ja w dol. w doline.

Wtedy wykrzesal z siebie resztki sil i po chwili stanal, niemal sie zeslizgujac, obok swojego Dowodcy Dziesieciu.

W dolinie pod nimi klebili sie ludzie i konie. Czyhajacy w zasadzce musieli byc zbyt niecierpliwi, albo ich zwierzyna zaczela cos podejrzewac, gdyz oddzial krolewski nie wjechal zbyt daleko w doline. Jednak strzaly dosiegly juz obydwu konie z rydwanu faraona. Zeby nie stratowac unieruchomionego pojazdu, nastepny skrecil w bok. zaczepiajac przy tym o niego kolami i skutecznie zablokowujac przejazd. Najgorsze bylo jednak to. ze

nieudolnie prowadzony rydwan spowodował kolejną katastrofę na drugim koncu szeregu, tak że ludzie faraona byli teraz zablokowani z obu stron - i tak uwięzieni, mogli być z łatwością wybijani jeden po drugim. Ze swojego wzniesienia Rahotep i jego ludzie widzieli tych, którzy zastawili pułapkę, a przynajmniej tych, którzy ukryli się po ich stronie doliny. Musieli być wśród nich łucznicy, o czym świadczyły strzały sterczące z martwych koni poniżej. W tej chwili do dzieła przystąpili procarze ze swymi niosącymi śmierć pociskami i Rahotep był świadkiem, jak trzech spośród otoczonych gwardzistów padło z roztrzaskanymi czaszkami. Sekenenre w błękitnym, wojennym hełmie, chroniącym go przed tym śmiercionośnym gradem, wskoczył na platformę jednego z unieruchomionych rydwanów i z tego miejsca kierował obroną. Jak można jednak walczyć z dobrze ukrytym, a na dodatek znajdującym się powyżej wrogiem? Na podana przez faraona komendę tarcze uniosły się w górę, tworząc rodzaj dachu - niezbyt jednak szczelnego, gdyż wielu żołnierzy padło podczas pierwszego ataku.

Długa, nubijska strzała swisnęła w powietrzu i jeden z procarzy unosił się na palcach, jak człowiek zamierzający wskoczyć do wody. a po chwili jego ciało osunęło się bezwładnie na skałę.

-Wybierzcie sobie cele! - Rahotep automatycznie zaczął wydawać polecenia. - Strzelajcie bez rozkazu!

Poprzez dolinę poniosł się ryk wściekłości. W tym momencie pocisk z procy uderzył w skałę tuż pod ich stanowiskiem - widocznie przeciwnicy ustawieni po drugiej stronie doliny wypatrzyli zwiadowców. Teraz jednak przewaga była po stronie Nubijczyków.

-Pieciu! - zanucil Kheti. - Piec karbow dla naszych strzal, panie. Lucznicy mogli strzelac tylko do nieprzyjaciol kryjacych sie po ich stronie doliny, ale o wiele bardziej niebezpieczni byli ci, ktorzy znajdowali sie na drugim zboczu - niestety, ci byli praktycznie poza ich zasiegiem. I chociaz piec. a potem szesc cial swiadczylo o celnosci lucznikow, krolewski oddzial nadal znajdowal sie w niebezpieczenstwie, gdyz tamci nieublaganie walczyli, by go wyniszczyc.

Rydwan, na ktorym stal Sekenenre, otaczalo obecnie jedynie czterech czy pieciu pozostalych jeszcze przy zyciu gwardzistow i oficerow, ktorzy odrzucili teraz bezuzyteczne juz luki i trzymali w dloniach topory, maczugi oraz tarcze, dajace im pewna oslone.

Nagle rozlegl sie dzwiek jednego z tych wojennych rogow, ktore Rahotep slyszal uprzednio wsrod Hyksosow w konskim obozie. Kheti strzelil i postac usadowiona na wystepie skalnym przerwala w polowic nuty i zgiela sie w pol. Cokolwiek jednak mial znaczc ten sygnal, wywolal on poruszenie wsrod znajdujacych sie w dolinie.

Meczczyni podnosili sie z za glazow, z kryjowek w karlowatych zaroslach i zbiegali w dol zbocza, w kierunku oblezonego oddzialu. Nubijscy lucznicy robili co mogli, lecz nawet najdoskonalsi strzelcy nie byli w stanie trafic wszystkich biegnacych, zanim dotra do celu.

Skoczyli oni na niewielka grupe Egipcjan, podczas gdy Rahotep z polowa lucznikow ruszyl do wlasnego ataku, kryty przez pozostalych zwiadowcow. Zbocze z tej strony bylo mniej strome, wiec dotarli do zablokowanej drogi zaledwie w pare chwil pozniej niz nieprzyjaciel.

Brodaty mezczyzna w zbroi Hyksosa rzucil sie na Rahotepa z dzida. Kapitan zwinnie odchylił sie i przedostal pod jego tarcza, zginajac sie niemal do ziemi, po czym stanal z nim piersia w piers. Jego sztylet trafil w cel - nisko i gleboko - i przeciwnik z dziwnym wyrazem oszolomienia na twarzy cofnal sie. zataczajac, po czym padl martwy.

-Aaaahhh! - dziki, chrapliwy okrzyk wojenny Nubijczykow wzniosl sie ponad ogolna wrzawe, a kapitan katem oka dojrzal Mereruke trzymajacego nad glowa jakiegos procarza, zeby cisnac nim o ziemie z miazdzaca sila.

Wszystkich ogarnal szal bitewny i Rahotep nie zdawal sobie dokladnie sprawy z tego, co sie z nim dzieje, dopoki przypadkiem nie znalazl sie w poblizu kol przewroconego rydwanu, o ktore mogl sie oprzec i rozejrzec dookola.

Niewielka oslona utworzona z tarcz przez pozostalych przy zyciu gwardzistow nadal byla w gorze, ale Rahotep nigdzie nie dostrzegl blekitnego helmu ich dowodcy. Mahu siedzial oparty o skale, podczas gdy Kakaw owijal pasem oddartym ze spodniczki krwawiace ciece na jego przedramieniu. Kheti natomiast nadzorowal zwiazywanie kilku na pol przytomnych jencow.

Rahotep oderwal sie od kola rydwanu i ruszyl w kierunku muru z tarcz. Zanim dotarl do tej zaimprovizowanej fortecy, uslyszal przerazliwy lament wojownikow. I wiedzial juz. ze poniesli porazke. Faraon odszedl za horyzont.

Kapitan z trudem rozpoznał Nereba w zmaltretowanej postaci z twarza od krwi i kurzu. Mlody oficer siedzial na ziemi, trzymajac Sekenenre w ramionach. U stop Rahotepa lezala blekitna

korona. Wystarczyło jedno spojrzenie na straszliwe rany na głowie faraona, by być pewnym, że nie ma już żadnej nadziei. Nikt nie mógł przeżyć takich ciosów.

-Placzcie! Placzcie! Nasz pan odszedł! - oszczepnik z królewskiej eskorty zgarnął spod stóp garść poplamionej krwią ziemi i roztrącił ją po twarzy.

Nereb trzymając nadal bezwładne ciało króla, spojrzał na Rahotepa. W badawczym spojrzeniu, którym powitał kapitana, nie było widać zdziwienia. Mogło się nawet wydawać, że właśnie tutaj spodziewał się znaleźć wyjętych spod prawa Nubijczyków. I przez jedną gorzką chwilę Rahotep zastanawiał się, czy również i ta zdrada miała im być przypisana.

-Zjawiles się we właściwym momencie, kapitanie - odezwał się Nereb. - Chyba mamy ci wiele do zawdzięczenia.

Rahotep przeciągnął rękami po oczach, próbując odgarnąć mgłę, która zdawała się zacierać znaczenie słów tamtego. Czuł, że znajduje się w jakiejś otchłani zmeczenia, z której bezskutecznie usiłuje się wydostać. Ta drużgocąca porażka w połączeniu z innymi nieszczęściami, które dotknęły go w ostatnim czasie, była ciężarem nie do zniesienia.

-Staraliśmy się temu zapobiec, panie. Wygląda na to, że przybyliśmy zbyt późno.

-Nikt nie byłby w stanie przewidzieć tak haniebnej zdrady. Bitwa była już w zasadzie wygrana, gdy nagle straciliśmy naszego pana. To zdrada, a nie brak męstwa doprowadziły do... doprowadziły do tego. Co widzisz.

-Skąd się o tym dowiedziałeś? - spytał kapitan zdumiony, gdyż wojownicy w zasadzce byli ubrani i uzbrojeni jak Hyksosi, a on sam nie miał jeszcze okazji opowiedzieć mu swej historii.

-Spojrz tam! - Nereb, nie wypuszczając z uścisku zmarłego faraona, wskazał podbrodkiem miejsce za rydwanem, z którego Sekenenre dowodził swoim oblezionym oddziałem.

Rahotep podszedł chwiejnie do wskazanego miejsca, czując, że z wyczerpania nogi ciąży mu jak ołów. Leżały tam dwa ciała. To pierwsze należało do oficera ze specjalnymi insygniami gwardzisty - był to Nakh-hof. Spod pachy wystawał mu egipski sztylet. W ręce nadal sciskał zakrwawioną maczugę, a w poprzek jego kolan leżał sztywno rozciągnięty człowiek w masce szakala - takiej samej jak ta, która Rahotep znalazł w magazynie świątyni.

Przytrzymując się rydwanu, tak aby utrzymać równowagę, kapitan pochylił się i, chwyciwszy sterczące ucho tego dziwnego nakrycia głowy, ściągnął je z głowy zbrojcy. Widział już kiedyś tego człowieka. Był to ten sam milczący skryba, który siedział za taborem Tothotepa podczas narady zdrajców, podglądanej przez niego w świątyni Anubisa!

-Czy to oni zamordowali...? - zaczął powoli.

-Nakh-hof zadał pierwszy cios - on, który miał chronić naszego pana własną tarczą! Niechaj Ozyrys osadzi go odpowiednio! A kapłan uderzył jeszcze dwukrotnie, kiedy ja byłem zajęty wysyłaniem pierwszego zdrajcy na ostateczny rozrachunek z Re! Gdyby ten krokodyli pomiot nie zwrócił się przeciwko niemu, to nasz władca byłby bezpieczny. Twoi Nubijczycy oczyszczali pole i zwycięstwo należało do nas. Nie wiem, skąd przybyliście,

kapitanie, ani jaki dobry los sprowadził nam was na pomoc, ale niemal udało wam się ocalić Egipt, a to, że ostatecznie odnieśliście porażkę, nie było wina ani twoja, ani tych, których wiodłes.

-Panie! - Intef, jeden z łuczników, zbliżał się biegiem, trzymając w ręce coś, co wyglądało na kłob włosów lub kawałek futra. - Nie walczyliśmy z Hyksosami samotnie. Spojrzcie!

Machał garścią obrzydliwych włókien przed nosem kapitana, podczas gdy ten przyglądał im się bezmyślnie, nie mając pojęcia, do czego miałyby służyć. W swym podnieceniu Intef zapomniiał się do tego stopnia, że odciągnął dowódcę z małego kregu wokół faraona i wskazał mu jedno z leżących ciał napastników. Przysiadł na piętach i przyłożył trzymany kłob do zwiótczalego policzka zmarłego, formując jedną z tych wijących się brod, tak dziwnych w oczach Egipcjanina.

-Tak to wyglądało, panie, dopóki Bis tego nie ściągnął. O, spojrz, ten mały dalej szuka tego samego.

Bis przysiadł na piersi jednego z jenców skrepowanych na rozkaz Khetiego. Kociak warczał, a mężczyzna przyglądał mu się przerażonym wzrokiem. Nagle wyciągnięte pazury lamparta zanurzyły się w gestwinie włosów więźnia i pociągnęły, odsłaniając czysto egipskie rysy twarzy. Egipcjanie przebrani za Hyksosów! Gdyby Nubijczycy nie wmieszali się do tej walki, to śmierć faraona zostałaby uznana za skutek działań wojennych i świadczyłaby o przewadze nieprzyjaciela. Był to plan, który mógł zrodzić się tylko w przebiegłym umyśle Seta!

-Hej! - ze szczytu dobiegł okrzyk jednego ze zwiadowców.

Wskazywał ręką na wschód, dając sygnał, że zbliżają się jakieś wojska. W chwili później wystawił palec w górę. Co oznaczało, że jest to oddział ich własnych ludzi, zbliżający się od strony obozu.

Rahotep powłokł się z powrotem do Nereba. Żołnierze ułożyli już ciało faraona na macach zrobionych z płaszczy i tarcz i włożyli mu w dłoń nagi, zakrzywiony miecz na znak, że zginął w walce. Teraz, pod rozkazami oficera, usuwali rozbite szczatki rydwanów.

Pierwszym rydwanem, który wjechał w wąski przesmyk prowadzący do doliny, kierował Ahmose. Pozostawił on daleko za sobą resztę spieszącego na ratunek oddziału, daremnie wysiłającego się, by dotrzymać mu kroku. Kiedy ujrzał w miejscu zasadzki klebowisko ludzi, szybko zeskoczył z wozu i pobiegł w ich kierunku. I stanął jak wryty na widok mar. Twarz, która po chwili obróciła do Nereba, nie była już twarzą chłopca.

-Kto to zrobił? - Książe wypowiedział te słowa powoli, z przerwami, próbując opanować zdenerwowanie.

Nereb ponownie wskazał bez słowa ciała zdrajców i Ahmose podszedł spokojnie, by na nie popatrzeć. Nic nie powiedział - ani w tej chwili, ani potem - na temat Nakh-hofa i przebranego za Anubisa pisarza. Jednakże kiedy stamtąd odszedł, zatrzymał się przed Rahotepem. Wtedy właśnie Nereb odezwał się w obronie kapitana, jakby obawiał się, że Nubijczycy i ich dowódca mogą zostać oskarżeni również o te zbrodnie.

-Ci ludzie dzielnie walczyli, żeby uratować Syna Re. Królewski Synu. I gdyby nie ciosy zdrajców, udało by im się to.

Ahmose nie zwrócił na to uwagi.

-Melhen dotarł do mnie - powiedział bezpośrednio do Rahotepa, jakby byli tu sami. - Ty postępowałaś słusznie, kuzynie, a myśmy źle ci się odplacili. Faraon, któremu przysięgałaś oddanie, jest martwy, mimo twoich wysiłków. Czy pragniesz być zwolniony z naszej służby?

-Raczej pragnę podać za toba. Królewski Synu, gdyż uważam, że ktoś musi zapłacić za to, co tu się stało. - Rahotep znalazł w końcu odpowiednie słowa.

-Zapłacić? - zapytał książe. - Tak, stukrotnie, tysiackrotnie! To jest jedynie początek, a nie koniec!

12. Dzień sadu

Polpustynna wioska położona na niewielkim wzgórzu, niemal na krawędzi zalewanych przez powódz terenów, była raczej biedna. Ci, którzy ją zamieszkiwali, musieli przeżyć wiele chudych lat. Kiedy wzbierająca woda Nilu nie docierała do ich pól uprawnych. Znajdowała się w niej jednak studnia z wodą, tak że łucznicy nie mogli się skarżyć na swą tymczasową kwaterę. Zresztą Kheti z taką werwą wytłumaczył to pierwszemu z malkontentów, że od tej pory nie było żadnego szemrania. Mieli pod dostatkiem prowiantu - został on im przywieziony nocą przez karawane osłów, prowadzona przez ludzi z osobistej świty Nereba. Otrzymali też od nich rozkaz, by nie ujawniać, kim są - oficjalnie ich zadaniem było pilnowanie czterech jenców wziętych do niewoli w Dolinie Jaszczurki.

Jeden z więźniów był Egipcjaninem i to wysokiej rangi, jak przypuszczał Rahotep, ale zgodnie z instrukcjami nie zadawał mu żadnych pytań. Trzej pozostali byli prawdziwymi Hyksosami -

jak się okazało, nie wszyscy napastnicy w tej dolinie śmierci mieli przyprawiane brody. Hyksosi patrzyli podejrzliwie na swych pogromców, gdyż jak dotąd byli całkiem dobrze traktowani. Znając opowieści o okrutnym obchodzeniu się najeźdźców z pojmanymi jencami. Rahotep był w stanie pojąć ogrom ich zdumienia.

Kapitan nie wiedział, jakie zadanie - poza oficjalnym - ma do wypełnienia, ale ufał księciu i nie miał wątpliwości, że Ahmose ma jakiś plan w zanadrzu. Tymczasem, żeby jego ludzie nie popadli w rozleniwienie, przeprowadzał szkolenia. Odzyskał podczas tych wyczerpujących ćwiczeń herkulesową siłę. Rany na jego plecach zagoiły się, ale blizny pozostały już do końca życia.

Rahotep poświęcał dużo czasu na tresurę Bisa, który rosł bardzo szybko. Bitewne lwy i lamparty nie były czymś nowym w siłach egipskich. Od dawien dawna zdarzało się, że faraonowie prowadzili wojska do ataku z posłusznymi ich rozkazom, płowymi drapieżnikami podążającymi u ich boku. Jednakże takie wykorzystanie kapryśnych kotów było ryzykowne, o ile nie były one dobrze wyszkolone. Bis był tak długo tresowany przy użyciu odzieży Hyksosów z doliny, dopóki Rahotep nie nabrał pewności, że potrafi on na jego rozkaz wyszukać ukrywającego się wroga. Lampart uwielbiał Rahotepa, a Khetiego tolerował na tyle, by pozwolić mu się od czasu do czasu popieszczyć. Natomiast trzymał się z dala od reszty łuczników; uznawał ich za część naturalnego otoczenia swojego pana.

W stosunku do obcych był bardzo ostrożny. Na ich widok przyczajal się do skoku, groźnie przy tym pomrukując. Te same pozycje przybierał w czasie odbywanych o świcie ćwiczeń, gotów skoczyć doprzodu na rozkaz ataku. Już wkrótce miał się stać

groznym przeciwnikiem dla każdego człowieka, a szczególnie takiego, który nie spodziewał się stanąć oko w oko z czarnym lampartem.

Kheti zrobił mu obrozę z dobrze wyprawionej skóry pawiana, wysadzana kawałkami turkusów i miedzi w tradycyjny wzór południa. Lampart zgodził się, aczkolwiek niechętnie, by założono mu ją na szyję, pozwolił nawet, by przyczepiano do niej smycz, pod warunkiem, że to Rahotep lub Kheti będzie trzymał jej drugi koniec. Nadal zachował pewną figlarność małego kociaka. Uwielbiał mocować się i polować z ukrycia na wabik z pior. który kapitan ciągał specjalnie dla niego pomiędzy chatami wioski.

I tak mijal im dzień za dniem. Przybyli tutaj pod przewodnictwem jednego z ludzi Nereba wieczorem, w dniu śmierci Sekenenre i otrzymali ścisły rozkaz, by pozostać w tej wiosce, pilnując jenców, dopóki nie zostaną wezwani. Zaczynali już jednak sarkac na swe dobrowolne uwięzienie, kiedy jeden z wartowników wydał ostrzegawczy gwizd. Mężczyźni błyskawicznie poszukali sobie kryjówek, a Rahotep na czworakach wpełznął po schodach na dach chaty naczelnika, akurat w porę, by dojrzec niewielką grupę ludzi zbliżającą się do wioski.

Tempo ich marszu ograniczał zaprzeczony w wół wóz. który ciężko sunął pomiędzy nimi. Choć mieli na sobie tylko skape przepaski biodrowe, jakie nosili chłopcy, kapitan był pewien, że w rzeczywistości są kimś zupełnie innym. Spojrzał w dół na gliniane chaty. Na pozór wioska była opustoszała. Jednak czy uda im się nadal ukrywać swą obecność, jeśli ci ludzie kierują się właśnie tutaj?

W tym momencie jeden z podroznych wysunął się naprzód i unosił głowę, jakby chciał być rozpoznany przez ewentualnego obserwatora.

-Methen! - Rahotep zbiegł po schodach. Zanim przebył niewielkie podwórze i rozryte, zablocone uliczki, komendant już spieszył do niego.

-Rahotep! - Objęli się na moment ramionami jak krewni, po czym Methen zmierzył go wzrokiem od góry do dołu. Najwyraźniej był zadowolony z tego, co ujrzał.

-Przybyłeś po nas? - dopytywał się kapitan.

-Tak. przyjechałem po was, chłopcze. Wyglądasz dobrze i dobrze się sprawiłeś. Być może teraz powiesz ci się jeszcze lepiej. Masz swoich więźniów? Chyba nie muszę o to pytać!

-Sa bezpieczni. Trzymaliśmy każdego osobno.

-Madrze. - Methen z aprobatą kiwnął głową. - Zostałem odkomenderowany, by dostarczyć ich. a także ciebie, do Teb.

-Do Teb? - mimo woli Rahotep nie potrafił ukryć leku i Methen szybko zrozumiał, o co chodzi.

-Nie masz powodu obawiać się oskarżenia, które nadal na tobie ciąży. Do tego, co wykryłeś, faraon dodał znacznie więcej.

-Faraon? - Rahotep pamiętał tylko to bezwładne ciało w objęciach Nereba.

-Następca tronu - powiedział Methen uroczyście - został

ogłoszony krolem przed obliczem bogow. Kamose rzadzi Dwoma Krajami. To w jego imieniu wzywam cie do Teb, zeby Syn Re mogl wydac wyrok.

Znowu wyjezdza o zmierzchu. Na wozie lezeli ich wiezniowie - byli tak zwiazani i przykryci, ze wygladali jak worki z ziarnem. W istocie ich niewielki woz wygladal, jakby wiozl do palacu danine, wyslana pod straza przez ktoregos z pomniejszych dostojnikow. Rahotep wiedzial, ze wiele takich wozow spotkaja po drodze do Teb. ze dary posylane do grobowca Sekenenre musza byc godne wladcy Dwoch Krajow.

Methen przyznal, ze nie ma pojecia, jakie sa plany faraona i jaka role wyznaczyl w nich Rahotepowi. Reszta jego nowin byla rownie niejasna. Wraz ze smiercia Sekenenre przygotowania do kampanii utkwily w martwym punkcie. Armia krolewska stacjonowala w gorach. Zarowno tam, jak i w miescie, krazyly pogloski, ze wojsko to ma zostac rozpuszczone, gdyz zanim zakoncza sie wszystkie drobiazgowe obrzedy zwiazane z krolewskim pogrzebem, bedzie juz za pozno, by wyruszyć w tym roku.

-A wiec stanie sie dokladnie tak, jak ci zdrajcy sobie zaplanowali!
- wybuchnal Rahotep, gorzko rozczarowany. - Zamotaja Kamosego w siec swoich obrzedow i zwyczajow, i nie bedzie mogl sie z niej wyplatac.

-Nie wyobrazaj go sobie jako gliny w reku garncarza - odparowal Methen. - Rzeczywiscie, w tej chwili zgadza sie on publicznie z tymi, ktorzy chca nim kierowac. Jednak czyz jednoczesnie nie poslal po ciebie? Dawniej wyrazales sie z wielkim uznaniem o ksieciu Ahmosem. Czy sadzisz, ze moglby zapomniec, jak zginął

jego ojciec? Wczoraj został mianowany dowodca armii. Nowy faraon nie jest zony, ani nie ma syna, tak więc Ahmose jest następcą tronu po swoim bracie.

Komendant umilkł na chwilę, po czym dodał po cichu:

-Sa również i inne osoby, poza księciem, zainteresowane tą sprawą. Królowa-matka od dawna widziała konieczność wojny z najeźdźcami. I wychowała swego syna, a potem wnuka w tym przekonaniu. Jest ona kobieta o wielkiej sile charakteru. A Kamose i Ahmose zawsze przyjmowali jej słowa z szacunkiem i uwagą. Dodaj do tego jeszcze wpływ królowej Ah-Hetpe, która w tym względzie jest jednomyślna z matką. Już teraz mówi się, że jeśli faraon wyruszy na wojnę, to ona będzie dzierżyć w jego imieniu pastora i bicz królewski w Tebach. Żadna z nich nie da sobie łatwo wydrzeć nadziei na wolny kraj, szczególnie komus takiemu jak Zau czy Tothotep. Teby kryją wiele tajemnic, chłopcze, i mam wrażenie, że strzeżemy niektórych z nich.

Z powodu powoli poruszających się wołów i konieczności objazdu niektórych odcinków drogi, gdzie Nil wpełzał już na pola, dopiero rankiem, na trzeci dzień po wyruszeniu z nie mającej nazwy wioski, przybyli do Teb. Spodziewano się ich, gdyż pisarz królowych. Pepinecht, pojawił się przed nimi na drodze, jakby przywołany czarami.

-Danina z Sokola? - zapytał energicznie i tak urzędowym tonem, że niewiele brakowało, by Rahotep zagapił się na niego niemadrze. - Skierujcie swój wóz na prawo - zarządził, nic czekając na potwierdzenie ani zaprzeczenie. - Dziedziniec Darow jest już pełen, musicie znaleźć sobie miejsce z tyłu.

To "miejsce z tyłu" okazało się niewielkim podwórzem, ograniczonym murem, który - zgodnie z tym, co Rahotep wiedział o królewskim mieście - otaczał ogrody osobistych pomieszczeń rodziny królewskiej. Z boku znajdowała się szopa i ją właśnie wskazał im Methen.

-Schowaj się tam razem ze swymi ludźmi i jencami. Nie wiem, jak długo będziecie musieli tam czekać, lecz uzbrojcie się w cierpliwość.

Tak więc Rahotep przez resztę dnia czekał cierpliwie. Nie miał wcale ochoty siedzieć beczynn timer czekać nie wiadomo na co, ale nie miał wyboru. Większość łuczników zasnęła. Trzech rozpoczęło w przeciwnym rogu grę w rzucanie patyczków, ale przez cały czas mieli więźniów na oku. Bis klapał zębami na natrętne muchy w przerwach między intensywnym wylizywaniem się. Ale i on w końcu - biorąc przykład z ludzi - zdrzemnął się, a jego wasy i łapy drgały co jakiś czas w podnieceniu łowieckiego snu.

Zaden inny wóz nie skręcił na to podwórze. Ich wół został zabrany przez Methena i jego ludzi, a wypełniony workami pojazd stał przed szopą jako rodzaj parawanu. Kheti położył się na plecach, z kawałkiem worka pod głową w charakterze poduszki.

-Dziwny kraj. ten Egipt - stwierdził. - Najpierw plawimy się w królewskiej łasce, potem zostajemy niewolnikami, a teraz - kim jesteśmy teraz, bracie? Straznikami sekretnych więźniów, czekającymi na odmianę losu. Dobrze by było znów być prostymi wojownikami, bo znamy to rzemiosło i nikt nie jest w stanie odebrać nam tej wiedzy.

-Chcialbys znowu nekac Kuszytow? - spytal kapitan leniwie.

-Niezupełnie. Chodzi mi po glowie, ze kiedy ci ksiazeta rozprawia sie z Hyksosami. zwroca swe oczy na poludnie. Gdybym byl w Nubii, musialbym zginac kolana przed Tetim.

-Czy nie slyszalem, jak mowiles dawniej o ksieciu Tetim jako o wielkim wojowniku i dobrym dowodcy?

-Jednak od tamtej pory widzialem potezniejszych ludzi, i oni pewnego dnia ocwicza mu grzbiet swoimi biczami, jesli w ich obecności usiadzie na tronie i nazwie sie krolem! Nowy faraon jest wielki, bracie, lecz w jego cieniu stoi inny czlowiek, za ktorym bym chetnie podazyl.

-Ksiazze Ahmose! - wykrzyknal Rahotep.

-Ksiazze Ahmose - przytaknal Kheti. - Ci, ktorzy nosza luk lub wlocznie w jego sluzbie, zaznaja do woli bitew. A jesli w tym cuchnacym miescie sa tacy, ktorzy sadza, ze moga nim kierowac, to niech lepiej przyjrza mu sie bystrzejszym wzrokiem, bo nie sa znawcami ludzkich charakterow.

-Za ten to osad skladam ci podziekowanie, o luczniku z Nubii! Rahotep zeszywnial, a Kheti, ze zdumieniem w oczach, usiadl nagle prosto. A kiedy chcieli zlozyc налеzne poklony otulonej w peleryne postaci, ta machnela niecierpliwie reka.

-Wyznacz czterech ludzi, ktorzy potrafia trzymac jezyk za zebami i niech wezma ze soba wiezniow. Ty natomiast zabierz bron i chodz ze mna.

-Kheti, Hori, Mahu, Sahare - Rahotep szybko wymienili imiona wybranych luczników.

Kheti predko podszedl do miejsca, gdzie znajdowali sie jency. W czasie, gdy przecinal im rzemienie na kostkach, kapitan przekazywal Kakawowi dowodztwo nad pozostalymi.

Rahotep wraz ze swymi zaufanymi ludzmi wzieni jencow i podazyli za Ahmosem. Weszli przez furtke do ogrodu, a nastepnie sciezka wijaca sie pomiedzy rzadkimi krzewami przeszli do glownego budynku. Wartownik na posterunku nie zasalutowal im - udal. ze ich nie widzi, szybko jednak odstapil na bok. by ich przepuscic.

Kapitan wiedzial juz, gdzie sie znajduja. Byli w zewnetrznym korytarzu prowadzacym do prywatnych komnat faraona i zmierzali w kierunku malej sali. gdzie niegdys Sekenenre przyjmowal wezyra i najwyzszych urzednikow swego dworu. Swiecilo tam mnostwo lamp, a w korytarzu przed zaslonietymi drzwiami stal podwojny szereg doswiadczonych gwardzistow, ktorzy nosili insygnia nie faraona, lecz księcia Ahmosego.

-Faraon sprawuje sad - ksiąze zwrocil sie cicho do Rahotepa. - Czy ty i twoi ludzie moglibyscie stanac za ta zaslona, dopoki nie zostaniecie wezwani?

Staneli twarza do maty zawieszanej jako parawan. Ahmose przeslizgnal sie bokiem dookola jej krawedzi na druga strone, a Rahotep, znalazlszy szpare, przez ktora mogl widziec komnate, dal znak swoim ludziom, zeby razem z jencami cofneli sie pod sciane, po czym sam usadowil sie przed nia.

Lampy na małych stolikach i w uchwytach na ścianach dawały wystarczająco dużo światła dla trzech pisarzy, którzy siedzieli z przygotowanymi przyborami do pisania. Jednym z nich był Pepinecht; pozostali dwaj byli przydzieleni do urzędu Wysokich Sędziów.

Kamose siedział nieco z boku. Nie miał na głowie ceremonialnej, podwójnej korony - tylko diadem z ureuszem wskazywał jego pozycję. Wszystko to świadczyło o tym, że nie przebywa tu jako władca Dwoch Krajów, będący najwyższą instancją wymiaru sprawiedliwości. Trzy krzesła zwrócone przodem do reszty zebranych zajęte były przez mężczyzn, którzy na pozór byli wyjątkowo dziwnie dobrani. Rahotep nie miał jednak wątpliwości, że było coś, co ich silnie łączyło - wspólny cel i lojalność wobec władcy.

Sa-Nekluft, Skarbnik Polnocy, Opiekun Złotej Pieczęci zasiadł po prawej stronie. Po lewej siedział general Amony, który wyglądał, jakby drzemal. W poprzek jego nagich kolan - nagich, gdyż ubrany był w połowy stroju wojownika, a nie w podwójne spodniczki dworzanina - leżał bicz oficerski. Pomiedzy administratorem a wojownikiem znajdował się trzeci mężczyzna, którego urodzony na południu kapitan nigdy dotąd nie widział. Był on starszy od swoich towarzyszy, miał poważną, spokojną, wyrażającą pewność siebie twarz. Ubrany był jak wysokiej rangi kapłan, a na piersi miał wspaniałą pectoral z wizerunkiem Amona-Re. To musiał być Nefer-Rohu - Głos Amona w Tebach, Umilowany Re, Ten-Który-Mówi-W-Imieniu-Wielkiego.

Przodem do nich siedziała druga trojka mężczyzn, pozornie równie pewnych siebie i zupełnie nie zaniepokojonych tym, co mogło ich czekać. Zau, wezyr, zajmował środkowe siedzenie, a

po bokach miał Tothotepa i generała Sheshanga.

Rahotep tak był zajęty identyfikowaniem zebranych, że niemal uszły jego uwagi słowa cicho wypowiedziane przez kapłana Amona. Teraz wsłuchał się w nie uważnie, mając nadzieję, że uchwyci jakąś wzmiankę, która uzmysłowi mu jego własną rolę w wydarzeniach dzisiejszego wieczoru.

-Ponieważ Syn Re uważa, że rozpatrywana dziś sprawa budzi w nim wiele emocji, nie będzie w niej uczestniczył jako Głos Re wydający wyrok - gdyż jego osad mogłoby być nieobiektywne - lecz jako człowiek, którego ból i smutek mogą przechylić szalę wagi bogini sprawiedliwości Maat. Dlatego, zgodnie z Jego zarządzeniem, my będziemy prowadzić przesłuchanie w tej sprawie, a On będzie się przysłuchiwał, a nie osadzał.

-Nie ma tu nic do osadzania! - Zau przemówił ostro, tonem sugerującym, że jego przedmowca posunął się stanowczo za daleko. - Zapytujemy cie. dlaczego zostaliśmy wezwani w ten sposób, w sekrecie. a nie w obecności wszystkich? O co możemy być oskarżeni? Jesteśmy lojalnymi sługami Najwyższego. I tylko faraon może nas wysłuchać.

Omijając wzrokiem trybunał sędziowski, popatrzył z przejęciem i gniewem na młodego faraona, chcąc zmusić Kamosego, by spojrzał mu w twarz i zgodził się z jego słowami. Młody król podniósł głowę, by spojrzeć na wezyra, lecz jego twarz była równie odległa, jak twarz starożytnego władcy, którego posąg widzieli w forcie na kuszyckiej granicy. Jego delikatne, niemal subtelne rysy twarzy - tak różne od rysów brata - nie odzwierciedlały żadnych uczuć, tylko obojętność. W odpowiedzi na spojrzenie Zaua Kamose również utkwil w nim wzrok i

nastąpiła chwila ciszy. Wyglądało to tak, jakby ci dwaj toczyli swój własny, milczący pojedynek - wola przeciw woli. Jak w innej sytuacji mogłoby to być maczuga przeciw maczudze. I nie ustąpił młodszy mężczyzna przed siłą starszego.

Dopiero Sheshang, charakterem prawdopodobnie najslabszy ze spiskowców, przerwał tę ciszę. Będąc człowiekiem czynu, najwyraźniej nie mógł znieść oczekiwania na bezpośrednie oskarżenie i możliwość własnej obrony.

-Dostojny Zau przemawia w imieniu nas wszystkich - warknął. - Przedstawcie otwarcie swe oskarżenia, żebyśmy mogli odeprzec kłamstwa.

Tohotep wszedł mu w słowo, niezwykle spokojnym tonem złagodził żołnierskie wezwanie do czynu.

-Czasu jest coraz mniej. Teraz, kiedy nasz władca Sekenenre - niechaj na wieki pozostaje w pokoju Re - odszedł poza horyzont, trzeba podjąć decyzję, która zapewniłaby trwałość Dwoch Krajów. Wiemy, że nie tylko Nubia zwróciła się przeciwko nam pod przywództwem zdrajcy Tetiego, zagrażając naszym południowym granicom, lecz również jeden z generałów Apophisa maszeruje właśnie na Teby. Jego oddział sciągnął w pobliżu Neferusi. Ci Hyksosi obrosli w sędziwość dzięki spokojnemu życiu i wcale nie pędzą do wojny. Jeśli spotkamy się z nimi bez broni, zgodzą się, byśmy placili im symboliczny trybut i zostawia nas w spokoju. Czyż nie jest to chwila, kiedy zamiast wszczynać między sobą kłótnie, należałoby raczej zjednoczyć się, by stawić im czoło?

Była to przemowa rozsądnego człowieka, pragnącego przywrócić przyjazną atmosferę między niemądrze sprzecznymi dziećmi. W tym

momencie ta rola tak dobrze do niego pasowała, że gdyby Rahotep nie wiedział, iż rzeczywistość wygląda wręcz odwrotnie, sam gotów byłby poprzeć kapłana.

Amony z trzaskiem opuścił swój bicz na kolana.

-Jak powiedział Głos Anubisa, czasu mamy mało. Jeżeli mamy zgotować generalowi Apophisa odpowiednie przyjęcie, musimy zwrócić szereg. Wygląda jednak na to, że różnimy się co do rodzaju przywitania, które przygotowujemy dla synów Seta!

Ahmose zajął już przedtem miejsce obok brata, w pewnym oddaleniu od sędziów. Teraz poruszył się, jakby chciał z zapalem poprzeć to stwierdzenie. Lecz nie powiedział ani słowa.

-Sciąganie gniewu Hyksosów na Teby jest działaniem kogoś, kto szuka zniszczenia i ciemności! - Zau z zacięciem podjął dyskusję. - Placmy daninę, bo inaczej zostaniemy po prostu zgnieci między Nubia i najeźdźcami. Jak możemy poważać się na wyruszenie w pole przeciw dwóm wrogim armiom? Jedynie dwa, może trzy południowe nomy nas popra - i to częściowo. Armia, którą możemy wystawić do boju, zostanie rozniesiona w pył już w pierwszej bitwie, a nas zmiecie z powierzchni ziemi rozgniewany Apophis. Może dojdzie do tego, że Teby przestaną istnieć. - Jego głos stawał się coraz bardziej piskliwy w miarę mówienia, a on sam zerwał się w końcu na nogi, wymachując pięścią dla podkreślenia swych wywodów. Tam, gdzie Tothotep dyskutował z łagodnym rozsądkiem, wezyr wysiłł się, by przytłoczyć oponentów siłą swych własnych obaw.

Odpowiedział mu Sa-Nekluft.

-Zdaje sie, ze oddalilismy sie od problemu, dla ktorego sie tu zebralismy. Nie jestesmy tu po to, by dyskutowac nad sposobem, w jaki powitamy generala Hyksosow. ktorego po tylu latach Apophis uznal za stosowne odkomenderowac do Teb, lecz po to. by osadzic zdrajcow. Zajmijmy sie teraz sprawa zastepcy komendanta gwardii. Nakh-hofa, ktory swa wlasna reka zamordowal Syna Re!

Zau nadal stal. wpatrujac sie w Skarbnika Polnocy, jakby Sa-Nekluft odebral mu zdolnosc mowy. General Sheshang poruszył sie niespokojnie na swym taborecie i zdecydowal sie odpowiedziec.

-Jakie mamy dowody na zdrade Nakh-hofa?

General Amony ozywil sie i rzekl:

-Niech komendant Nereb wystapi i przemowi.

-Swiadomy, ze Oko Horusa-Re spoglada na niego, i ze jego slowa zostana zwazone na szali wagi bogini Maat, tutaj i w tej chwili, jak rowniez w dniu. kiedy stanie przed obliczem Sedziow Spoza Horyzontu - dodal surowo Nefer-Rohu.

Mlody oficer nadszedl z przeciwnego konca sali i skwapliwie zlozyl przysiege Maat. Bezbarwnie, ograniczajac sie do suchej relacji, Nereb opowiedzial o tym, co zdarzylo sie w Dolinie Jaszczurki.

Sheshang sluchal, skubiac przy tym dolna warge. A kiedy Nereb skonczyl, podsumowal szorstko:

-Wyglada na to. ze ten nikczemny Nakh-hof byl rzeczywiscie przeklety przez bogow i podniosl swa reke przeciw naszemu wladcy, razem z tym zdrajca, kaplanem. Jednakze co my mamy wspolnego z podloscia, ktora musiala zrodzic sie w jakims chorym umysle?

-Nie wszyscy napastnicy zostali zabici w dolinie - powiedzial Amony. Przypominal on teraz Rahotepowi Bisa, kiedy ten byl szczególnie sprytny i dobrze o tym wiedzial. - Wprowadzcie wiezniow!

Ahmose pstryknal palcami w kierunku zaslony. Rahotep zrozumial sygnal i wprowadzil swoj niewielki oddzial. Nie spojrzal na faraona, lecz wykonal swoj poklon przed trzema sedziami.

-Rahotep, kapitan Pustynnych Zwiadowcow w sluzbie krolewskiego syna, Ahmosego, z jencami wzietymi na polu bitwy!

General Amony pochylil sie do przodu, by przyrzec sie wiezniom.

-Senti! - zwrocil sie do znajdujacego sie miedzy nimi Egipcjanina.
- Wyglada na to. ze znalazles sie dosc daleko od swojego posterunku. Kiedy zostales zwolniony z obowiazku strzezenia studni Wali-heti?

Mezczyzna zesztynial. lecz nic nie odpowiedzial.

-I trzech Hyksosow. Ale przeciez ty rowniez nosisz ich stroj, Senti. Slyszałem tez opowiesc o falszywych brodach. To naprawde zadziwiajace, dlaczego dowodca oszczepnikow w wojskach faraona dowodzi atakiem na swego najwyzszego

zwierzchnika, mając na sobie stroj nieprzyjaciela? - Z pomruku wielkiego kota jego głos przeszedł w ton zawziętego mściciela. - Straz!

Przy drzwiach zrobiło się poruszenie. Mezczyźni noszący odznaki Ahmosego weszli, odsuwając zasłone.

-Zabierzcie go stąd i wpytajcie zgodnie z prawem.

Rahotep, pamiętając własne meczarnie pod batem przesłuchujących, byłby mu współczuł, gdyby nie wiedział, że ten człowiek jest rzeczywiście winny.

-Niech Hyksosi zostaną odprowadzeni na bok i przesłuchani przez jednego z pisarzy, który zna ich język - kontynuował general. - Jednak - jego uwaga zwróciła się ku kapitanowi - jest tu jeszcze ktoś, kto ma, jak sądzę, coś ważnego do powiedzenia.

-Na tym człowieku ciąży wyrok śmierci za zdradę - przerwał mu Tothotep. - Ci, którzy mu towarzyszą, są zbiegłymi niewolnikami. Ani on, ani oni nie mogą świadczyć w żadnym sądzie.

Po raz pierwszy Kamose się poruszył. Wstał i wyszarpnął zza pasa brata oficera bicz.

-Niechaj Rahotep z Nubii zbliży się - powiedział cicho, a coś w jego głosie sprawiło, że w całej komnacie zapadła cisza.

Kapitan postąpił naprzód, po czym przykleknął, by "ucalować ziemię" w pełnym poklonie należnym królowi. Obu w sandał stopa Kamosego wysunęła się naprzód i Rahotep poczuł się poruszony do glebi, kiedy dotarło do niego znaczenie tego gestu.

Tylko nomarcha lub dziedzic nomu miał prawo dotknąć w holdzie osoby Syna Re. I kiedy muskał ustami wysadzany klejnotami pasek sandała, poczuł lekkie trzepnięcie rzemieni bicia po pokrytych bliznami plecach i pojął, że w tej chwili, w obliczu wszystkich zebranych, blizny świadczące o jego hanbie zostały starte i zamienione w ślady, jakie każdy wojownik mógłby wynieść z honorowej bitwy.

-Witamy Sokola. Przyjaciela-Który-Stoi-Po-Naszej-Prawicy, który dowodzi zwiadowcami faraona w czasie wojny i należy do noszących tarcze przy Królewskiej Osobie!

Nie tylko został unieważniony jego wcześniejszy wyrok, lecz na dodatek publicznie przyjęto go w szeregi wojowników, którym w polu wolno przebywać tuż przy faraonie, co było nadaniem rangi równej tej, która dawało mu jego odebrane dziedzictwo.

-Życie! Pomysłowość! Zdrowie! Niechaj Syn Re żyje wiecznie! - jego żarliwe podziękowania zostały powtórzone przez pozostałych, także oskarżonych, gdyż przebaczenie faraona, udzielone bezpośrednio, było wielkim zaszczytem również dla tych, którzy byli jego świadkami.

-A teraz - Amony chciał, by wrócili do zasadniczej sprawy - niechaj dostojsny Rahotep złoży zeznanie na temat tego, co mu jest wiadome w tej sprawie.

Kapitan opowiedział więc całą swą historię, poczynając od owej burzliwej nocy, kiedy to pełnił straż w pałacu. Opisał również wszystko, co potem nastąpiło: zamach na życie Sekenenre, spotkanie w świątyni, którego był świadkiem oraz własną, nieudaną próbę ocalenia skazanego przez spiskowców faraona.

Staral sie relacjonowac tylko nagie fakty. Kiedy skonczyl, zwrocil sie do niego Glos Amona:

-I to jestes gotow przysiac, wiedzac, ze teraz i w dniu twojej podrozy za horyzont twoje serce bedzie polozone na szali z Piorem Maat i tylko prawda przewazy?

-To wlasnie przysiegam, stojac w obliczu Amona-Re - odparl z powaga.

General Amony kiwnal glowa.

-Mozesz oddalic sie, kapitanie. Zostaw wiezniow pod nasza opieka i czekaj w takim miejscu, zeby cie mozna bylo wezwac ponownie, gdyby okazalo sie to konieczne.

Rahotep zlozyl poklon i wycofal sie wraz z lucznikami. Ogromnie byl ciekaw, jak zakonczy sie ten proces, jesli mozna to nazwac procesem. Nie bylo jednak odwolania od tak bezposredniej odprawy.

Kiedy ponownie znalezli sie na korytarzu, Kheti westchnal:

-Wyglada na to, ze znow jestesmy w laskach, panie. Cieszymy sie sloncem, dopoki mozemy. Ale co zrobia z tymi zdrajcami?

-Coz, poczekamy, zobaczymy - odparl Rahotep z roztargnieniem. Mysli jego krazyly teraz wokol innego problemu. Wstrzasnela nim wiadomosc, ze krol Hyksosow mianowal generala, ktory juz w tej chwili jest w drodze do Teb. Musi wiec to byc przelomowa chwila dla Kamosego. Czy nowy faraon bedzie oddawal symboliczna danine do Avaris, jak tego domagal sie

wezyr i jego poplecznicy? Czy tez beda dalej realizowac plany Sekenenre i nacierac, buntowniczo stawiajac czolo przyszlosci, z wloczniami i lukami w reku?

13. Bicz w gore

-Sposrod nich trzech, on stanowil największe zagrozenie. -
Rahotep odwrocil sie. od okna w goscinnej komnacie domu Sa-Neklufta. by spojrzec na Nereba. - Zau wierzył w slusznosc swoich racji. Sheshanga zzerala ambicja, lecz Tothotep... - kapitan stwierdzil, ze trudno mu znalezc odpowiednie slowa, by opisac swe mieszane uczucia, ktore wzbudzal w nim kaplan Anubisa. - A jednak sedziowie uznali za wlasciwe pozwolic mu wrocic do swej swiatyni. Nereb westchnal i rzekl:

-Ogranicza nas prawo i obyczaj. Nawet Syn Re ma kazda godzine swego zycia obwarowana nakazami tak starymi, jak zjednoczenie Polnocnego i Poludniowego Egiptu. Tothotep zazadal prawa do poddania sie osadowi Anubisa. Nic mysl jednak, ze to oznacza jego wolnosc. Podaza on na spotkanie z Szakalem na swoj wlasny sposob. Kaplani z najswietszego sanktuarium zapewnili faraona, ze Tothotep odszedl juz za horyzont. Przywilejem jego stanowiska byla mozliwosc domagania sie kary pochodzacej od Wielkiego, a nie od ludzi.

-Pozostaje pytanie, jak wielka byla jego wladza w murach swiatyni? - dopytywal sie Rahotep.

Nereb utkwil wzrok w podlodze, a w jego glosie dala sie slyszec dziwna nuta, kiedy odpowiadal.

-Faraon jest przekonany, ze ani na chwile nie wolno przerywac

modlow tym. ktorzy sluzza Szakalowi w jego swiatyni, gdyz musza oni blagac o przebaczenie za cale zlo, ktore Jego Glos uczynil. Dlatego tez wokol swiatyni rozstawiono straze, zeby nikt nic mogli wejsc ani wyjsc, dopoki nie zostana zakonczone obrzedy pokuty i oczyszczenia, a nawet jeszcze jakis czas potem!

-Syn Re jest madry; jego sprawiedliwosc obejmuje ziemie! - Rahotep wyglosil te zwyczajowa odpowiedz na wyrok z wiekszym naciskiem, niz to sie zazwyczaj robi.

-Poza tym, straz ta jest wybrana sposrod zolnierzy, ktorzy tworzyli osobista swite faraona, gdy byl jeszcze krolewskim nastepca - dodal Nereb bezbarwnym glosem.

-Byly jakies powody, by sadzic, ze warty wybrane z mniejsza przezornoscia...? - zaczal Rahotep smialo, lecz tamten przerwal mu szybko.

-Ci. ktorzy osobiscie podlegaja faraonowi, sa zwiazani z jego interesami kodeksem wojownika. Zasady te zostaly w pelni przywroczone w pulkach dowodzonych przez obu krolewskich synow, chociaz gdzie indziej mogly zostac zapomniane lub sa respektowane tylko czesciowo.

-Zau nie byl osamotniony wsrod dostojnikow w swej wierze, ze zle czynimy, prowokujac gniew Hyksosow. Ktorzy z nomarchow przyslali setnie pod swoimi sztandarami? Nebket, Elefantyna - po czesci. A pozostali? - spytal Rahotep.

-Faraon wzywa ich dzisiaj na narade - odparl Nereb. - Przybyli, by oplakiwac zmarlego faraona: wysluchaja tez faraona, ktory rzadzi obecnie.

Jednak Rahotep wiedział, równie dobrze jak Nereb, że mrzonka jest oczekiwać zbyt wiele z ich strony. Nomarcha Nebketu i syn nomarchy Elefantyny przybyli tu, to prawda; ich okręty flagowe przybiły do portu w Tebach. Pozostałych reprezentowali ich urzędnicy. Nomarcha graniczącego z Nubia "Kraju na Przedzie" usprawiedliwiał się niepokojami nadgranicznymi - wymowka, która faktycznie mogła być prawda. Kapitan zastanawiał się, czy Unis jeszcze żyje, czy też książę Teti pozbył się już ewentualnego rywala.

Nereb jakby odczytywał myśli przebiegające przez umysł Rahotepa.

-Ten Teti... czy twój brat go poprze?

Kapitan wzruszył ramionami.

-Kiedy byłeś w Semnie, sam widziałeś, jak chętnie książę był tam przyjmowany. Ja już od ponad pięciu lat przebywam z dala od dworu wicekrola. Nic mi nie wiadomo o żadnym pakcie, który mogłoby zjednoczyć Unisa i Tetiego. Jednakże Unis jest spadkobiercą dostojnej Meri-Mut, a jej rodzina miała przez jakiś czas, w okresie rozruchów, częściową władzę nad samym Egiptem. Jeśli planował on wykorzystać Tetiego, żeby samemu wspiąć się na tron, to sądzę, że spotkało go już przykre przebudzenie z tych niemadrych mrzonek. Teti nie kwapi się raczej do "całowania ziemi" przed kimkolwiek. A sam Unis nie jest człowiekiem, który potrafiłby narzucić swą władzę całej Nubii. Jest on wprawdzie starszym synem Ptahhotepa. ale nie jest Ptahhotepem!

-Czas! - Nereb podskoczył na taborecie, na którym siedział. -

Dajcie tylko naszemu panu czas! Jesteśmy między dwoma wezami bryzgającymi jadem. Oba muszą być zglądzone dla naszego bezpieczeństwa, lecz nie jesteśmy w stanie zabić ich za jednym zamachem!

-Sadzę jednak, że mamy na to jeszcze nieco czasu - powiedział Rahotep powoli. - Teti nie jest pozbawiony rozsądku. Najpierw będzie chciał zabezpieczyć ziemie, na których teraz panuje, nim wykona ruch, by ugryźć coś poza obecnymi granicami. Wszczęcie boju przeciw Tebom i tym, którzy stoja po ich stronie, podczas gdy Unis nadal jeszcze może mieć pewną władzę w Semnie, byłoby szalenstwem, którego Teti na pewno nie popełni. A nie dotarły do mnie żadne wiadomości, że mój brat odszedł nagle za horyzont. Jedno ci powiem, panie: jeśli usłyszymy, że Unis nieszczęśliwie nastąpił na coś trującego w ogrodzie, wtedy bijmy w bębny i obsadzmy łucznicami górę rzeki, oczekując burzy. Jeśli faraon wyruszy natychmiast przeciw hyksoskiemu najeźdźcy, zanim Teti umocni swoją władzę...

Ten stan niepewności wydawał się charakterystyczny dla całej atmosfery Teb. Pod oficjalnym nastrojem żałoby po zmarłym faraonie wyczuwano się niepokój, dotyczący następnych posunięć faraona obecnego i przyszłego. Rahotep odkrył, że Zau bynajmniej nie był odosobniony w swoich obawach przed wzburzeniem Hyksosów i zniszczeniem stanu "niepewnego pokoju", istniejącego przez wszystkie te lata zastoju. Prawdopodobnie spora część miasta zgodziłaby się płacić daninę, a nawet miłe powitać obcego generała, będącego właśnie w trakcie podróży w górę rzeki, ponieważ absolutnie nie mieli oni wiary w swą umiejętność odpowiedzi ciosem na cios. Bitwy, które skruszyły ich opór kilka pokoleń wcześniej, w

opowieściach stały się jeszcze straszniejsze, tak więc dla zdezorientowanych, Hyksosi byli obdarzeni mocą i złośliwością bogów zła, którym człowiek musi się poddawać z rezygnacją, tak jak poddaje się goracym wiatrom z pustyni.

Spisek, który doprowadził do śmierci Sekenenre, pozostał pilnie strzeżoną tajemnicą. Żeby wąż i jego współspiskowcy nie stali się meczennikami swojej sprawy, ogłoszono, że zmarli oni od zarazy. Do tej pory nie powiedziano jednak ani słowa na temat tego, jak Teby zamierzają przyjąć generała Hyksosów, ani co ma się stać z armią obozującą w górach.

Rahotep był akurat obecny jako jeden z królewskich gwardzistów przy tym, jak Kamose spotkał się z niewielką grupą dostojników, którzy przybyli do Teb. by powitać nowego władcę. Znalazły się tam tylko dwa sztandary nomarchów i ich następców z południa. Druga para, z nomów w pobliżu Teb. była widoczna wśród grupy niższych rangą dworzaków, stojących w sali, gdzie przemijające wieki przygasiły barwy malowideł na ścianach. Teby były stare, zmęczone i zniszczone. Pałac jakby skurczył się i był w opłakanym stanie. Książę Teb. siedzący na tronie, osmielający się nosić podwójną koronę i przeciwstawiać potęgę wielkiego imperium, był tylko cieniem faraona, tak jak Rahotep był cieniem Sokola - faraon i nomarcha z nazwy.

Książę Ahmose stał obok tronu brata, trzymając ukosnie, ostrzem w górę swój zakrzywiony miecz królewskiego dowódcy, podczas gdy Kamose miał w dłoniach skrzyżowane pastorał i bicz królewski. I spośród nich dwóch to właśnie u młodszego księcia, mimo posagowego spokoju, wyczuwano się w dwójnasób energię i entuzjazm.

-Zycie! Zdrowie! Pomyslność! Blogosławione niech będzie imię Syna Re! - zaczął monotonnym głosem szambelan. - Niechaj panuje w Dwoch Krajach, dopóki białe ptaki nie stana się czarne, a czarne nie zmienia się w białe, dopóki wzgorza nie powstana, by nas opuścić i dopóki rzeki nie popłyną do źródeł. Powitajcie Tego, którego Re ustanowił pasterzem Swojego ludu!

Zebrani złożyli pokłon, lecz kapitan miał wrażenie, że w tym powitaniu nowego władcy nie było wcale spontaniczności ani entuzjazmu. Wszyscy zgromadzeni byli zmęczonymi, starymi ludźmi. Nawet młodzi wiekiem dworzanie wytwarzali wokół siebie tę samą aurę znużenia. Nie pozostało w nich więcej żywości niż w wysuszonej słońcem kości, znalezionej gdzieś w piaskach pustyni.

-Władca Dwoch Krajów. - Po cikliwym tonie szambelana głos Kamosego zabrzmiał ostro, niczym brzek ciecwiwy przy wypuszczaniu strzały. Siedział jak posąg swej własnej, boskiej królewskości, lecz żar ognia płonącego w jego delikatnym ciele był odczuwalny dla stojących przed nim ludzi.

-Zebraliśmy się, by oplakiwać tego, który odszedł; tak, sprawiedliwego Sekenenre. Syna Re. Pana Bieli i Czerwieni. Amona-Na-Ziemi! Jednak to nie wszystko...

Dalo się zauważyć lekkie poruszenie w szeregach mężczyzn i kobiet ustawionych ściśle według swojej rangi, stojących każdy na miejscu przypisanym jego urodzeniu lub urzędowi już wieki temu. Nikt bez rozkazu nie odzywa się przed obliczem faraona. Jednak nigdy przedtem Syn Re nie zwrócił się do dworu w słowach, jakich teraz użył Kamose. I to odstępstwo od rytuału i tradycji podniosło delikatną falę głosów, płynącą przez komnaty,

jak wietrzyk szemrzacy w lanie mlodego zboza.

-Jakiemu celowi ma sluzyc sila Re, sila Egiptu, jezeli nasz wrog siedzi bezpiecznie w Avaris, miescie zbudowanym z kamienia wydartego z naszych gor. ukladanego rekami niewolnikow naszej krwi. Jeden herszt w Avaris rosci sobie prawo do podwojnej korony, podczas gdy drugi w Nubii podnosi reke, by wyrwac pastoral i bicz krolewski! Od lat tkwimy biernie w mroku, tak jak przed nami nasi ojcowie. A przeciez pare pokolen temu boski Amenemhet zatknal svoj sztandar w Tebach, kladac kres rzadom zla, ktore panowalo tu przed nim. A nielatwo mu bylo wygrac te bitwe przeciw Setowi. Zatem posluchajcie mnie teraz: pajak z polnocy tuczy sie krwia wysysana z Czarnego Kraju. Swiatynie naszych Wielkich zostaly zrownane z ziemia lub obrocone w przybytki ich nikczemnego boga. Na nasze szyje zalozone jarzmo wolu, a dla tych barbarzyncow jestesmy mniej warti niz, zwierzeta, ktore orza im pola pod uprawy. Syn Re nie moze wzywac bogow w swietym Memfis. Nie moze tez posylac ziarna z pol i odziezy z magazynow swoim ludziom, kiedy tego potrzebuja. Postarzelismy sie i schudlismy w niewoli u barbarzyncow, ktorzy nie znaja Wielkich. I powiadam wam, ze nadszedl czas, by wziac sie za bary z obcymi, by wyzwolic Egipt od tego splugawienia. napelniajac raz jeszcze dawnym swiatlem te ziemie!

Wypowiedziane silnym glosem slowa odbily sie dziwnym, gluchym echem od sklepienia. Kamose skinal nieznacznie na szambelana, ktory rozwinal zwoj papirusu i stal gotowy do jego odczytania.

-Posluchajcie teraz slow tych, ktorzy twierdza, ze mowia w waszym imieniu!

Zabrzmiało to dosyć szorstko i raz jeszcze szmer oburzenia przebiegł wśród zebranych. Rahotep nie wątpił, że niejeden z obecnych tu dworzaków znalazł już tekst, który czytał szambelan. A może nawet miał swój udział w jego napisaniu. I co taki człowiek myśli w tej chwili, słysząc swoje własne argumenty przedstawiane tu bez ogródek?

-Prawda jest, że najeźdźcy posunęli się daleko w głąb naszego kraju, że drwią sobie z nas gorzko, że narzucili nam brzemie trybutu i swych srogich rządów. Jednak nasze, mieszkańcy Teb, ziemie pozostają niezagrożone, zarówno tutaj, jak i na południu, aż do granicy z Krajem Luku. Elefantyna jest dostatecznie silną fortecą, by stawiać czoło Nubii, a jej władca stoi po naszej stronie, podobnie jak pozostali. Czy ludność południa nie uprawia dla nas swych najlepszych ziem, a nasze bydło nie wypasa się na ich moczarach? Czymże jest dla nas północ? Niech ci Azjaci zatrzymają sobie bagna północy - nasze jest serce Dwoch Krajów. Jeżeli wypowiedzą nam wojnę, wtedy podniesiemy dzidy i łuki w swojej obronie. Tylko wtedy nadejdzie czas, by faraon poprowadził nas do walki.

- "Nasze, mieszkańcy Teb, ziemie pozostają niezagrożone" - Kamose powtórzył te słowa z palaca gorycza. - Glupcy! Dopóki choćby jeden Hyksos pozostanie na Czarnej Ziemi, nikt nie jest bezpieczny! Nawet w tej chwili general mianowany w Avaris zbliża się do Teb i nie przybywa sam: maszeruje z nim cała armia! Ja jestem pasterzem Egiptu z łaski Re. Pamiętajcie - Kamose podniósł się - chociaż trzymam pastorał dla obrony mego ludu, to trzymam również bicz do chłostania jego nieprzyjaciół. Taka oto mam odpowiedź dla tych, którzy są "niezagrożeni w Tebach".

Uniosł swój obrzędowy bicz, po czym ze swistem opuścił jego ramię na zwoj papyrusu, który wyrwany z rąk szambelana opadł porwany na strzępy na posadzke.

-Re przemówił!

-Re przemówił! - powtórzył szambelan, a jego głos brzmiał przeraźliwie, gdy wpatrywał się w szczatki zwoju.

-Re przemówił! - kilka z tych wyrażających potwierdzenie głosów było mocnych i stanowczych, lecz pozostałe przycichły stopniowo. Gdy faraon obrócił się i opuścił komnatę. Kiedy opadła zasłona na drzwiach, dało się słyszeć westchnienie ulgi i leciutki poszept przebiegł wśród zgromadzonych. Minal już okres niepewności. Tebom mogło się to nie podobać, lecz ich władca podjął decyzję. Sekenenre-wojownik był martwy, lecz Kamose-wojownik żywy.

Kamose-wojownik, podjąwszy publicznie stanowczą decyzję, zaczął od tej chwili działać błyskawicznie. W ciągu godziny królewscy posłancy pomknęli we wszystkie strony w rydwanach i smigłych łodziach. Oboz na wyzynie został zaalarmowany, okręty wojenne na rzece ściagnęły do portu, przebijając się przez narastający prąd fal powodzi; setnie z sąsiednich nomów zostały wezwane do stawienia się pod sztandarem faraona. Kamose zerwał z rytuałami i zwyczajem. Mogł oplakiwać ojca w swym sercu, lecz stał na stanowisku, by nie odprawić ciągnących się w nieskończoność obrzędów w jego grobowcu. Egipt zbierał się w końcu do marszu!

Wypad, poprowadzony przez Ahmosego na konski oboz Hyksosów, nie przygotował jednak Rahotepa do ponownego

spotkania z silami wroga. Zabierając jednego z dzikich Beduinów z pustyni jako przewodnika, miał oddział luczników i egipskich zwiadowców, zagłębił się w tereny otaczające Neferusi. Kapitan od dzieciństwa był obeznany z ogromnymi obwarowaniami Semny, które budowano niemal przez sto lat. Teraz patrzył z pewnej odległości na miasto równie dobrze, jeśli nie lepiej, chronione przez mury i przypory.

-Od pokoleń jest to główna twierdza Hyksosów na południu. - Nereb, leżąc płasko na ziemi, osłonił dłońmi oczy przed słońcem. - Mówią, że jest to mniejsza kopia samego Avaris. Zdobyć to w otwartym ataku...

Nie dokonał. Innym wyjściem byłoby obleżenie. A to wymagało czasu, którego Egipcjanie nie mieli. Oddział zwiadowców przez noc i dzień zatoczył w rozsądnej odległości polkole wokół miasta. Prowadziło do niego tylko jedno wejście, a droga od niego wiodła ostrym zakretem pomiędzy murami, tak że wchodzący lub wychodzący musieli przejść między dwiema liniami fortyfikacji do drugiej bramy, pod ostrzałem luków i procy zaalarmowanych strażników.

Rahotep dostrzegł coś jeszcze, oprócz tych murów i straży. Na murach znajdowali się nieuzbrojeni ludzie, którzy trudzili się pod batami brygadystów, dokonując napraw lub podwyższając i tak już wysokie jak wieże obwarowania. W ciągu dwóch dni obserwowania Neferusi kapitan zauważył, że przy tej harówce jest zatrudnionych kilka takich grup. A jak można lepiej zbadać fortyfikacje, niż pracując na nich?

-W Nubii mieliśmy takie powiedzonko - zaczął powoli. - "Można rozłupać jajko od środka".

Nereb, mrużąc oczy przed słońcem, spojrzał na niego, nic nie rozumiejąc. Rahotep wskazał ręką odległe mury i ludzi, którzy tam pracowali.

-Jacy ludzie służą Hyksosom za niewolników? - zadał Nerebowi pytanie.

-Najroźniejsi. Ich sieci rozstawione są bardzo szeroko. Podobno nawet wojownicy z Krety czasem się w nie łapia. Jednak tutaj są to głównie ludzie z Egiptu.

-Załóżmy więc, że podarujemy im jeszcze jednego niewolnika. Myślisz, że prowadzi tak ścisłą rachubę swoich robotników, że jeden więcej, który przyłączyłby się do tej grupy, zwróciłby ich uwagę?

Jakby w odpowiedzi na to pytanie, odpowiedzi tak trafnej, że Rahotep był przekonany, iż została zesłana przez Wielkich, Kheti przeslizgnął się jak cień po piasku, by rozciągnąć się obok nich z nowymi doniesieniami.

-Karawana..., od drugiej strony..., zbliża się do miasta. Czy mamy ich złapać? - jego oczy błyszczały z podniecenia.

-W żadnym wypadku - zarządził Rahotep. - Czy nie mówiłem, że nie możemy zdradzić swojej obecności? Czy to oddział wojska?

Kheti splunął, po czym odpowiedział:

-Powiedz raczej, że oddział niewolników, panie. Maszerują pod batem i nie jest to bicz oficerski!

-Chciałbym to zobaczyć.

Zostawiając Nereba na jego wybranym stanowisku, kapitan pospieszył za Khetim obiegającą miasto ścieżką, która doprowadziła ich do jego północnej strony. Wprawdzie część drogi przebyli biegiem - kiedy mieli dostateczną osłonę - lecz karawana była już tak blisko bram miasta, że Rahotep nie miał już czasu na szczegółowe obserwacje. W tym pośpiechu zdążył dostrzec, że była to grupa niewolników maszerujących pod strażą. Rece mieli bolesnie wykrecone za plecami, łokcie związane sznurem, a pętle na szyi łączyły ich ze sobą. A więc byli to nowi niewolnicy prowadzeni do Neferusi. Do pracy na murach? Szalony plan zaczął kielkować w głowie kapitana. Był to plan z wieloma, wieloma słabymi punktami; taki, w którym powodzenia i niewatpliwe życie tego, kto by go przeprowadzał, zależałyby głównie od szczęścia. A jednak mogli dzięki niemu zyskać szpiega wewnątrz miasta i oszczędzić sobie kosztownego obleżenia, które pogrzebałoby całą ich kampanię.

-Czy to jest pierwsza taka karawana? - spytał Khetiego.

-Pierwsza, od kiedy prowadzimy obserwacje, panie.

-Znając cie, Kheti, jestem przekonany, że wypatrzyłeś miejsce, gdzie można zrobić na nich zasadzkę.

-Tak. - Nubijczyk uśmiechał się. - Bierzemy następną, panie? Może te psy dadzą głos, mówiąc nam wszystko, co wiedzą.

Następny pomysł zaswitał kapitanowi w głowie, więc wprowadził niewielkie poprawki do swego planu.

-Jeszcze nie. lecz chciałbym się przyjrzeć bliżej jednemu z takich oddziałów - rzekł.

Dwie godziny później przyszło mu na myśl, że grupa niewolników, którą widzieli wchodząca do Neferusi, była albo ostatnim, albo wręcz jedynym takim oddziałem. Tylko dwie powolne procesje ciągniętych przez woły wozów, ciężko wyladowanych i dobrze strzeżonych przez uzbrojonych Hyksosów. przeciągnęły przez gąszcz, trzcin, gdzie Rahotep i Kheti. pokryci zawieszoną zieloną szlamą i atakowani przez owady, kulili się niewygodnie, wdychając smród zgnilizny.

Jednak pod koniec pory południowej sjeżdżał kolejny konwój niewolników nadciągnął droga, gdzie doroczna powódź wysyłała już języki wilgoci przez spieczoną glinę. Rahotep, obserwując te pozalowania godną grupę prowadzoną obok jego kryjówki stwierdził, że faktycznie byli to głównie jego rodacy. Na ich ciałach widoczne były pęchy od uderzeń oraz rany i siniaki od ciągłego maltretowania. Przeszli, powłócząc nogami, z oczami wbitymi w ziemię, pozbawieni nawet ducha wiejskich osłów traktujących uprawy. To były strzepy ludzkie i na ich widok niewielka nadzieja na zrealizowanie jednego z jego pomysłów zgasła. Żaden z nich nie zwróciłby się przeciw swym panom, nawet jeśli przeciął im więzy i włożył w dłonie szpile i dzidy. Dozorcy traktowali ich z pogardą, jak niektórzy ludzie żywią dla zwierząt. Zamiast rozciągnąć się w marszu wzdłuż ich szeregu, jak to czynili w pobliżu miasta, a więc i pod okiem swoich oficerów. Hyksosi - czy raczej w tym przypadku beduinscy najemnicy - wlekli się razem, głośno rozmawiając i podając z ręki do ręki worek z winem, w oczywistym zamiarze wykonczenia jego zawartości, zanim dotrą do Neferusi. Od czasu do czasu jeden z nich przebiegał wzdłuż szeregu, swisnąwszy batem po jednych czy drugich pochylonych ramionach, lecz było jasne, że strażnicy nie rozróżniają niewolników jako jednostek, co rozwiązywało

czesc problemu kapitana.

Kiedy karawana minela ich, wycofal sie, by dolaczyc do Nereba.

-Chcialbym porozmawiac z Krolewskim Synem.

-Masz jakis plan? - glos Nereba brzmial niemal oskarzycielsko, jakby ten uwazal, ze Rahotep powinien podzielic sie z nim swoimi myslami. Kapitan byl jednak tak skupiony na opracowywaniu szczegolow swego pomyslu, ze nie zwracal na towarzysza specjalnej uwagi. Poslal Khetiego i Horiego, by obserwowali droge, z rozkazem spisywania wszelkiego ruchu, a szczegolnie karawan niewolnikow, po czym skierowal sie do odleglego miejsca postoju Egipcjan.

Przyzwyczajony do mniejszych skupisk granicznych patroli, spogladal na ten oboz ze zdumieniem. Uswiadomil sobie, ze ponownie powiekszył sie on o jedna trzecia, od kiedy go opuscil piec dni temu. Ze swymi scianami z tarcz, szeregami uwiazanych zwierzat jucznych, konmi i rydwanami oraz centralnym zbiorowiskiem namiotow, do zludzenia przypominal obecnie miasteczko nomadow.

Zaabsorbowanie Rahotepa wlasnym projektem ulotnilo sie natychmiast, kiedy rozpoznal pisarza, ktory towarzyszył Ahmosemu w namiocie dowodztwa. Z pewnoscia dla Sebniego nie bylo tu miejsca! Nalezal on przeciez do skompromitowanego stronnictwa Zaua. Tak wiec kapitan trzymal usta zamkniete, zdecydowal, ze jezeli nic uda mu sie porozmawiac z ksieciem na osobnosc, to w ogole nic nie powie.

-Do twierdzy dostarczani sa niewolnicy i zaopatrzenie - powtorzył

Ahmoose nieco później. - W takim razie przygotowują się do obleżenia, na co wskazują też te dodatkowe prace przy murach. No, ale nie mogliśmy spodziewać się niczego innego. To jest rasa, która wznosi fortece, żeby je bronić.

Rahotep zauważył, że Nereb spogląda na niego pytająco. Pewnie się zastanawiał, dlaczego kapitan nie wyjaśnia przyczyn ich nagłego powrotu do obozu. Książę tymczasem klasnął w ręce i powiedział do słuzącego, który pojawił się w wejściu:

-Wino dla dostojnych panów. Mieli oni gorącą podróż.

Kiedy słuzący powrócił, dzwigając na ramieniu dzban wina, dało się zauważyć, że trzyma się on z dala od narożnika najbliższego wejścia do namiotu. Książę zachichotał.

-Szkole sobie nowego gwardzistę, kuzynie - powiedział do Rahotepa. - Ponieważ ty miałeś ogromne sukcesy na tym polu, to może mi doradzisz. Chodź i zobacz tego potężnego wojownika świeżo przyłączonego do naszych sił!

Poprowadził kapitana do narożnika, gdzie młody lew, którego schwytali na polowaniu, stał w kagancu, uwiązany na smyczy. Zaczął warczeć, kiedy podeszli bliżej, jednak książę przykleknął na jedno kolano i piescił jego łeb, zagładając głęboko w topazowe oczy, dopóki warkot nie ustał.

-Wygląda na to, że pozwoli ci sobą kierować, Królewski Synu.

-Tak jak i ty? - to pytanie zostało zadane półszepem i zamaskowane głosniejszym odezwaniem. - Tak, wczoraj wziął mięso z mojej ręki. Już wkrótce będzie go można trzymać bez

kaganca. - Ponownie zwrocil sie po cichu do kapitana:

-Jest cos, co chcialbys mi powiedziec?

-Tak! - Rahotep odpowiedzial tym jednym slowem zarowno na stwierdzenie, jak i na pytanie.

-Chcialbym zajrzec do twojego lamparta, kuzynie. Nie, Sebni - dodal ksiaze, jako ze pisarz podniosl sie i chcial podejsc, by przylaczyc sie do nich. - To nie jest sprawa panstwowa, z ktorej musisz robic notatki dla faraona, lecz po prostu oswajanie zwierzecia. Nie potrzebuje zadnej swity.

Kiedy tylko znalezli sie poza namiotem, przemowil znacznie szybciej.

-Nie brakuje ci rozumu, kuzynie, by trzymac jezyk za zebami.

-Panie, co on tu robi? - Rahotep prowadzil go z powrotem do swojego namiotu, ktory dzielil z Bisem.

-Lepiej, zeby niegodny zaufania nadzorca pracowal w magazynie, gdzie jego pan moze go obserwowac, niz na daleko polozonym polu - odparl enigmatycznie Ahmose. - Poza tym. zawsze mozna sie czegos dowiedziec, obserwujac szpiega przekonanego, ze jest bezpieczny. Ale co miales mi do powiedzenia?

-Wydaje mi sie, Krolewski Synu. ze znalazlem sposob, w jaki mozna sie dostac do srodka Neferusi i dowiedziec czegos o miescie i jego systemie obronnym.

-Czy temu zwiadowcy wyrosna skrzydla Horusa. czy tez ma on

byc rownie niewidoczny jak demon nocy?

-Przylaczy sie on do jednego z transportow niewolnikow, ktore docieraja teraz do miasta i bedzie pracowal na murach.

Ksiaze zatrzymal sie gwaltownie i odwrocil twarz do Rahotepa.

-Zakladajac oczywiscie, ze nie zostanie natychmiast zadzgan dzida przez straznika, ktory doliczy sie o jednego czlowieka za duzo i nie zostanie zdemaskowany w Neferusi, by kawalek po kawalku stac sie pokarmem dla ich boga.

-A jezeli ma on przebranie, ktore pozwoli mu z latwoscia uchodzic za jednego z ich jencow?

-To znaczy, kuzynie?

Rahotep obrocil sie, prezentujac swiezo wygojone blizny na swych plecach.

-To znaczy to, ksiaze. Jestem wystarczajaco przygotowany, by grac role niewolnika, ktory skosztowal bata.

Kiedy ksiaze nic na to nie odpowiedzial. Rahotep obrocil sie z powrotem, gotow bronic swojego zdania. Jednakze spojrzenie w oczy tamtego powstrzymalo go od odezwania sie.

-Nie bylo w mojej mocy oszczedzic ci tego, kuzynie!

-Czy sadzisz, ze kiedykolwiek myslalem inaczej, Krolewski Synu? W owym czasie zaciagnieto wokol mnie siec, ktorej nikt, poza tymi, ktorzy ja splekli, nie mogl rozluznic. Teraz ciesze sie, ze tak sie stalo. Czy nie daje mi to prawa, by sprobowac dostac sie do

Neferusi?

-Sam chcesz sciagnac na siebie nieszczescie. Jest jedna szansa na tysiac, ze powrocisz bezpiecznie.

-Niezupelnie. Krolewski Synu. Uwierz mi, kiedy mowie, ze dobrze przygotowuje swoj plan i ze pod murami Neferusi beda czekac w pogotowiu ludzie, by wydostac mnie z powrotem.

-To z pewnoscia - obiecal ksiaze goraco.

Rahotep pokrecil glowa.

-To nie moga byc ludzie z twoich oddzialow, ksiaze. Pozwol mi polegac na moich lucznikach. To jest zadanie, jakie oni lubia. Poza tym rozgrywalismy takie gry juz przedtem.

-To nie moze byc prawda! Nikt nie wszedl do miasta Hyksosow w takim przebraniu. Nie moze ci pozwolic...

-Synu Krolewski, przed chwila powiedziales, ze przykro ci z powodu tego, co wycierpialem przez pomylke wymiaru sprawiedliwosci faraona. Czy nie widzisz, ze musial byc w tym wszystkim jakis zamysl Wielkich? Tylko ktos tak pokieroszowany moze sie powazyc na wprowadzenie w zycie mego planu. Kiedy wyruszasz do walki, uzywasz najlepszej broni znajdujacej sie pod reka.

Ahmose westchnal.

-Widze, ze i tak przeprowadzisz swoj zamysl, nawet jesli wydam ci przeciwny rozkaz. Jednak moja wola. a mysle ze i twoja, jest taka: dokladnie obmyslisz swoj plan i pozostaniesz nie dluzej niz

dzień i noc w tym gnieździe kasliwych szerszeni. Jeżeli zdobędziemy Neferusi dzięki twoim wysiłkom, domagaj się, jakiego chcesz "złota mestwa", nawet z urzędem twego ojca w Nubii włącznie, a faraon to zatwierdzi.

14. Ikar żeglarz

-Sciagnij mocniej ten sznurek, głupcze - zarządził Rahotep przez zacisnięte zęby. po czym zawstydzil się, że pozwolił tak wyraznie ujawnić się dreczacemu go napięciu, nawet jeśli stało się to tylko przy Khetim, z którym dzielił niemal wszystkie trudy i niebezpieczeństwa swego życia od wczesnego dzieciństwa. Czy to była duma wojownika - to, co powstrzymywało go od odwołania tego ryzykownego przedsięwzięcia? Sam nie wiedział. Staral się nie zastanawiać zbyt długo. Ceremonia, podczas której faraon przyjął go ponownie w szeregi swoich "tarcz", wymazała wprawdzie hanbę wyroku za zdradę, lecz gdzieś w środku Rahotep nadal odczuwał tępy ból, podobnie jak w ramionach, kiedy nazbyt napreżył swe pokryte bliznami plecy. Tak właśnie bolaly go w tej chwili, gdy Kheti sprawnie wiazał mu wykrecone ręce. nakładając pęta niewolnika.

Mahu wynurzył się spośród wyschniętych trzciny, które leciutkim szelestem chciały zadać klam jego zdolnościom zwiadowcy.

-Nadchodzi, panie. A Dedun się do nas uśmiecha! Jeden ze strażników musiał zostać ranny, gdyż niosa go w lektyce, a jego towarzysze idą obok niego. Rzadko spoglądają na niewolników.

Miękki dotyk futra na nodze sciagnął uwagę Rahotepa na Bisa. W tej chwili oczy kociaka spotkały się z jego i kapitan miał wrażenie, że widzi w nich prawdziwe zrozumienie. W ciągu

minionych trzech dni bardzo intensywnie cwiczyli - oni i Bis - przez długie godziny. A teraz powodzenie jego planu w dużej mierze zależy od tego, jak lampart będzie reagował na polecenia. Rahotep w roli niewolnika miał wejść do Neferusi późnym popołudniem, natomiast Bis miał się tam dostać następnego dnia po zapadnięciu zmroku. I z pomocą lamparta być może uda mu się bezpiecznie wydostać. Niestety, tylko "być może".

-Zostan! - Rahotep wypowiedział to słowo bardzo wyraźnie. -
Zostan z Khetim!

Ponieważ ręce miał już w niewolniczym postronku, kolaniem popchnął Bisę w kierunku Khetiego. Lampart wpatrywał się w kapitana swymi kocimi oczami - po czym usiadł, starannie zawijając koniuszek swego ogona wokół przednich łap. Bis zostanie.

Gaszczy trzcin oddzielał miejsce, gdzie stali, od drogi. Za Rahotepem i po obu stronach tego traktu ukryci byli jego ludzie. W tej chwili ptasi gwizd, wydany przez najdalej wysuniętego zwiadowcę, oznajmił pojawienie się karawany. Kolumna mężczyzn, w większości z pętami na szyi i rękach, zbliżała się chwiejnym krokiem, niemrawo i bez ducha. Przodem nadciągnęła niesiona przez czterech niewolników lektyka, na której leżał jeden ze strażników o ciemnoczerwonej twarzy, nabiegającej krwią, kiedy wciągał powietrze z rozdzierającym chrapaniem. Porazony słońcem, pomyślał Rahotep.

Mahu miał rację. Reszta strażników szła po obu stronach lektyki, a ich zatroskane miny świadczyły o tym, że chory był ich dowódca. Tylko od czasu do czasu któryś biegł do tyłu, by zwymyslać posuwający się z trudem szereg niewolników.

Rahotep obserwował jednego ze strażników, który właśnie zrobił taki obchod i wracał na swoje miejsce z przodu. Niewolnicy, chwając się ruszyli truchtem pod uderzeniami jego bata. Sciesniali teraz kolumnę i kiedy ogon tego smutnego pochodu przesunął się przed kapitanem, ten wziął głęboki oddech - jakby miał zanurkować w wody Nilu w czasie powodzi - i zszedł na drogę, by się do niego przyłączyć.

Tak wiele zależało od jego szczęścia w tej właśnie chwili i w ciągu kilku następnych. Dla obserwatora z zewnątrz był równie brudny, nagi i zmaltretowany jak pozostali niewolnicy. Jednakże czy któryś z nich może okazać zdumienia i nie przyciągnie uwagi strażników? Jeśli miałoby się to zdarzyć, to modlił się, by nastąpiło to od razu, dopóki łucznicy ukryci w trzcinach mogli osłaniać jego ucieczkę. Gdyby został zdemaskowany po minieciu tych zarosli, bliżej murów miasta, będzie musiał polegać na chyczności swoich nog. Natomiast za murami Neferusi ujawnienie jego podstępów oznaczałoby pewną śmierć, i to nie lekka, ani szybka.

Serce waliło mu mocno w piersi, kiedy dostosowywał swój krok do powłóczących nogami niewolników i ustawiał się w jednej linii z dwoma ostatnimi. Jeden z nich niemal się zataczał, a z jego twarzy pozostały tylko ostre kości czaszki pokryte cienką warstwą brudnej skóry z pozlepianymi strakami nieogolonej brody, sterczącymi na linii szczęki. Jego oczy były na wpół przymknięte i trzymał je utkwione w ziemi przed sobą, jakby widział tylko ją - albo nic zgoła.

Drugi towarzysz Rahotepa był zupełnie inny. Nie przypominał poruszającego się szkieletu, ani człowieka bliskiego zakończenia swego niedźnego życia, chociaż był równie zaniedbany jak

tamten. Odwrocil glowe, kiedy kapitan sie do nich zblizyl.

Wlasnie wtedy Rahotep stwierdzil, ze nie jest on Egipcjaninem. Nie nalezal jednak rowniez do tej samej rasy co Hyksosi. Jego skora, pod brudem i pylem, byla o kilka tonow jasniesza niz kapitana, a skoltunione wlosy wyblakle od slonca, niemal do bialosci. Byl rownie wysoki jak Kheti i, gdyby byl dobrze odzywiany, moglby dorownac Nubijczykowi sila rak i nog.

Od pozostalych niewolnikow roznil sie nie tylko wygladem - byl tez znacznie bardziej wyczulony na to. co sie wokol niego dzieje. Chociaz brzucil Rahotepa od gory do dolu seria bystrych spojzen, nie odezwal sie jednak ani slowem. I kapitan zaczal miec nadzieje, ze nie robi tego rowniez za chwile, gdyz wychodzili wlasnie z trzciniowych zarosli na otwarty teren wokol miasta.

A moze ten obcy mial zamiar czekac, az Rahotep znajdzie sie w pulapce murow i wtedy wszczac alarm, zyskujac w ten sposob lepsze traktowanie, a moze nawet wolnosc? Chociaz godziny spedzone w lochach Anubisa wydawaly sie kapitanowi wiecznoscia, to jednak jeszcze bardziej dluzyl mu sie czas, ktorego potrzebowal transport niewolnikow, by dopelznac do bram Neferusi, przejsc przez pierwsza z nich i potem miedzy murami do drugiej.

Rahotep dokladnie przyjrzel sie dobrze strzezonemu wejsci do miasta. Jednak w glebi duszy drzal, oczekujac przez caly czas na okrzyk ze strony idacego przy nim mezczyzny, na ostateczne zdekonspirowanie. ktore skonczy sie jego pojmaniem. Tymczasem wysoki nieznajomy o jasnej skorze juz go nie obserwowal, lecz maszerowal z oczami wbitymi w ziemie, a jego

szerokie plecy były w tej chwili nieco pochylone. Posuwał się naprzód z trudem, jakby nie tylko stracił zainteresowanie otoczeniem, ale również energię i ducha.

Wprawdzie jego towarzysz nie zdemaskował go, lecz Rahotep stanął teraz przed następnym problemem. Jeżeli urzędnicy Hyksosów byli równie skrupulatni, jak ci w siłach egipskich, to pisarz będzie miał listę niewolników i wszyscy po kolei zostaną na niej sprawdzani. Mimo dyskretnego wypytywania w królewskim obozie, nie udało mu się zebrać żadnych informacji na temat zwyczajów Hyksosów. Musiał zaufać łasce Wielkich w tym przypadku, jak zresztą i w wielu innych.

Możliwe, że powodem była choroba oficera strażników, która wywołała zamieszanie przy przekraczaniu przez nich drugiej i ostatniej bramy Neferusi. W każdym razie żaden urzędnik nie przedstawił listy i Rahotep razem z innymi jencami został zagnany do ciemnego magazynu, zapelnionego już w znacznej mierze przez miejskich niewolników. Od progu uderzył ich straszny upał i duszący fetor, od których Rahotepowi tak zawirowało w głowie, że na chwilę stracił równowagę i przechylił się w bok, opierając o jasnowłosego nieznajomego.

Mężczyzna brutalnie odepchnął go od siebie i gwara egipskich niewolników warknął:

-Na nogi. durniu. Czy myślisz, że jesteś kapitanem, by być noszony w lektyce?

Pchnięcie rzuciło kapitana na ścianę, więc oparł się o nią. Bardzo chwalił sobie te podpory, kiedy rozejrzył się już i stwierdził, do jakiej nory zostali wrzuceni. Niby były w niej okna, ale tylko

cztery, umieszczone przy tym tak blisko dachu, że powietrze, które przedostawało się przez nie, było praktycznie niewyczuwalne. Cały zar dnia uwiązł pod tym dachem i większość zamkniętych w magazynie mężczyzn była w stanie tylko leżeć na ubitej ziemi, tworzącej posadzkę - o ile znaleźli dość miejsca, by wyciągnąć zdrewniałe kończyny - i dyszeć, jak zdychające ryby złapane w sieć.

Jeśli nie ulża jakos tym ludziom, pomyślał ponuro Rahotep, to grupa robotników znacznie się przerzedzi, nim nastanie ranek. Nawet ludzie przyzwyczajeni do pracy w słońcu i nieznosnym upale pory suchej nie mogą zbyt długo zachować sił i zdrowia w takich warunkach.

-Wybrales sobie marne zakwaterowanie...

Mrok pomieszczenia, w którym się znaleźli, pogłębił się jeszcze po zamknięciu drzwi. Rahotep usłyszał szczepek zasuwki wpychanej na swoje miejsce, jednak dźwięk ten nie zagłuszył ochryplego polszęptu. Brzmiały barbarzyńskim akcentem głos należał niewątpliwie do tamtego nieznanego.

-Ty również - odparł krótko.

-Nie z własnej woli... - Szczekliwy głos, który dobiegł od strony tamtego, mógł być w zamierzeniu śmiechem, chociaż niewiele było w nim wesołości.

Mimo surowości akcentu, intonacja tych paru słów pozwoliła Rahotepowi zrozumieć, że tamten jest nim głęboko zainteresowany i zdecydowany naciskać na wyjaśnienia.

-Nie z własnej woli - powtórzył nieznajomy ostrzej, gdy Rahotep nie odpowiadał. - Jestem Ikar, zeglarz... hm, raczej byłem zeglarzem - dodał z goryczą.

-Rozbiles się? - spytał kapitan. Nie dlatego, żeby miał faktycznie ochotę wysłuchiwać historii tamtego, lecz liczył na to, że jeśli skłoni go do mówienia o własnych sprawach, to nic będzie musiał odpowiadać na kłopotliwe pytania.

-Rozbitem się? Gdzie tam! Katastrofe mogłbym zrozumieć, taki los pochodzi z woli bogów. Jednakże porwanie królewskich ludzi, to zupełnie co innego, tym nie kieruje żaden bog. Chyba że władca ciemności! - Jego głos rozbrzmiewał gorącym protestem. - Wystarczy, że któryś z tych Hyksosów stwierdzi, że masz u niego dług i przysięgnie na to przed sędzią swojej krwi, a już twój okręt jest zajęty, a ty sprzedany w niewole!

-Należysz do tych wyspiarzy, którzy są potomkami Minosa?

-Nie! Jestem z północnych terenów, znajdujących się za królestwem byka. Przy urodzeniu bogowie zesłali mi fatalny podarunek. Swierzbia mnie stopy i muszę ciągle szukać nowych miejsc. Jednak to nowe miejsca zupełnie mi się nie podoba. - Westchnął i osunął się na podłogę, gdzie w mrocznym cieniu jego olbrzymie ciało było tylko ciemniejsza plama na tle innych, już tam spoczywających.

-Nazwałeś się zeglarzem - zauważył Rahotep, nie zdając sobie sprawy, do czego doprowadza go te leniwie wypowiedziane słowa - ale powiedziałbym, że wiesz, jakie to uczucie trzymać rekojesc topora bitewnego w dłoni. A może wolisz miecze mieszkańców północy?

-Topor i miecz, wojownik! Tak, znam swist obu zupełnie jak ty. Rahotep zadrzał. Ten Ikar trafiał zbyt blisko prawdy. Szybko odpowiedział na aluzje tamtego.

-Jeniec wojenny musi zapomnieć o takich umiejętnościach, kiedy zostaje zagnany do baraku niewolników.

-Tak. Jednak jeszcze nigdy dotąd nie widziałem niewolnika wychodzącego z ukrycia, który z własnej woli przyłącza się do pozostałych. Raczej zmyka w przeciwnym kierunku. Poza tym, chociaż wytarzałeś się w piachu i pozwoliłeś swej brodzie nieco urosnąć, to jesteś zbyt dobrze odżywiony i idziesz zbyt pewnym krokiem, by można było uwierzyć, że długo jesteś w okowach. Nie, nie będę cię pytał, co tu robisz, czego człowiek nie wie, tego nie można z niego wydusić. Wydaje mi się jednak, że wszedłeś do jaskini lwa, żeby go mocno kopnąć sandałem w nos. A jaki lew zniesie spokojnie takie zuchwałstwo?

Rahotep zaśmiał się cicho. Zgryźliwy humor zamorskiego żeglarza był zarazliwy i kapitan zaczął się zastanawiać, czy choć trochę nie wtajemniczyć tamtego i nie uwzględnić go w swych planach. Ikar najwyraźniej odzyskał ducha, a także, sądząc po jego wyglądzie, większość sił fizycznych. Z pewnością nie darzył sympatii swoich właścicieli, a obietnica wolności mogła skłonić go do współpracy.

Zasuwa została odsunięta i drzwi otworzyły się, by wpuszczyć grupę Nubijczyków, niosących dzbany i kosze twardego chleba. Mogliby oni zostać zaatakowani przez co bardziej zwinnych spośród stłoczonych niewolników, lecz towarzyszyli im nadzorcy, którzy hojnie używali swych biczy, by oczyścić przestrzeń na postawienie przyniesionej żywności. Kiedy tylko Nubijczycy i

straznicy wycofali się, cały tłum rzucił się na jedzenie. Ikar jednak zdążył już zastawić soba dzbany i teraz wściekle używał swych pięści, krzycząc:

-Synowie swin! Zjadacze kurzu! Uwiedzajcie, woda nie moze zostac rozlana!

Jego ryk, wycwiczony w przekrzykiwaniu morskich sztormow, dotarl do dostatecznej ilosci uszu, by powstrzymac to parcie naprzod, a Rahotep przepchnal sie do niego, by go wspomoc. Garstka rozsadniejszych i silniejszych niewolnikow przybyla im na pomoc, by dzbany pozostaly bezpieczne, a Ikar odmierzyl kazdemu mezczyznie porcje drogocennego plynu, z dokladnoscia czlowieka, ktoremu czesto dawal sie we znaki brak wody.

Rahotep wzial do ust porcje wyschnietego na wior chleba, na ktory wcale nie mial ochoty, lecz nie mogl przeciez odmowic i popil lykiem wody. gratulujac sobie w duchu przygotowania do pustynnego zycia. I chociaz wycofal sie z cizby wokol zywnosci, nie bylo mu pisane tak latwo uwolnic sie od Ikara. Zeglarz podszedl i przykucnal przy nim. piastujac swa porcje chleba w ogromnej dloni.

-Te hyksoskie psy nie wiedza, jak postepowac z niewolnikami - zauwazyl. - Znacznie lepiej pracuje czlowiek, ktory jest dobrze karmiony i traktowany. niz takie szkielety.

-Moze maja tak wiele karkow pod swym jarzmem, ze nie musza liczyc, ilu niewolnikow zmarlo w brygadach - odparl ponuro kapitan.

-A Egipcjan nie musza sie obawiac, wszak pozwolili Hyksosom przez tyle lat spokojnie sie wylegiwac i tuczyc w tym kraju.

Rahotep stlumil ostra riposte, podejrzewajac, ze tamten chce go sprowokowac i odpowiedzial mu beznamietnie:

-Ilu ludzi wszczyna bunt. kiedy wszystka bron jest w rekach nieprzyjaciol, a ich wlasne sa puste? Spodziewasz sie. ze upadle na duchu widma powstana przeciw swym straznikom?

-Wczoraj moglbym odpowiedziec na to: "Raczej nie". Dzis wieczorem... Dzis wieczorem zaczynam sadzic, ze jest byc moze iskierka nadziei. A kto wie, czy w tej izbie nie znajda sie tacy, ktorych mozna by zachecic do czynnej obrony, gdyby ich takze natchnac ta nadzieja.

-Dlaczego akurat dzis zaczales w to wierzyc? - spytal Rahotep. Z ciemnosci dobiegl go smiech.

-Moze dostapilem laski objawienia od bogow lub. co bardziej prawdopodobne, zobaczylem niewolnika wyslizgujacego sie z bezpiecznego schronienia, by przylaczyc sie do transportu swoich pobratymcow. Jak powiedzialem, towarzyszu w okowach, zaden czlowiek z rozumem na swoim miejscu nie zrobilby tego, jesli nie mialby w tym bardzo waznego celu. a cel ten nie moze oznaczac nic dobrego dla tych, ktorzy dzierza teraz wladze w Neferusi! Powiedz mi! - Jego reka zacisnela sie na przedramieniu Rahotepa, sciskajac je bolesnie. - Powiedz mi. co tu robisz? Czy jest to jakis akt prywatnej zemsty, czy tez pragniesz wywieszyc sekrety Neferusi dla innej przyczyny?

-A dlaczego mialbym odpowiedziec na twoje pytanie. Ikarze? -

Głos Rahotepa pozostał spokojny, nic próbował też wyrwać ręki z uścisku.

-Ponieważ nie jestem urodzonym niewolnikiem, człowieku z Dwoch Krajów. - Nazwał Rahotepa tak, jak Egipcjanie mówią sami o sobie. - Cały czas przygotowuje się na dzień, kiedy będzie mógł oddać cios tym krzywoprzysięzcom i złodziejom ludzi! Kocham Hyksosów nie bardziej niż ty! I jestem przekonany, że nie przestąpiłbyś bram Neferusi, nie mając przygotowanego nie tylko planu działania przeciw tym czcicielom diabła, lecz również sposobu, by się stąd wydostać. Dlatego jestem skłonny ci pomóc w nadziei, że ty z kolei powiesz mi o drodze ucieczki. Pamiętaj - łagodny ton zniknął i w jego głosie dała się słyszeć ostra nuta - że mogę wskazać ci tym, którzy wprost palic się będą do wypytywania cie, i to że znacznie mniejsza uprzejmość.

Każde słowo tej przemowy było prawdziwe. Rahotepowi spodobała się szczerść tego człowieka, a ponadto Ikar byłby bardzo przydatnym towarzyszem. Z kolei jego plan był na tyle elastyczny, by mógł włączyć do niego tego cudzoziemca.

-Słusznie się domyśliłeś. Jestem w Neferusi, by zobaczyć to, co jest do zobaczenia. I planuję opuścić je jutro w nocy.

-A co musisz zobaczyć? - nalegał z zapalem Ikar.

-Mury i rozmieszczenie wartowników oraz wojska w obrębie tych murów.

Sciszył już uprzednio głos do polszeptu, a teraz poczuł, że na jego ramieniu ponownie zaciska się dłoń Ikara.

-Nic już więcej nie mów, człowieku z Dwoch Krajów - usłyszał rozkaz. - Wystarczy, że przybyłeś tu z taką misją. Pozwól, że rano, kiedy będą wzywać niewolników, postaram się znaleźć sposób, żeby przydzielili nas do tej samej grupy i skierowali do odpowiedniej pracy. Mieszkam wśród tych Hyksosów od roku. To czego się o nich dowiedziałem, jest twoje. Teraz spij, jeśli możesz, bo oni zrywają niewolników przed świtem.

Rahotep stwierdził, że bardzo trudno jest znaleźć sen w kwaterze niewolników w Neferusi. Żał mu było tych godzin, które musza upłynąć, zanim będzie mógł się zająć sprawami, które go tu przywiodły. I kiedy oddech Ikar tuż przy jego uchu przeszedł w przerywane chrapanie, poczuł się niemal dotknięty jego umiejętnością wypoczywania. W końcu zapadł w płytką drzemkę, w której nawiedzały go senne koszmary.

Zeglarz miał rację. Zanim jeszcze na dworze poszarzało, strażnicy weszli do środka, urządzając batami pobudkę, po czym wniesiono kolejną porcję jedzenia dla więźniów tej śmierdzącej nory. Rahotep wgrzyzł się w gorącą cebulę i ochłodził usta chlebem, który w połowie stanowiły plewy. Czas na jedzenie był jednak ograniczony. Kiedy rozległ się rozkaz, Ikar pociągnął go za ramię, popychając w kierunku drzwi i szepcząc:

-Ci, którzy pierwsi znajdują się na zewnątrz, są uważani za najsilniejszych i zostaną wykorzystani do pracy na murach.

Ta uwaga wystarczyła, żeby Rahotep zaczął przecierać naprzód z takim zapalem, że jego sojusznik musiał go ostrzec.

-Jaki niewolnik biegnie do swojej harówki, przyjacielu? Wyjdź na zewnątrz na przedzie, lecz nie dopominaj się o robote.

Na dziedzincu zostali ustawieni w oddzialy po dziesieciu. Rahotep staral sie trzymac boku zeglarza. W jego grupie bylo trzech Nubijczykow, ktorych obserwowal z namyslem. Podobnie jak Ikar. na pierwszy rzut oka widac bylo. ze tak bardzo nie ucierpieli od ciezkiego tu zycia, chociaz niewatpliwie byli niedozywieni i przepracowani. Nubijczycy! Gdyby mial szanse wybadac, co mysla, znalazlby moze oprócz Ikara jeszcze innych pomocnikow pomiedzy niewolnikami Hyksosow. Reszta grupy tworzyli: jeden Beduin - maly, zylasty czlowiek o zdeprawowanej twarzy - raczej przestepca, pomyslal Rahotep, niz wziety do niewoli chlop lub zolnierz - oraz czterej Egipcjanie - tepi, cierpliwi ludzie, z ktorych wszelka buntowniczosc i inteligencja zostala wyrugowana glodem i biciem.

Laczyly ich wszystkich petle zarzucone na szyje; byl to szatanski pomysl, dzieki ktoremu kazdy, kto nie dotrzymywal towarzyszom kroku, mogl latwo udusic swoich sasiadow. W ten sposob nie tylko straznicy dbali o rowne tempo marszu. Tak zwiazani, zostali popedzeni w kierunku murow - celu marzen Rahotepa.

Sadzil do tej pory, ze zycie na granicy kraju Kusz oraz, doswiadczenia minionych tygodni przyzwyczaily go do wszelkich trudow. Nigdy jednak nie byl tragarzem i szybko odkryl, ze ani pustynie poludnia, ani lochy Anubisa nie przygotowaly go do tego. Egipcjanie wytrwale pracowali, a Beduin jak mogl. unikal pracy, chociaz ich nadzorca byl sumiennym czlowiekiem, zdecydowanym wydobyć co najlepsze ze swojej brygady i rzemienie jego bicza regularnie znajdowaly sie na plecach malego czlowieczka, dopoki nie zapedzil go do ciagniecia swego ciezaru wraz z innymi. Ikar i Nubijczycy mieli najwiecej sily i dzwigali kamienie w rytm monotonnej, nubijskiej piesni.

Pozwalano im także robić przerwy na odpoczynek. Mierzone były one wysokością słońca na wyskalowanym paliku. Podczas jednej z nich Rahotep, narazając się na wielkie ryzyko, odezwał się cicho do Nubijczyka, który rzucił się na ziemię pomiędzy nim a przygotowanym stosem kamieni.

-Na rogi Laciatego Kozła, to jest praca, która może upiec człowieka w jego własnym sosie.

Ciemnoskóry mężczyzna otworzył oczy i wpatrzył się w niego.

-Kim jesteś - zapytał takim samym, cichym szeptem - ty, który zaklinasz się na Laciatego Boga łuczników?

-Kims, kto naciągał cieciwę w ich towarzystwie - Rahotep starał się powściągnąć swe podniecenie. Przez przypadek lub przez jakies zrzadzenie losu hasło okazało się właściwe. Mężczyzna, do którego się zwrócił, należy lub należał do klanu wojowników z południa.

-Jestem Kay i zostałem podstępnie zwabiony do służby u tych diabelskich psów, by odkryć, że polega ona na używaniu nie łuku, tylko pleców. - Splunął. - A ty, który też trzymałes łuk, czemu tu jesteś?

-A jeśli powiem, że po to, by narobić kłopotów tym synom Seta, uwierzysz w to?

Białe zęby tamtego ukazały się w lamparcim uśmiechu.

-Czy uwierze? Powiem raczej, że byś pozwolił dołożyć mi się do tych kłopotów.

-A sa tu jeszcze inni. ktorzy mysla podobnie?

Glowa Kaya opadla z powrotem na ziemie, co bylo ostrzezeniem dla kapitana. Oparl sie bolacymi plecami o chropowaty kamien i wpatrzyl bezmyslnie w swoje dlonie, kiedy oddzial straznikow przemaszerowal obok nich na mury. Zdolal jednak ich policzyc i stwierdzic, jaka maja bron. Grupa ta skladala sie z procarza, oszczepnika i dwoch lucznikow.

-Sa jeszcze inni - dobiegl go ledwie slyszalny szept od strony pozornie spiacego Nubijczyka.

Nie mial juz czasu rozwinac tego tematu, gdyz jakis poslaniec obchodzil wszystkie brygady robotnikow. Gdy podchodzil po kolei do nadzorcow, ci krzykami i biciem zrywali na nogi odpoczywajacych niewolnikow i ustawiali ich do wymarszu. Slyszac wokol siebie okrzyki zdumienia. Rahotep domyslil sie. ze nie byla to normalna praktyka i po raz pierwszy, od kiedy dzien wczesniej szcieszliwie minal straze, poczul obawe o swoje bezpieczenstwo.

Plon jego porannych obserwacji byl raczej mizerny. Pospieszne oszacowanie rodzajow wojsk w Neferusi na podstawie widzianych z murow oddzialow, strzepy plotek zebranych wstrod niewolnikow, z ktorych wiekszosc byla zbyt zaszczuta, by zwracac uwage lub interesowac sie sprawami swoich panow i jeszcze zdrowy respekt przed fortyfikacjami, na ktorych sie trudzil, by staly sie jeszcze bardziej niezdobyte - to bylo wszystko, co udalo mu sie dzisiaj zebrac.

Sadzac po ogromnych ilosciach zaopatrzenia wwozonych do miasta, doszedl do wniosku, ze Neferusi przygotowuje sie na

dlugotrwanie oblezenie. Udalo mu sie podsluchac uwage, rzucona przez wartownikow schodzacych z posterunku, ze tylko czesc tych ciezko wyladowanych wozow wiozla zaopatrzenie dla miasta, natomiast wiekszosc ladunku stanowiły daniny zebrane z okolicznych okregow, ktore, zgodnie z nowymi rozkazami generala, mialy byc wyslane na polnoc, dla azjatyckich armii Hyksosow.

Miniona godzine Rahotep spedzil w miejscu, z ktorego mogl obserwowac przybycie takich taborow i sposob ich przyjecia przy bramach. Chociaz co trzeciemu lub co czwartemu wozowi towarzyszył straznik. a dowodzacy oficer musial przedstawic wartownikowi przy bramie odpowiedni spis. to nikt nie przeszukiwal samych wozow. Wspomnienie sposobu, w jaki transportowali jencow z Doliny Jaszczurki do stolicy. w polaczeniu z tym, co tu zauwazyl, nasunelo mu na mysl pewien plan. Wygladalo jednak na to. ze bedzie mial niewielkie szanse, by kontynuowac swoje obserwacje z tego miejsca.

Poslaniec rozmawial teraz z nadzorca ich grupy, a poniewaz uzywal on jezyka Hyksosow. podsluchiwanie go nic kapitanowi nie dalo. Dopiero Ikar go ostrzegl. Za plecami dozorczy skinal na niego reka i Rahotep usluchal. Przesuwal sie. dopoki nie zblizyl sie do niego i kiedy znowu spetano ich szyja przy szyi, znalazl sie pomiedzy Ikarem i Kayem. Potem staneli - Cien sokola z boku, by przepuscie sznur wyladowanych danina wozow i wtedy Ikar przemowil.

-Dowiedzieli sie. ze w Neterusi jest szpieg ukryty miedzy niewolnikami.

Rahotep. ktory trzymal rece na gardle, by poluzowac naciag liny,

zaczynał je teraz na tym drażniącym sznurze. Jak? Kto?

-Wiadomość dostarczono im spoza miasta - dodał szybko Ikar, Spoza miasta! Czyżby w egipskim obozie było więcej zdrajców? A przecież wydawało mu się, że jego sekret jest dobrze strzeżony. Tylko książe, Nereb i jego własny oddział wiedzieli, czego próbuje tu dokonać. Kheti z kolei zamierzał mieć na oku tych luczników, o których wiedzieli, że nie potrafią trzymać języka za zębami. A może została odkryta kryjówka w trzcinach, a Kheti i pozostali są teraz więźniami?

15. Nebet z Neferusi

Grupy niewolników, które pracowały na murach, zostały zagnane z powrotem na wolną przestrzeń przed wewnętrznym ogrodzeniem obok magazynu, gdzie spędzili noc. Dopiero kiedy wypełnili dziedziniec, Rahotep zobaczył, jaka tworzyli mieszaninę ras i narodowości; wszak imperium Hyksosów rozciągało się daleko poza granice Egiptu. Było wśród nich sporo Nubijczyków, Azjatów z krajów Wschodu i nieco jasnowłosych, o jasnej skórze barbarzyńców z północy, prawdopodobnie żeglarzy, którzy popadli w niewolę, złapani w taką samą pułapkę jak Ikar. Większość jednak stanowili Egipcjanie, i Rahotep pomyślał, że mając plecy tak pokryte bliznami, mogłoby z łatwością zmieszać się ze swymi nieszczęsnymi rodakami, nie wzbudzając żadnych podejrzeń, chyba że był osobiście znany temu, kto zdradził jego przybycie do miasta. Niezależnie jednak od tego, czy tamten znał go, czy nie, nastąpił moment, w którym musiał być przygotowany, by rozegrać swą grę o wolność. Prawa ręka powędrowała do sznurka przytrzymującego na biodrach skapy fartuszek niewolnika, a potem uniosła się ponownie do petli na szyi. Płasko wewnątrz jego dłoni spoczywał niewielki nóż z brązu, który Kheti

zdobyl dwadziescia cztery godziny wczesniej. Rahotep przecial nim line pod pretekstem poluznienia jej ucisku, a teraz trzymal jej konce w reku.

Nozyk nic byl mu juz do niczego przydatny, mogl wiec podac go dalej. Stali wprawdzie przed nimi straznicy, ale nie poswiecali im zbyt wiele uwagi, gdyz wiezniowie zachowywali sie spokojnie. Lewa reka Rahotepa tracila reke Ikara, wciskajac w nia maly nozyk. Zeglarz nie okazal zadnego zdziwienia, kiedy jego palce zacisnely sie wokol broni.

Boczna droga nadeszla grupa hyksoskich oficerow. Rahotep przygladal im sie pilnie, pragnac stwierdzic, czy maja miedzy soba pojmanego lucznika lub jakiegos Egipcjanina - kogos przywleczonco tutaj, by go wskazac.

Tymczasem reka Ikara znalazla sie na petli wokol szyi. Potem noz zostal ponownie wcisniety w reke kapitana. Rahotep przez dluzsza chwile przygladal sie swej zacisnietej piesci, zanim przelozil jej zawartosc do drugiej reki, a potem w dlon Kaya. Na szczescie Nubijczyk byl bystry i powstrzymal sie od okazania zdumienia.

Rahotep byl pewien, ze moze ufac Ikarowi. Co do Kaya, to byc moze podejmowal wieksze ryzyko, lecz dlugi okres sluzby z nubijskimi wojownikami wyrobil w nim wysokie mniemanie o ich lojalnosci, odwadze i pomyslowosci w dzialaniu. Z pewnoscia wolalby miec jako towarzysza walki Nubijczyka niz wiekszosc z tych, ktorych widzial w pomieszczeniach dla niewolnikow w Neferusi.

Spojrzal ponownie na oficerow Hyksosow. Podeszli oni wlasnie

do pierwszej grupy niewolników, która zaczęła ustawiać się przed nimi w szereg, żeby mogli dokonać przeglądu. Było jasne, że szukają Egipcjanina. Niewolnicy innej narodowości byli odsuwani niecierpliwie na bok. Tubylcom natomiast kazano pokazywać dłonie i plecy, i oglądano, jakby byli bydłem wystawionym na sprzedaż.

Rahotep spojrział na własne dłonie. Były na nich zgrubienia, ale stare. Trudno używać dzidy czy luku lub pracować przy okopach i nie mieć stwardniałych rąk. Zastanawiał się, czy jasniejszy pasek na jednym z palców, znaczący miejsce po sygnecie, może być widoczny poprzez brud, który w niego wtarł. A co z również jasniejszymi pasami na przedramionach, pozostawionymi przez siedmiocentymetrowej szerokości bransolety, świadczącymi o jego szlachetnym urodzeniu? Czy i one mogą być wykryte? I czy on, nawet bez petli na szyi, może podjąć walkę z otaczającymi go strażnikami i oficerami?

Katem oka dostrzegł, że Kay dotyka ręki sąsiada, również Nubijczyka, i domyslił się, że noż został posłany dalej. Jednak po drugiej stronie tego człowieka stał Beduin z wykrzywioną twarzą, do którego kapitan zupełnie nie miał zaufania i który mógł ich zdradzić. On, Ikar, Kay i tamten Nubijczyk - czterech przeciwko dziesięciokrotnie większej liczbie strażników i oficerów - nieuzbrojeni - beznadziejna walka.

Palce Ikara zacisnęły się wokół jego nadgarstka w nagłym, bolesnym uścisku. Ostrzeżenie? Przecież Hyksosi byli jeszcze daleko. Po chwili niemal podskoczył, słysząc ryk zeglarza:

-Dalej, zjadacze brudu, walczyście o swoje życie! Oni przyszli wybierać ludzi na pokarm dla swoich świątynnych diabłów!

Potrzebują mięsa dla swego boga-weza!

Niewolnicy przeniesli zdumiony wzrok z Ikar na oficerów, a potem rozległ się szmer protestu, który przerodził się we wrzaskliwy lament, aż w końcu cały dziedziniec wybuchł czystym szalenstwem. Niewolnicy znajdujący się przed oficerami próbowali się wycofać, falowali do przodu i tyłu, spętani sznurami na szyjach. Z kolei ci, znajdujący się najdalej od tego niebezpiecznego punktu, stali przed strażnikami, wrzeszcząc w szalonym przerażeniu.

Rahotep był wolny, tak jak i Ikar oraz Nubijczycy. Teraz tym małym, czteroosobowym klinem wbili się w klebiącą się masę przerażonych niewolników, przeklinających dozorców i strażników. Rahotep widział dwóch nadzorców padających pod naporem zdesperowanych ludzi na ziemię, gdzie wydarto im bicz z rąk i strącano na śmierć. Kay złapał jeden z tych bieży i obrociwszy go, użył jego rekojesci jako maczugi, by usunąć im z drogi jakiegoś oszczepnika.

Kapitan podniósł broń powalonego strażnika. Ikar zawisnął przez chwilę nad jęczącym mężczyzną, na tyle jednak długi, by wyciągnąć mu sztylet zza pasa. Potem zaczęli przepychać się, ramie przy ramieniu, w kierunku jednej z uliczek.

-Jaaaaah! Laaaah! - Kay wznosił dziki okrzyk swojego plemienia i z więcej się i skrecającej masy niewolników i strażników odpowiadały mu podobne okrzyki. Początkowy popłoch wśród więźniów przerodził się stopniowo w przerażający szal, gdy ci, którzy niegdyś byli wojownikami, przypominali sobie przeszłość i decydowali się po raz ostatni stawiać opór wspólnemu wrogowi. Dwukrotnie jeszcze Ikar przecinał petle na szyjach i wyciągał

dlugie ramie, by przyciagnac do nich oswobodzonego wojownika.

Raz byl to krepy, silnie zbudowany mezczyzna ze splatana, ruda broda i skora rownie jasna jak u Ikara, a za drugim razem Kuszyta ze spilowanymi zebami ludozercy z Deszczowych Lasow, ktore szczerzyl w usmiechu nocnego demona. Dlaczego wybral wlasnie tych dwoch i czy zrobil to celowo, Rahotep nie mial pojecia. Obaj jednak ustawili sie za Ikarem, jakby uwazali go za przywodce, na ktorym moga polegac.

To oszalale klebowisko w waskiej przestrzeni pomiedzy murem a magazynem pochlonelo juz do tej pory wiekszosc straznikow. Oficerowie, ktorzy przedtem sprawdzali egipskich robotnikow, zdazyli - zanim zostali zmiazdzeni przez tlum - zawolac o pomoc, wciagajac w te platanine jeszcze wiecej ludzi z zewnetrznego kregu. Rahotep i Kay, uzywajac w razie koniecznosci broni, przepychali sie w kierunku wolnej przestrzeni. a inni tloczyli sie za nimi. Ryk Ikara, tak glosny, by zagluszyc wykrzykiwane przez straznikow rozkazy i wezwania, dzwieczal im w uszach, wznoszac sie chwilami ponad wojenne okrzyki Nubijczykow.

-Laaah! Pijcie krew! - wrzeszczal Kay. ktory o krok czy dwa przed Rahotepem wynurzil sie z tlumu w waskim zauлку, by stanac twarza w twarz z oddzialem szesciu wojownikow spieszacych w kierunku zamieszania. Na ich nieszczescie, wszyscy byli lucznikami, a nie mieli dosc czasu, ani miejsca, by zrobic uzytek ze swej broni.

Kay obrocil bicz do normalnej pozycji i przeciagnal nim ze swistem po zdumionych twarzach. Rahotep podlozyl jednemu z nich drzewce dzidy pod nogi, po czym naskoczyl na niego, uderzajac jego glowa o stos kamieni do budowy murow, tak ze

tamten opadł pod nim bezwładnie. Kapitan pośpiesznie uzbroił się w jego topór i podnosząc się, ruszył na następnego strażnika, zataczając tą bronią niewielki, śmiertelny łuk, którego nauczone go dawno temu.

Gdyby Hyksosami ktoś dowodził, to prawdopodobnie mogliby znieść niewielki oddziałek Rahotepa, mimo jego determinacji i zawziętości. Jednak Kay już pierwszym uderzeniem bicia powalił ich dowódcę, który teraz leżał skulony pod ścianą, jęcząc i zakrywając rekoma oczy. A jego ludzie byli zupełnie dezorganizowani przez atak, którego się nie spodziewali.

Kuszyta walczył tak, jak walczą zwierzęta - zębami i pazurami, a Ikar i rudobrody używali swych pięści równie dobrze jak Nubijczycy. Kiedy znaleźli się po drugiej stronie zaułka, wszyscy już byli jako tako uzbrojeni, a ci za nimi, jeśli nawet jeszcze żyli, wcale nie mieli ochoty ich scigać. Ikar skoczył pod ścianę i oparł się o nią plecami, a Kay poszedł za jego przykładem. Razem stworzyli żywą drabinę dla swoich towarzyszy, a Rahotep był pierwszym, którego niemal wrzucili na wierzch przeszkody.

Teraz gramolił się przez płaski dach z drewnianych belek pokrytych wysuszonym na słońcu mulem - typowym pokryciem domów w ubogiej dzielnicy - mając nadzieję, że wytrzyma on ich ciężar, dopóki nie przeskoczą na następny. Przebiegając lekko z jednego dachu na drugi, a potem trzeci, zmiotł ze swej drogi dziecko i dwie kobiety, które wrzasnęły z przestachu.

Reszta uciekinierów podążała za nim bez przeszkód i na czwartym dachu osmielił się zatrzymać, by się rozejrzeć. Zapomniał jednak o wznoszących się jak wieże murach wokół miasta. Któryś z hyksoskich oficerów otrząsnął się z pierwszego

zaskoczenia i rozpoczął sprawną akcję. Procarze rozmieszczeni na górnym wale celowali w walczących na dole. A jakiś nadmiernie gorliwy strzelec próbował dosięgnąć kapitana. Wprawdzie kamień nie doleciał, lecz porwał ich do dalszego biegu.

Niestety, byli teraz odpedzani od murów, co wywołało zaniepokojenie Rahotepa. Nie osmielił się zawrócić z obawy przed schwytaniem. Gdyby już było po zmroku, mógłby próbować wspiąć się na szczyt murów i zaatakować jakiś oddział wartowników. Jednak w pełnym świetle dnia nie było na to nadziei.

Przez chwilę zwisał na rękach z krawędzi dachu, po czym opadł w jakąś uliczkę, w której unosił się roj brzęczących much i straszliwy fetor, niemal tak okropny, jak ten w szopie niewolników. Inni poszli w jego ślady i przez moment zbili się w gromadkę, dysząc ciężko i rozglądając się wokół w poszukiwaniu nowej drogi ucieczki.

Kay otarł silnym przedramieniem czoło i uśmiechnął się.

-No, to była przyzwoita walka, panie - zwrócił się do Rahotepa tak, jakby zwrócił się do każdego oficera. - A ty, cudzoziemcze - popatrzył na Ikarę z nie tajonym podziwem - masz niezłe płuca! Jednakże skąd wiedziałeś, że tamci przybyli, żeby wybrać mięso dla swoich świątynnych diabłów?

Ikarę wzruszył ramionami, po czym odrzekł:

-Z tego, co wiem - wcale nie po to!

Uśmiech Kaya zamienił się w głośny śmiech, któremu zawtórował jego ziomek.

-A więc tak to było, białoskory? Nie sądzę jednak, żeby tym długobrodym podobało się twoje wtracanie.

-Czy ktoryś z was zna Neferusi poza okolica murów i barakiem niewolników? - przerwał im szorstko Rahotep.

Ku jego zdumieniu rudobrody wypchnął do przodu Kuszyte. Zargonem, stworzonym z pomieszania języków, który Egipcjanin z trudem mógł zrozumieć, zachwalał dzikusa z dżungli jako przewodnika.

-Ten tu - on mieszkać w świątyni - on mówić...

Kuszyta przytakiwał energicznie głową, po czym klasnął w ręce. Gdy Rahotep zapytał niezdecydowanie w języku pogranicza:

-To miejsce - wiesz? Gdzie możemy się ukryć - aż ciemno?

Kuszyta zaczął krecić się w kółko w lejącej uliczce, rozdymając nozdrza, jakby okropny odor tego miejsca maskował inny zapach, który chciał wywieszyć. Wachał tak przez dłuższą chwilę, po czym wskazał wyciągniętą ręką w kierunku samego serca miasta. Rahotep zawahał się. Każdy krok oddalający go od zewnętrznych murów zwiększał w nim poczucie, że odcina sobie drogę ucieczki. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że właśnie granice miasta będą przede wszystkim obstawione przez ludzi usiłujących zagnać z powrotem zbiegłych niewolników. Powinni więc raczej przypaść do ziemi gdzieś w tym labiryncie uliczek i zaułków - gdzie żołnierze, chcąc ich odszukać, zmuszeni byłiby

przeszukiwac dom po domu - dopoki ciemnosc nie dalaby im pewnej nadziei na wydostanie sie stad.

Kuszyta tupal niecierpliwie noga i kiwal na nich energicznie. Byl calkowicie pewny swego, ale Rahotep nie wiedzial, dlaczego mialby zaufac komus z. rasy, ktora przez lata kojarzyla mu sie z kazda przebiegla sztuczka i podstepna zdrada znana ludziom. Poniewaz jednak zaufal, z korzyscia dla siebie. Kayowi i Ikarowi, a tamci najwyrazniej chcieli podazyc za dzikussem, wiec sie zgodzil.

Te smierdzace zgnilizna uliczki byly dosyc zatloczone, lecz mezczyzni i kobiety chowali sie z powrotem do swych brudnych chat. kiedy zobaczyli nadchodzacych uciekinierow. Ku zdziwieniu kapitana nie podniosly sie zadne krzyki, nikt nie probowal ich zatrzymac, ani zdradzic ich obecności. Dopiero slowa rudobrodego wyjasnily te dziwna sytuacje.

-Niewolnicy! - Splunal i trzepnal rojace sie wokol nich muchy. - Ich panowie nie przychodzic tu bez mieczy i batow, i strazy za plecami.

Kuszyta wdzial sie coraz dalej w serce tej okropnej dzielnicy nedzy, ktora najwyrazniej pokrywala duzy obszar srodkowej czesci Neferusi. Doprowadzil ich w koncu do drzwi, nad ktorymi wisiala wystrzepiona zaslona, usiana plamami niegdys zywych, lecz teraz juz wyblaklych kolorow, tworzacymi proste wzory, ktore Rahotep rozpoznał jako pochodzace z dalekiego poludnia. Dzikus przyzwal ich ruchem reki, a nastepnie przeslizgnal sie przez zaslone, a oni weszli za nim.

Wewnatrz panowal mrok, niemal tak nieprzenikniony, jak

poprzedniej nocy w magazynie. Przykry zapach nie mytych ciał, zepsutego piwa i niewłaściwie przyrządzanego jedzenia sprawiły, że żołądek Rahotepa podniósł się do gardła. Na stosie mat, oświetlona odrobina światła, przepuszczanego przez małe okienko pod dachem, siedziała kobieta z twarzą przesadnie wymalowaną w groteskową imitację przedłużonych oczu i uszmięgowanych ust dam dworu. Była bardzo gruba, czerwona obcisła suknia wrzynała się pod pachami w walki tłuszczu. Peruka z kreconych, sztucznych włosów poszerzała jej i tak ogromną twarz do monstrualnych rozmiarów.

Kuszyta kucnął przed nią na piętach, paplając w swoim języku i Rahotepowi udało się zrozumieć tylko jedno czy dwa słowa. Ku jego zdumieniu rudobrody śmiało wystąpił naprzód i uśmiechnął się poufale do tej kobiecej góry.

-Nebet - Przy jego akcencie imię to zabrzmiało jak dziwne seplenienie. - A więc ty nadal byś żywa, eh?

Zmarszczyła brwi, co sprawiło, że na jej szerokiej twarzy pojawiła się gradowa chmura, która zniszczyła kilka warstw farby.

-Menon-złodziej-niewolnik-pies-swinia - recytowała te wszystkie epitety, jakby były częścią jego imienia. - Dwie miedziane obrecze! - Wyciągnęła dłoń w zadaniu zapłaty. - Nebet nie je powietrza, nie pije powietrza; gdzie jest to, co jesteś jej winien?

Rudobrody osmielił się pogłaskać ją lekko pod trzecim podbrodkiem, po czym mistrzowsko uchylił się przed ciosem, który mu wymierzyła pięścią tak wielką i ciężką, jak piasek Khetiego. A kiedy się wymknął, wybuchnął śmiechem.

-Dosyc! - wlaczyl sie Ikar, a rudobrody spojrzal na niego, jak prosty zolnierz patrzy na swego Dowodce Piecdziesieciu.

Zeglarz szturchnal Kuszyte noga, zeby zamilkl i spytal Rahotepa przez ramie:

-Co on jej opowiadal, kolego?

Kapitan byl zmuszony potrzasnac przeczaco glowa. Spogladal na to wszystko w oszolomieniu i mial uczucie, ze dowodztwo w tym przedsiwzieciu wyslizguje mu sie z rak, przechodzac w rece Ikara, albo tej kobiety.

-Mowil zbyt szybko. Znam troche ich mowe. ale nie tak dobrze - odpowiedzial po chwili.

-Menonie - Zeglarz zwrocil sie do Rudobrodego takim tonem, jakim pan mowi do slugi. - Kim jest ta kobieta? I co to za miejsce? Byles tu przedtem?

Menon odpowiedzial w obcym jezyku - takim, ktory musieli znac obaj z Ikarem, gdyz zeglarz sluchal uwaznie i potem przetlumaczyl to Rahotepowi.

-To jest miejsce dla tych, ktorzy wola noc od dnia, kolego. Miejsce dla zlodziei, zeby mieli gdzie odpoczac. Nalezy ono do kogos, kto niezbyt chetnie wita Hyksosow. a i oni nie przychodza tu zbyt czesto i nie zostaja dlugo.

Kiedy mowil, kobieta przenosila wzrok z jednej twarzy na druga. Rahotep byl przekonany, iz jej oczy tak przywykly do otaczajacego ja mroku, ze widziala po ciemku rownie dobrze jak

Bis. W tej chwili wpatrywała się w niego bacznie - zbyt bacznie - i to z przenikliwością, która wcale mu się nie podobala. Miał wrażenie, że w myśli ubiera go w mundur oficera gwardii. I przysiągłby, że zauważyła zdradziecki fragment jaśniejszej skóry na jego palcu i ślady zostawione przez naramienniki między łokciem a ramieniem.

Kiedy jednak uniosła swą wielką rękę, z niedorzeczną delikatnością zginając palec, żeby go przywołać, przesunął się do przodu, jakby była sama królewska matka.

-Szukacie schronienia? - O dziwo, ostry ton, którym wymyślała Menonowi zniknął z jej głosu, a jej wymowa była niemal pozbawiona polnocnego akcentu, zbliżona do języka używanego w Tebach i kapitan pomyślał, że w jej żyłach płynie czysto egipska krew.

-Tak, pani - zwrócił się do niej tak, jak do kogoś ze swojej warstwy, nieswiadomie oddając hold temu głosowi.

-Na jak długo? - odezwała się urzędowo, jak właścicielka kwatery.

-Prawdopodobnie do północy. - Miał nadzieję, że nie będzie tu dłużej. Jednak w sytuacji, gdy miasto było poruszone jak wioska Kuszytów po oblężeniu, nie mogło to być nic więcej niż nadzieja.

-Jeśli was tu wytropią, musicie radzić sobie sami - powiedziała opryskliwie. - Ja mam zamiar powiedzieć, że siła wtargnęła do bezbronnej kobiety.

Menon prychnął głośno i grubiańsko, a ona przerwała, by spojrzeć na niego z uniesioną pięścią obiecującą późniejsze

porachunki.

-Czy oni często tu przychodzą? - zainteresował się Rahotep.

Nie było potrzeby dodawać nazwy do tego "oni" - oboje aż nazbyt dobrze wiedzieli, o kogo chodzi. Rozesmiała się głośno.

-Niezbyt często, młody panie. O tak, robią oblężenie od czasu do czasu, żeby odszukać niewolników, albo zdobyć mięso dla swojego boga.

-Poruszyła się niespokojnie i zrobiła starodawny znak palcami, by odpedzić demony. - A kiedy przychodzą, to duża grupa. Na szczęście, biedna, stara Nebet ma takich, którzy ją ostrzegają. Domaga się też ona rzetelnej zapłaty - po raz drugi spojrzała na Menona - a nikt z was nie nosi żadnego "złota mestwa", by móc zapłacić chociażby za dzban piwa. - Zmierzyła lekceważącym wzrokiem ich skąpe, niewolnicze lachmany.

-Święta racja! - zgodził się Ikar. - Jednak czy sama nie powiedziałas, że jesteśmy zdesperowanymi i złymi ludźmi, którzy siłą wdarli się do mieszkania słabej i bezbronnej kobiety?

Obrocila się z marsem na czole do zeglarza, ale nie udało jej się powstrzymać śmiechu i następne warstwy farby popekały, kiedy zaczęła się tak śmiać, że aż jej zwaliste ciało trzesło się bezradnie.

-Tak właśnie zrobiliście! - wysapała. - Tak zrobiliście! A na dodatek poruszyliście ich tak, jakbyście wrzucili między nich gniazdo wściekłych os, chyba, że ten tu opowiada kłamstwa większe niż on sam.

-Wyciagnęła do przodu pekata stopy, by jej pomalowanymi paznokciami wskazać Kuszyte. - Świetnie, wojownicy, weźcie mnie do niewoli i robcie, co chcecie. Nie mogę oprzeć się waszej wściekłości i sile!

-Z udawaną wstydliwością zakryła twarz rekoma i zachichotała, lecz szybko spojrzała znów w górę, by warknąć na Menona, który podszedł do polki i beczelnie sięgał po dzban z piwem.

-Posun się za daleko w swoim plądrowaniu, swiniopasie, a poczujesz ciężar mej ręki. zanim twoja szyja rozleci się na kawałki! Są jakieś granice dobrej woli Nebet i rozdawania jałmużny.

Nic zrobiła jednak żadnego ruchu, żeby go powstrzymać, kiedy przelewał zawartość dzbana do czaruki i wręczał ją z pewną szorstką ceremonialnością Ikarowi, który z kolei podał ją Rahotepowi. Napój był cienki i kwasny, lecz był to jednak jakiś płyn i ochłodził ich gardła. Kapitan przelknął kilka łyków i przekazał czarce żeglarzowi, który wypił jej zawartość jednym haustem, wycierając potem usta wierzchem dłoni.

-Mężczyzna napelnia swój brzuch czymś więcej, niż tylko piwo - napomknął Ikar. - Mamy żeby. żeby wypróbować je na czymś twardszym.

Przez chwilę Rahotep myślał, że Nebet ponownie wybuchnie gniewem. Zamiast tego klasnęła w ręce, przywołując pomarszczoną wiedźmę z plemienia Kuszytów, która wysłuchiwała poleceń wydanych w jej własnym, brzekliwym języku i zniknęła, by po chwili pojawić się z tacą wypełnioną krazkami jałowego ciasta, przejrzalymi daktylami i śmierdzącym serem. Pochłoneli

to z wilczym apetytem. Choc niewyszukane, jedzenie to bylo jednak nieskonczenie lepsze niz strawa niewolnikow. Kay czknal i pogladzil pieszczotliwie swoj brzuch, kiedy skonczyl jesc.

-Nie jest to slodkie mieso mlodej gazeli, ani tluszcz kozla, kiedy jest na niego sezon; nie ma tez kolb kukurydzy. Wystarczy jednak, by wypelnic czlowieka miedzy skora na brzuchu a kregoslupem - zauwazyl. - Tylko ciekawe, co ta stara wiedzma chce od nas w zamian?

Nebet musiala albo posiadac magiczna moc. ktora jej przypisal, albo nadzwyczajny sluch, gdyz wpatrzyla sie w Nubijczyka ze swego stosu mat i zasmiala zlosliwie.

-Nazwales Nebet "stara wiedzma", nieprawda, czarnoskory? Zwazaj na swe maniere, bo pokaze ci ona, jaka jest czarownica!

Kay probowal pokonac ja wzrokiem. Jednak krecil sie przy tym niespokojnie i po chwili dodal ugodowo:

-Wiedzma jest kobieta o wielkiej mocy, o pani. Czy tak nie jest? Powiedzialbym nawet, ze w tym miescie ty jestes kobieta, ktora ma wladze. Jednakze pytam cie. co chcesz od nas w zamian?

-Powiedzmy, ze zagralam w patyczki z przyszloscia, lub ze jestem bajarka - zwrocila sie do Kaya i Rahotepa. - W tym miescie sciany maja uszy i, jak ta ropucha z poludnia przyznala, Nebet ma wladze - dostateczna, zeby zebrac to, co te uszy uslysza. Dzisiaj byla to dziwna opowiesc o obcym, ktory dostal sie do Neferusi, zeby szpiegowac. Przybyl jako niewolnik, ale w rzeczywistosci jest tym, ktory unosi sie w powietrzu i obserwuje Wielkim Okiem.

Rahotep zmartwiał. Archaiczne słowa obrzędu Horusa uderzyły go niczym powiew tego wilgotnego chłodu, który zapamiętał z lochów świątyni. Horus - Sokół - Wielkie Oko!

-I ten ktoś przybywa jako strzała lecąca przed armią, bo chodzą słuchy, że bicz królewski jest w gorze i faraon ponownie wyruszył przeciw swoim odwiecznym wrogom. - Słowa te wypowiadała śpiewnie, jak robią to bajarki do wrotu harfy, a jej palce przesuwają się po masywnych kolanach, jakby szarpały struny niewidzialnego instrumentu. - Jednak Syn Re powinien wejrzeć w swe własne szeregi w poszukiwaniu wrogów, gdyż gnieźdzą się tam oni jak robaki wewnątrz owocu! Władca Dwoch Krajów ma swoich wojowników i dostojników, którzy dla niego walczą, lecz są jeszcze inni. którzy powinni przypomnieć sobie, gdy nastanie właściwy dzień, że pochodzą ze starych rodów i że synowie Seta zbyt długo już tu siedzą niepokojeni.

-A jeśli ktoś dostarczy broni tym, o których mówisz? - zapytał cicho Rahotep. - Nawet tu, w mieście Neferusi, można to przeprowadzić, co wtedy?

-Mamy niewiele do stracenia, oprócz życia.

-Jednak - wtracił się Ikar - dla większości ludzi życie jest dostatecznie słodkie. Niewielu wita śmierć uśmiechem.

-Śmierć? - Zamysliła się przez chwilę. - Powiedz mi, młody panie, czy przysięga wojownika nie głosi tego?

Niespodzianie powtórzyła te same słowa, które kapitan wypowiedział do Methena wiele tygodni temu w nubijskim forcie:

-Walcz w jego imieniu, oczyszc się przez jego przysięgę, a będziesz wolny od trosk. Ulubiency faraona będą błogosławieni; lecz nie znajdźcie się grob dla wroga jego majestatu, a ciało jego cisnięte zostanie do rzeki.

-Przemawiasz jak dowódca setni, pani - powiedział z niedowierzaniem.

-W tej części Nelerusi jestem Dowódca Tysiaca - mówiła z całkowitą pewnością siebie. - Zmija saczy jad w uszy Hyksosów; miejcie się na baczności, inaczej zatopi zęby w ciele faraona! Jeśli jednak jakiś nienawidzący Hyksosów dostojnik pragnie włożyć bron w ręce pewnych ludzi wewnątrz tego miasta, to niech się pośpieszy i potem już tylko obserwuje krwawę zniwa! Pamiętaj o tym, panie!

-Bądź pewna, pani, że będę pamiętał. Wpierw jednak musimy wydostać się z Neferusi.

Ku jego rozczarowaniu pokręciła przecząco głową.

-Nie jestem tak pozbawiona rozumu, żeby narazić tych, którzy mi służą, bez nadziei, że otrzymają coś w zamian. Dostałeś się jakos do tego miasta: musiałeś więc mieć też plan, jak się z niego wydostać. Działaj według niego, panie, własnymi siłami. Pamiętajcie, jesteście zdesperowanymi mężczyznami, którzy narzucili się bezradnej Nehet - ostatnie słowa przeciagnęła tak, że zabrzmiały jak jęk.

Było jednak jasne, że miała na myśli dokładnie to, co powiedziała. Kiedy opuściła ten dom, Nebet nie zrobił nic więcej, by im pomóc.

16. Ucieczka

Nie było księżycy i Kuszyta, w obawie przed nocnymi demonami, od których, jak wiadomo, roi się w takich ciemnościach, protestował przeciwko opuszczeniu domu Nebet - a raczej tego bardzo zagraconego składziku, w którym uciekinierzy zostali ukryci na długie godziny popołudnia i część nocy. Rahotep byłby zupełnie zadowolony, mogąc go zostawić, lecz ponieważ był on najwyraźniej jedynym spośród zbiegów, znającym na tyle dobrze wewnętrzny labirynt dzielnicy biedoty, by służyć jako przewodnik, więc trzeba było go do tego zmusić. Wiedza Menona na temat miasta ograniczała się do najbliższego otoczenia domu hyksoskiego wielmoży, gdzie był niewolnikiem, dopóki nie zbuntował się i nie wylądował przy cięższej pracy na murach. - Menon jest przydatnym chłopem, kiedy popadnie się w tarapaty - zwierzył się na osobności Ikar Rahotepowi. - Wiem coś o tym, bo był moim sternikiem, dopóki te hyksoskie małpie pyski nie posłały nas na targ, by nas sprzedać. Nie zawaha się skreślić komuś karku w słusznej sprawie. Zmartwiłem się, kiedy nas rozłączyli i posłali go na południe parę miesięcy temu. Tak, potrafi dzielnie radzić sobie w walce, lecz ktoś musi mu wydawać rozkazy. Kiedy zaczyna sam myśleć, zawsze w coś się wplata. A ten Kuszyta to dzikus. Pracowałem z nim już przedtem w jednej brygadzie i nawet nadzorca obserwował go kątem oka. Nie można im całkiem ufać, tym czarnym diabłom!

Rahotep zgodził się z tym i wyznaczył Kaya do pomocy w pilnowaniu Kuszyty, tak żeby ten nie mógł im się wymknąć w labiryncie śmierdzących uliczek i wpakować ich w kłopoty. Nubijczyk, wiedziony zakorzenioną nieufnością wobec sąsiada z południa, założył petle na chuda szyję tamtego i spokojnym

glosem wyrecytował mu, co go spotka, jeśli będzie próbował robić jakieś sztuczki.

Kuszyta prowadził ich, cały czas mamroczać pod nosem protesty przemieszane z zakleciami przeciw nocnym demonom i modlitwami do bogów starszych i mroczniejszych niż Set. Za nim podawali ramie w ramie Kay i Rahotep, trzymając go na linie niczym psa myśliwskiego. Niektóre z tych zaułków były tak wąskie, że ich ramiona ocierały się nieraz o ściany domów, kiedy ślizgali się po cuchnacym błocie. Żeby się nie zgubić, Menon zahaczył rękę o sznur wokół pasa Rahotepa, a Ikar z kolei podobnie trzymał się jego. Drugi Nubijczyk. Nesamun, pełnił rolę tylnej strazy.

Ich uzbrojenie stanowiły cztery sztylety - trzy zdobyte w czasie rozruchów, a czwarty wyproszony od Nebet, która rozstała się z nim bardzo niechętnie i otwarcie odmówiła im zarówno dostarczenia innego przewodnika zamiast Kuszyty, jak i udzielenia jakiegokolwiek dalszej pomocy. Dodatkowa broń miał stanowić sznurek, który Nesamun owinał sobie wokół dłoni. Przysięgał on, że zna pewną starą sztuczkę, za pomocą której usuwał kiedyś na granicy kłopotliwie rozmieszczonych wartowników. Tej nocy Rahotep był dostatecznie zdesperowany, by odsunąć na bok swoje skrupuły co do tej metody.

Przeszkolenie zwiadowcy nauczyło kapitana sztuki cichego przemieszczania się, także Nubijczycy i Kuszyta byli bezgłosnymi cieniami, które szybowały raczej, niż szły. Gorzej było z Menonem. który już dwukrotnie wpadł w jakieś dziury, przeklinając przy tym dość głośno w dziwnym języku, dopóki nie uciszyło go ostrzegawcze szturchniecie Ikara. Żeglarz z kolei zderzył się całym rozpedem z posuwającą się przed nim grupą,

kiedy ci zatrzymali się u wylotu uliczki na szerszą drogę, równoległą do murów miasta.

Dzielnica, w której Nebet miała swoją norę, była niemal zupełnie ciemna i bez Kuszyty na pewno by się tam zgubili. Jednak tu, gdzie się teraz znaleźli, wyglądało zupełnie inaczej. Wzdłuż murów w pewnych odstępach paliły się pochodnie i Rahotep dostrzegł poruszających się ludzi, zarówno ponad, jak i pod nimi. Wiedział, do jakiego punktu musi dotrzeć. Obawiał się jednak, że błąd mieli niewiele pożytku z jego początkowego planu, gdyż rozruchy na pewno postawiły Hyksosów w stan pogotowia.

Cały czas podążał ślepo za Kuszytą. Teraz jednak stwierdził, że znaleźli się zbyt blisko bramy. Miejsce, które on i Kheti ustalili wcześniej, znajdowało się bardziej na północ, o jedną czwartą obwodu muru dalej. Prowadzone w tamtej części naprawy i przebudowa muru zmusiły Hyksosów do wzniesienia krótkiej rampy, tak żeby można było podźwignąć znajdujące się na dole kamienie o sporym ciężarze. Była ona bardzo prymitywna i zaczęto ją już rozmontowywać. Człowiek nie mógłby się na nią wspiąć, nawet w nocy, nie będąc natychmiast zauważonym przez wartownika. Człowiek nie. ale...

Rahotep zrownał się z Kuszytą i zbliżył usta do jego ucha. W brzekliwym języku wydał rozkaz, który powinien - jego zdaniem - doprowadzić ich na właściwe miejsce. Przewodnik zaskrzeczał w protestie, z którego kapitan prawie nic nie rozumiał i który zakończył się zdławionym westchnieniem, gdy Kay szarpnął linę, na której go prowadził. Teraz z kolei Nubijczyk przybliżył głowę do ucha Kuszyty i sucho dodał coś do rozkazu kapitana, aż tamten zaczął się trząść.

Jeczac cicho, skrecil w lewo, a ich niewielka grupka rozciagnela sie w polmroku, posuwajac sie na przemian szybkimi skokami i zatrzymujac na dluzsza chwile w co bezpieczniejszych obszarach. Rahotep, spodziewajac sie w kazdej chwili, ze ktos ze szczytu muru wezwie ich do zatrzymania sie. patrzyl w gore z takim skupieniem, ze niemal nie zdawal sobie sprawy z tego, co mija na wlasnym poziomie, chociaz Kay ostrzegl go juz dwukrotnie goraczkowym szeptem.

Przez chwile stali na wysokosci wlasciwego - jak mu sie zdawalo - punktu. Znajdowal sie on pomiedzy dwoma obszarami oswietlonymi przez pochodnie i nie moglo tu byc wiecej niz dwoch wartownikow, gdyz mur zwezal sie w tym miejscu ukosnie ku gorze, zostawiajac na szczycie niewiele miejsca. Rahotep przeskoczyl przez otwarta przestrzen i przycisnal sie do powierzchni muru, starajac sie jak najbardziej rozplaszczyc cialo. Nasluchiwal czujnie dzwiekow dochodzacych z ciemnosci.

Wolanie jednego wartownika do drugiego nioslo sie przez noc. a Rahotep jeszcze mocniej przycisnal sie do kamienia, kiedy uslyszal ten sam glos tuz nad swoja glowa. Potem dobiegl go lekki chrobot sandala na kamieniu i gluchy odglos - odglos stapienia maszerujacego czlowieka postukujacego drzewcem wloczni, zeby nie zasnac. Rahotep widzial to i slyszal niezliczona ilosc razy w wykonaniu innych wartownikow, ktorzy w ten sposob starali sie zabic nude dlugich, spokojnych godzin.

Kapitan jeszcze dwukrotnie slyszal go przechodzacego ponad swoim stanowiskiem i zmierzyl mu czas biciem swego serca, ktore w tej chwili podeszlo mu do gardla. Nie byl to staly posterunek: rewir tego czlowieka siegal po kilka metrow w przod i w tyl od krytycznego miejsca. Rahotep mial nadzieje, ze Ikar i

reszta obserwują wartownika z drugiej strony ulicy.

Straznik osiągnął środkowy punkt swojej trasy i teraz, jak kapitan sądził, oddalał się od niego. Egipcjanin ułożył odpowiednio usta i z jego gardła wydobył się krzyk, który wielokrotnie tak starannie ćwiczył na pustkowiu za Neferusi. Dwukrotnie wydał ten dźwięk, który wydawał się zupełnie naturalny w każdym egipskim mieście. Wartownicy musieli już tylekroć słyszeć go w nocy. że nie powinien wzbudzić ich zainteresowania, gdyż domowe koty w Egipcie były zdolne do wykonywania takich piosenek. Tylko - czy odpowie mu teraz właściwy kot?

Czekał w napięciu, z palcami wczepionymi w ścianę, koncentrując myśli i siły. Az w końcu usłyszał to, co miał nadzieję, w co ledwie osmielał się wierzyć, że usłyszy - aż nadto realistyczne, niesamowite, wibrujące kocie zawołanie, z którego Kheti był wyjątkowo dumny.

Wyobrażał sobie każde posunięcie, które musiało być wykonane po drugiej stronie muru. Kheti spuści teraz Bisa ze smyczy. Przedtem owinał już jego ciało liną. zostawiając jej koniec w swoich rękach. Bisowi wydadzą odpowiedni rozkaz i miękkie łapy lamparta bez szmeru wbiegną po kamieniach rampy, przechodząc bezgłośnie tam, gdzie ciężar człowieka przyciągnąłby uwagę warty. Bis będzie wspinał się płynnie, z pełną gracją charakterystyczną dla swojego gatunku, potem skuli się na murze, potem...

Cos poruszyło się na tle światła pochodni i skoczyło w powietrze. Potem dał się słyszeć głuchy odgłos upadającego ciała - nie przy murze, lecz na otwartej przestrzeni. Rahotep pośpiesznie swisnął, mając nadzieję, że lampart mimo swojej niechęci do

obcych nie zaatakujcie ukrytych tam ludzi.

Przez ulice przemknęło coś czarnego i chwilę później puszyste ciało rzuciło się na kapitana z chrapliwym pomrukiem, wyrażającym radość z rozpoznania go. Rahotep głaskał okrągłą głowę, szeptał przyjaźnie w sterczące uszy, klekając jednocześnie na kolana, tak by znajomy łeb mógł się przytulić do jego piersi. Znalazł koniec liny przymocowany do obroży kociaka i okrecony dla pewności wokół jego ciała. Rozsupływał właśnie węzły, gdy na szybkie szarpnięcie liny nadeszła odpowiedź z zewnątrz. Ryzykowna drabina prowadząca na drugą stronę murów Neferusi była w jego reku!

Bis warknął, kiedy jakaś postać przebyła dwoma skokami ulicę i dołączyła do nich. Ikar odezwał się głosem, który zabrzmiał niemal jak skrzywienie, gdyż starał się szeptać.

-Ruszamy zaraz, Egipcjaninie? Śmierdzi mi tu kłopotami. Lepiej, żebyśmy już byli w drodze.

-Jest jeszcze warta... - Rahotep spojrzał w górę na szczyt muru. Ikar jednak odwrócił się i kiwnął reka. Pozostali przyłączyli się do nich, ale Kuszyta tylko dlatego, że Kay szarpał sznur, który nadal znajdował się na jego szyi. Rahotep zaprowadził ich do liny, na którą mieli się wspiąć, przytrzymując Bisę. Kiedy ten chciał czynnie zaprotestować przeciw obcym. Nesamun zachichotał.

-Następne zadanie należy do mnie, panie! - Wsunął sobie do ust swój sznurka, który trzymał w ręce i sięgnął po linę. Potem zaczął się wspinać, podczas gdy pozostali skulili się u jej końca.

Nubijczyk wybrał odpowiedni czas. W tej chwili wartownik oddalał

się od niego, a wzdłuż murów Neferusi płynęły w języku Hyksosów kolejne wezwania od jednego strażnika do następnego. Jednakże ten strażnik nie miał nigdy odbyć powrotnej drogi. Ciemna postać wynurzyła się nagle za nim i wykonała szybki ruch. Jego dzida stuknęła o kamień, podczas gdy ramiona machały w powietrzu, a potem opadły bezwładnie. Chwilę później mężczyzna znowu maszerował po murze, lecz Rahotep nie miał się czego obawiać ze strony tego nowego strażnika. Kapitan dał Ikarowi sygnał, klepnawszy go w plecy, i żeglarz zrezygnacyjnie zaczął wspinac się po linie, przyzwyczajony widac do niepewnego oparcia i wysokości ponad pokładem statku.

Potem kapitan zajął się Bisem. Ze zwisającego końca liny zrobił rodzaj szelek, które założył mu na przednią część tułowia, po czym szarpnął sznur. Prychający i warczący lampart został wciągnięty na górę. Dobięgly stamtąd ostre okrzyki, jakby tamci na murze mieli jakies trudności z uwolnieniem kociaka z petli. Po chwili lina znowu zwisala luzno. Kay sciagnal sznur z szyi Kuszyty i zagadal do niego w jego własnym języku, na co ten oddalil się w mrok. Bylo jasne, że nie chce się przyłączyć do ich poczynan poza murami miasta.

Menon i Nubijczyk szybko podążyli w ślady Rahotepa, kiedy ten wspinał się po linie. Na szczycie powitał ich Ikar, gdyż Nesamun nadal odbywał obchód wartownika.

-Twoj kot zbiegl z muru, kiedy wyprobował juz na nas swoje pazury - poinformowal Rahotepa. Czy pojedziemy teraz za nim?

-Tak. Tylko bedzie lepiej, jak ja pojde pierwszy. Ci, ktorzy czekaja na dole, spodziewaja sie jednego czlowieka, nic pieciu.

-Swietnie.

Rahotep zeslizgnal sie na dol po drugiej czesci liny. Wpadl w otchlan ciemnosci tak geste, ze mial wrazenie, jakby zostal pochloniety przez pieklo rzadzone przez Seta. Jakies ramiona zacisnely sie wokol niego, ulatwiajac mu przebycie ostatniego odcinka drogi, po czym uslyszal miekki smiech Khetiego.

-A wiec powracasz bezpiecznie z jaskini Iwa. bracie! Chyba zaden z Egipcjan w naszym obozie nie wierzył, ze mozna tego dokonac.

-Tak. wracam - ja i inni! Stan obok, zeby im pomoc. Szarpnieciem liny dal znak i pozostali uciekinierzy jeden po drugim do nich dolaczali. Potem wyruszyli w droge - kazdy z lucznikiem u boku w charakterze przewodnika. Szli przez rowy irygacyjne, wyschniete ogrody, pod scianami willi, wykorzystujac kazda oslone, ktora zwiadowcom udalo sie wyszukac podczas dlugich godzin oczekiwania, az dotarli na obrzeze pustyni, a tym samym na szlak prowadzacy z powrotem do obozu.

-Faraon przybyl. - Kheti relacjonowal nowiny, kiedy ukryli sie na chwile. - Phi, ten patrol Hyksosow porusza sie jak stado sloni, slychac ich na kilometr! - Polozyl sie obok Rahotepa w blotnistym kanale, do ktorego saczyla sie woda z Nilu. gdyz uslyszal grupe ludzi poruszajacych sie ostroznie, ale i tak ze zbyt wielkim halasem, w odleglosci polowy pola od nich.

-Faraon przybyl i mowi sie o bitwie. Niestety, rzeka przybiera szybko i wktrotce zaleje pola. Czy czlowiek moze walczyć, stojac po pas w wodzie, panie? Tego jeszcze nie probowalismy.

-Modlmy sie do Wielkich, zebysmy nie musieli! Odeszli juz dostatecznie daleko. Chodźmy! - Rahotepa ogarnela niecierpliwosc, by zlozyc swój raport. Skoro faraon byl w obozie, to faktycznie zostalo niewiele czasu i armia z pewnoscia przygotowuje sie juz do wyruszenia.

Faraon musi miec niejeden powód, zeby lubic sluzbe w polu. myslal Rahotep kilka godzin pozniej, kiedy bliski wyczerpania zostal zaprowadzony do krolewskiego namiotu. Ograniczony sztywnym ceremonialem, zarowno jako wladca w krolewskim miescie, jak i w czasie obowiazkowej podrozy przez kraj, tylko w obozie wojennym uwalnial sie w pewnym stopniu od dworskiej etykiety i konwenansow. Kiedy Rahotep stanal przed nim, ujrzal nie straszego, polboskiego wladce, lecz pelnego entuzjazmu oficera, ktorego pamietal z pierwszego spotkania na nabrzezu w Tebach.

-I tak to bylo - skonczyl swa relacje z pobytu w Neferusi i dodal jeszcze wlasne sugestie na temat sposobu wdarcia sie Egipcjan do tej najbardziej na poludnie wysunietej fortecy Hyksosow.

Ostateczna decyzja - jak zreszta kazda decyzja - nalezala wylacznie do faraona. Jednakze Kamose zebral grupe doradcow z wojsk ladowych i marynarki, ktorzy reprezentowali najlepsze sily jego okupowanego i bardzo okrojonego panstwa. Oprócz generala Amony'ego znajdowal sie tu jeszcze drugi "Dowódca Sztandarow" - Thesh, który w miare skutecznie dawal sobie rade z Beduinami z zachodnich pustyn. Nawet do Nubii dotarla jego slawa jako wojownika swietnie radzacego sobie w skrajnych warunkach. Ludzie z nadgranicznego patrolu mieli dla niego wielki szacunek, chociaz rzadko sie go spotykalo na oficjalnych zgromadzeniach.

Był chudym jak szczapa mezczyzna, miał sucha od słońca skóre i haczykowany nos, który wystawał mu spod turbana - nakrycia głowy nomadow. Przypominał więc swym wyglądem właśnie tych wrogów, przeciw którym toczył przez całe życie wojnę w obronie Górnego Egiptu. W tej chwili wyraźnie nie mógł znaleźć sobie miejsca, jego oczy były w ciągłym ruchu, jakby jasne ściany namiotu ograniczały go w jakiś sposób. Najchętniej opuściłby je i odszedł.

Trzecim doradcą był Meniptah - oficer marynarki, pod którego spokojną, lecz stanowczą kontrolą znajdował się zarówno transport zaopatrzenia i przewóz ludzi w górę Nilu, jak i flota niewielkich okrętów wojennych, przeznaczonych do zakłócania żeglugi Hyksosów oraz nekania nadrzecznych miast. Zwalisty Meniptah wyglądał na sennego, a jego umysł zdawał się być zajęty jakimiś odległymi sprawami, dopóki nie wystrzelił z kilkoma dociekliwymi pytaniami, które były w stanie zaskoczyć nieprzygotowanych - tak jak to zrobił teraz.

-A więc mają to być wozy z trybutem, tak? Teraz jednak nie jest pora na składanie daniny, kapitanie. Rolnicy będą wkrótce siac, nie zac.

-Mówiono w Neferusi, panie - odparł Rahotep z szacunkiem, lecz nie dał się zbici z tropu - że najeźdźcy wygarniają z magazynów wszystko, zostawiając jedynie niezbędne minimum, ponieważ lada moment mają przypuścić atak na wschód, gdzie mieszkańcy gór zagrażają ich azjatyckim posiadłościom.

-A ty widziałeś te wozy wjeżdżające do Neferusi? - naciskał komandor.

-Tak. panie. Podczas mej pracy na murach naliczyłem dwadzieścia, w trzech karawanach strzeżonych przez male oddziały Beduinów pod dowództwem hyksoskiego oficera.

-Beduinów... - Kamose zerknął na Thesha.

-Wynajmują wojowników Hyksosom. kiedy potrzebują stawy dla swych brzuchów. Synu Re - oficer odpowiedział na to nic wypowiedziane pytanie. - Jeśli jest to kwestia wysłania oddziału w przebraniu Beduinów. to nie ma problemu.

Rahotep starał się nie okazywać podniecenia, które ogarnęło go w obliczu obietnicy uzyskania poparcia od takiego generała, jak Thesh. Zaczęły go jednak nachodzić obawy, że przedsięwzięcie może mu się wymknąć z rąk i nie będzie nawet mógł brać w nim udziału. Obawy te stały się uzasadnione, gdy włączył się książę Ahmose.

-Jest sposób, żeby przedostać się przez te mury. Uzbrojeni niewolnicy wewnątrz miasta mogą spowodować takie zamieszanie, że nieprzyjaciół będzie błyskawicznie unieszkodliwiony. Można unieruchomić jeden wóz w połowie drogi przez wewnętrzną bramę, tak żeby nie mogli jej zamknąć.

Amony rozesmiał się i rzekł:

-Młoda krew, młoda krew! Jednak zgadzam się z tym. Synu Re - zwrócił się do Kamosego. - Na wielkie bitwy musimy poczekać; nie możemy mieć nadziei, że zdobędziemy Avaris w jeden dzień. A nie mamy ludzi, żeby ich tracić w obleżeniu lub otwartym ataku na dobrze bronione miasto. Dlatego musimy kasac raczej z ukrycia, jak zmija, a nie otwarcie jak lew. dopóki nic będziemy

miec za plecami takich sil. ze wiele mil stad Apophis ujrzy chmure kurzu wzbijanego przez nasze maszerujace wojska.

-W takim razie popierasz ten plan? - spytal faraon.

-Ja popieram kazdy plan, ktory ma chocby najmniejsza szanse powodzenia. Synu Re. potrzebujemy zwyciestwa - za wszelka cene! Zdobadzmy Neferusi, a wtedy ci nomarchowie, ktorzy powatpiewajaco krecili glowami, zaciagna pod Twoje sztandary swoje setnie. Tak, juz teraz sa w zasadzie zdrajcami, gdyz nie podniesli sie na wezwanie wielkiej pieczeci. A gdy odniesiemy zwyciestwo, nie beda mieli zadnego usprawiedliwienia! Na szczescie, ten plan nie wymaga wielkiego nakladu sil. Stracimy co najwyzej jedna kompanie. Ostrozni nie wygrywaja wojen: trzeba czasem te ostroznosc uzbroic w smialosc, kiedy zajdzie taka potrzeba!

-Thesh? - faraon zwrocil sie do drugiego generala.

-Bylem swiadkiem, jak udawaly sie bardziej szalencze akcje. Synu Re. Dzieki waszemu kapitanowi nic wdajemy sie w to na slepo. Spokojnie mozemy zaryzykowac jedna kompanie.

-Meniptah?

Tegi oficer marynarki wzruszyl ramionami, po czym odpowiedzial:

-Gdyby to mialo byc zrobione z woda pod kilem, wtedy ruszylbym szczekami na tak lub nie. ale to nie jest moja dziedzina. Powiem tylko tyle: musimy miec Neferusi w swoich rekach, zanim osmielimy sie wyruszyć w dol rzeki. Jest to punkt zborny Hyksosow na poludniu. Pozostawic je niezdobyte, to tak jakby

wsadzić rżep pod ogon dzikiego konia: nie możemy sobie na to pozwolić!

Amony ponownie się uśmiechnął.

-A kiedy, Meniptahu, zacny kapitanie statków, przejąłeś także szkolenie dzikich koni? Niemniej jednak, w tej sprawie, przemawiasz językiem bogini Maat. Nil podnosi się; wkrótce nie będziemy już w stanie zaatakować - chyba, że pograzymy się po szyję w błocie. Dlatego, jeżeli mamy zdobyć Neferusi, musimy to zrobić od razu. A ten plan z wozami z daniną ma swoje zalety.

Książe Ahmose naciągnął arkusz rozwiniętego przez nich papiirusu i przypiął go do podłogi. Generalowie razem z księciem usiedli wokół niego po turecku na matach, podczas gdy faraon siedział na taborecie, którego wysokość zmuszała go do ciągłego pochylania się, żeby móc śledzić trasę pokazywaną przez brata końcem pałeczki.

-Wyruszy pięć kolumn do wspólnego celu - miasta. Dostojny Meniptah ma dość środków transportu, by przewieźć ludzi tutaj i tutaj. - Dźgnął mapę w dwóch miejscach na łuku utworzonym przez rzekę. - Popłyną oni na trzciniowych tratwach ciągniętych przez wiosłowe łodzie. Na dany sygnał przetną liny i skierują się do brzegu. Jesliby nawet ktoś ich śledził, to do ostatniej chwili będzie przekonany, że mają zamiar minąć Neferusi.

-Dostojny Thesh uderzy od wschodu, z pustyni - jedna kolumna.

Musi on również dostarczyć nam stroje Beduinów.

-Nam? - zapytał spokojnie Kamose.

Przez chwile jego energiczny mlodszy brat byl najwyrazniej zmieszany i wygladal na swoj mlody wiek. Potem odpowiedzial z moca, z jaka tylko Amony moglby kwestionowac rozkaz.

-Synu Re, domagam sie praw krolewskiego syna. Pierwszy atak musi byc poprowadzony przez najstarszego ksiecia, jak kaze tradycja!

Nie mowil tego wyzywajaco, lecz z pewnoscia kogos wyrazajacego swoje stanowisko. Rahotep wiedzial, ze byl on zwolennikiem tego starodawnego zwyczaju. Chociaz zylo tylko dwoch meskich potomkow krolewskiego domu w Tebach, bylo nie tylko prawem Ahmosego. ale i jego obowiazkiem, poprowadzic pierwszy atak na Neferusi pod swoim sztandarem.

-A ja, Krolewski Synu - zwracajac sie w ten sposob. Amony swiadomie przyznal mu to prawo - mam zblizyc sie z poludnia?

-Faraon natrze z poludnia - Kamose odpowiedzial z tym samym spokojnym przekonaniem, co jego brat chwile wczesniej. - Panowie, jestesmy wszyscy swiadomi, ze Neferusi moze stac sie poczatkiem lub koncem naszej sprawy, chociaz jest to tylko niewielkie miasto, ale jest to zarazem najdalszy posterunek Apophisa na poludniu. Jesli Wielcy patrzy na nas laskawie, to zdobedziemy i oczyscimy Neferusi z obcych diablów. Gdyby jednak tam sie nam nie powiodlo, to bedziemy skonczeni, gdyz nasza armia rozplynie sie i za naszego zycia nie bedziemy juz w stanie powtornie stawic czolo Apophisowi i jego watahom na jakimkolwiek polu. Wydaje nam sie. ze plan ten jest dobry. Wszak nikt nie potrafi przewidziec wszystkich zwrotow akcji, wiele wiec bedzie zalezalo od zdolnosc poszczegolnych dowodcow. Zaczniemy wymarsz przed zachodem slonca; wody

Nilu nie beda czekaly na dogodny dla nas moment.

Kiedy spotkanie dobiegalo konca. Rahotep przysunal sie do Ahmosego. Wciaz nie byl pewny swojej roli w zblizajacym sie ataku. Wazac sie na ogromna smialosc, przemowil pierwszy.

-Krolewski Synu. jesli pozwolisz, domagam sie prawa uczestnictwa w grupie, ktora wejdzie do Neferusi z wozami - wypalil.

Szerokie wargi ksiecia cofnely sie w usmiechu z wystajacych zebow, co nadalo mu podobienstwo do rozbawionego Kuszyty.

-A jakby moglo byc inaczej, kuzynie? Potrzebuje przeciez oczu, ktore byly tam juz wczesniej, by pomogly dostrzec slabe punkty. Zbierz szybko swoich ludzi - Pustynnych Zwiadowcow i moze tych niewolnikow, ktorych wyprowadziles z miasta, jezeli mozesz im zaufac. Dwudziestu zdecydowanych ludzi moze narobic wiele zamieszania, kiedy uderza znieenacka. Dopilnuj, zeby twoi ludzie zostali dobrze nakarmieni i wzieni swa najlepsza bron. Byli niewolnicy niech wybiora u kowali taka bron, jaka najbardziej im odpowiada. Zbieramy sie za linia koni o dziesiatej i wtedy zobaczymy, co z wyposazenia jest nam jeszcze potrzebne.

Do dziesiatej pozostalo niewiele czasu, jak to odkryl Rahotep, kiedy pograzyl sie w przygotowaniach swego oddzialu. Znalazl jeszcze chwile, zeby zrzucic z siebie przebranie niewolnika i wlozyc stroj kapitana. Kiedy przylaczyl sie do swojej wybranej grupy, byl zdumiony, widzac zmiane, jaka zaszla w mezczyznach, ktorzy razem z nim opuscili Neferusi.

Chociaz szerokie policzki Menona nadal zdobil gaszcz rudej

brody wyróżniające go w tłumie gładko ogolonych Egipcjan, to był on ubrany w czystą spodniczkę z opinającym go pasem i dzwigał na ramieniu największą maczugę, jaka udało mu się znaleźć. Nubijczycy z pewnym niezadowoleniem sprawdzali luki, stwierdzając, że lżejsza, egipska bron nie spełnia ich oczekiwań. Największa zmiana zaszła jednak w zeglarczy Ikarze. Wykapany, z ogoloną gładko twarzą, jasnymi włosami ściagniętymi do tyłu przez opaskę z brązu, wyglądał jak morski książę z Krety. Poruszał się i mówił z powagą człowieka, który dowodził swoim własnym statkiem. Zrzuciwszy brode i lachmany, zrzucił też sporo lat i okazało się teraz, że jest niewiele starszy od Rahotepa. Ikar wybrał sobie z zapasów platnerza miecz niezwyklej długości - łup wojenny, jak przypuszczał kapitan - i po przyłączeniu się do oddziału, wymachiwał nim, jakby chciał go wypróbować.

Oddział Rahotepa pierwszy znalazł się w punkcie zbornym. Dziesięciu zwiadowców ustawiło się za Khetim, dwaj Nubijczycy z miasta stanęli o krok od ostatniego - wprawdzie nie zostali jeszcze zaakceptowani przez swoich rodaków jako równi im, lecz pragnęli trzymać się razem z nimi. Ikar i jego były sternik stali z boku. Palili się wprawdzie do obiecanego akcja, lecz jeszcze nigdy dotąd nie byli częścią żadnej armii.

Rahotep potrząsnął swoim sistrum i łucznicy ustawili się na baczność, a on sprawdzał drobiazgowo ich bron i wyposażenie. Co prawda. Kheti skontrolował ich już swym sokolim wzrokiem, lecz żaden oficer nie zaniedbałby w tej sytuacji powtarzanej inspekcji.

Kapitan usłyszał skrzypienie kół i obrócił się. Dwa ciężkie wozy zaprzęzione w szesc, a nie jak zazwyczaj, cztery woly, skrecały

wlasnie, zeby do nich dolaczyc. Ledwo starczylo mu czasu, zeby dac swoim ludziom sygnal do powitania, kiedy nadszedl Ahmose.

17. Kwestia trybutu

Po raz drugi Rahotep zbliżal się do bram Neferusi. Tym razem jednak, kiedy tak szedł powłoczac nogami, poprzedzał go jeden z ciągniętych przez woły wozów, a drugi toczył się za nim. Były one ciężko wyladowane, a więc powinny być z zadowoleniem powitane przez nic nie podejrzewających Hyksosów przy bramie. Spiętrzone worki na wierzchu zawierały jedynie wysuszoną trawę z mokradel, a pod nimi, ciasno stłoczeni, leżeli zwiadowcy i kilku wybranych ludzi z oddziału Nereba. Woznica, który klął woły idące w pierwszym zaprzęgu, żeby je zmusić do jak najszybszego kroku, miał na sobie luzną, beduńską pelerynę z kapturem ściągniętym mocno wokół głowy. Rahotep i mężczyzna dopasowujący do niego krok szli przy drugim wozie. Byli podobnie przebrani, tak samo jak szesciu innych, grających rolę strażników, którzy teraz rozproszeni wlekli się, jak ludzie bardzo znudzeni. Pod tymi pelerynami, dostarczonymi przez Thesha, ukryci byli dwaj weterani wybrani z oddziałów generała, Ikar, Kay, Kheti, Nereb i Dowódca Piecdziesięciu Nereba. Woznica pierwszego wozu, wymachującym tyczką do poganiania z całym skupieniem, był królewski syn, Ahmose.

Byli wypoczęci, gdyż przed świtem odpoczywali przez godzinę, jednak przybrali teraz pozory zmęczenia, żeby zwieść warte przy bramie. Kiedy zbliżyli się do murów miasta. Rahotep okrzyknął wóz, żeby znaleźć się bliżej księcia. Wszystko, co mu było wiadome o tej bramie, opowiedział podczas wyczerpującego przesłuchania, któremu poddali go faraon i Ahmose kilka godzin temu. Teraz

miał nastąpić praktyczny sprawdzian tej wiedzy.

W każdym razie nie zauważyli dotąd żadnych oznak podejrzliwości na twarzach wartowników znajdujących się na murach - nie mogli oni dostrzec gromady ludzi wykorzystującej wszelkie naturalne osłony, których dostarczały kanały irygacyjne i trzciny, by okrażyć Neferusi. Znajdowali się wśród nich Egipcjacy zwiadowcy, którzy pilnie obserwowali wozy, gdyż kiedy drugi wjedzie do środka, Kamose miał dać sygnał do generalnego ataku.

Czy jednak faraon będzie w stanie uchronić się przed zdradą, która zabrała mu ojca i ujawniła obecność Rahotepa w Neferusi, zanim ten ukończył swoją misję? Kamose i jego brat zostali ostrzeżeni i muszą sami podjąć środki ostrożności. Uwaga Rahotepa w nadchodzącej bitwie miała skoncentrować się na tych dwóch wozach, a teraz czuwał nad bezpiecznym wjazdem do miasta.

Wozy podjechały do zewnętrznej bramy i zatrzymały się. Jeden z weteranów Thesha miał odpowiedzieć na wezwanie warty przy bramie, ponieważ świetnie władał językiem używanym na pustyni i został jeszcze dodatkowo pouczony przez Rahotepa o tym, co ten usłyszał w czasie pracy na murach. Teraz jednak, nie czekając na wezwanie, powitał głośno strażników.

Jego okrzyk przyniósł pomysłny rezultat. Masywne skrzydła bramy otworzyły się powoli, a Ahmose mógł użyć swej tyczki. Woly napały na jarzma i wóz potoczył się ciężko naprzód. Nereb pozwolił, żeby niewielka odległość między pojazdami poszerzyła się, zanim pogonił swoje zwierzęta, chociaż wartownik krzyczał na niego ze złością, żeby trzymał się za tamtym.

Skrecili ostro w lewo, zeby wjechac na wewnetrzna droge, prowadzaca do drugiej bramy, przy czym wozy posuwaly sie powoli i niezdarnie - tak niezdarnie, ze pojazd Nereba uderzyl w jedno skrzydlo wrot i teraz nie dawalo sie ono zamknac. Oficer Hyksosow znowu krzyknal na niego ze swej wiezy. A kiedy udawany wysilek Nereba jeszcze bardziej zaklinowal brame, kompletnie wyprowadzony z rownowagi wartownik zszedl na dol, zeby odcwiczyc biczem zarowno domniemanego beduńskiego woznice, jak i zdeorientowane woly, w efekcie czego te ostatnie zatrzymaly sie natychmiast i nie dawaly sie ruszyc z miejsca, dyszac w gniewie i oszolomieniu.

Tymczasem grupa Ahmosego dotarla juz do drugiej bramy i znalazla sie juz niemal po drugiej stronie, zanim zamieszanie z tylu przyciagnelo uwage stojacych tu straznikow. Jeden z podoficerow staral sie oczyszcic wjazd i rozkazal swoim ludziom podeprzec ramionami zawadzajacy pojazd i przepchnac go na druga strone.

-Re ponad nami! Re. sprzyjaj nam! - Ahmose wskoczyl na pierwszy woz i zaczal celnie ciskac wypchanymi worami z gornej warstwy w drepczacych w kolko, zdeorientowanych wartownikow. Pociski te nie byly dostatecznie ciezkie, zeby kogos zranic, wywolaly jednak zamieszanie konieczne, by ukryci mezczyzni zdazyli wyskoczyc - wprawdzie purpurowi i ciezko dyszacy, ale z przygotowanymi sztyletami i dzidami. Rahotep ujrzal Ikara, jak odrzuca swoj maskujacy plaszcz i krecac mlynka dlugim mieczem, toruje sobie droge do naroznika, gdzie pod sciana skulila sie grupa zdumionych niewolnikow. Z bolesnym dla uszu okrzykiem zeglarz machal tym mieczem, przecinajac petle na szyjach, podczas gdy Menon ryczal cos w jezyku

robotnikow i rzucal im sztylety.

Hyksosi nic potrzebowali wiele czasu, by otrzasnac sie z poczatkowego zaskoczenia i wkrótce rozgorzala walka. Bylo to dzikie szalenstwo pchniec, uderzen i smierci. Rahotep przewrocil wrzeszczacego beduinskiego najemnika na ziemie, po czym dostrzegl schody prowadzace na szczyt muru. Rozejrzal sie wokol siebie za Khetim i zobaczyl zamiast niego Kaya, ktory poslugiwal sie bezwladnym ciałem hyksoskiego oficera, jak nadzorca moglby poslugiwac sie biczem, by zniszczyc gniazdo oporu.

-Lahhhh - laaaaah - kapitan wlozyl cala sile pluc w ten nubijski okrzyk wojenny. Wbiegl juz w tej chwili na trzeci, czwarty schodek i widzial glowy, obracajace sie w jego kierunku. Kiwnal przyzywajaco reka na swoich lucznikow i czekal, az czterej z nich, w tym Kheti, przebija sie przez walczacych, by dolaczyc do niego. Zanim obrocil sie i biegiem pokonal schody, juz byli przy nim.

Hyksoskiego straznika napotkal na trzecim stopniu od gory i mogl byl w tej samej chwili spotkac smierc, gdyz obcieta dzida wycelowana byla w podstawe jego szyi. Jednakze to inna, czarna smierc wystrzelila z za plecow kapitana i wczepila sie klami i pazurami w nogi oszczepnika. Zupelnie nie przygotowany na taki atak, mezczyzna przechylil sie, stracil oparcie i - z krzykiem przerazenia - spadl, by na dole uderzyc o woz.

Wstrzasniety tym widokiem Rahotep wgramolil sie na szczyt. Luk mial juz przygotowany i teraz siegnal po strzale. Bis rozplaszczyl sie na ziemie i czolgal sie przed nim po grzbiecie muru, z oczami jak zielone szparki wypelnione gniewem i uszami polozoneymi

plasko na lbie. Choc byl dopiero na pol wyrosniety, to zagrozenie czajace sie w tym bezglosnie posuwajacym sie naprzod zwierzeciu zwolnilo ruchy nastepnego straznika, ktory wybiegl na spotkanie kapitana. I to chwilowe zawahanie dalo Egipcjaninowi czas, by stanac pewnie na nogach. Swist przeszywajacy powietrze, okrzyk bolu i... Hyksos zwalil sie na ziemie ze strzala wystajaca spomiedzy zeber.

-Laaaah - okrzyk Nubijczykow wzniosl sie ponad wrzawe na dole. Kheti, Kay, Kakaw, Mahu wbiegali na gore po dwa stopnie. Rahotep byl juz pochloniety oczyszczaniem pasa muru ponad brama. Kiedy jego pierwsza strzala wzbila sie w powietrze, a zwolniona cieciwa zadudnila w srebrny ochraniacz po dziadku, siegnal od razu po nastepna.

-To jest tak latwe, jak polowanie na kaczki, bracie - krzyknal Kheti. - Naciagajmy cieciwy, dopoki Dedun sie usmiecha!

Jednak tylko przez krotki czas cieszyli sie taka przewaga. Hyksoscy procarze i beduinscy lucznicy nie spali. Otrzasneli sie juz z pierwszego szoku - tarcze oslonily ich przed strzalami i walka przeniosla sie z powrotem w poblize bram.

W pewnej chwili Mahu zatoczyl sie do tyłu. Z krwawiaca dziura zamiast twarzy, gdyz jakis procarz wystrzelil dobrze wycelowany kamien. Nubijczyk przez chwile czepial sie kurczowo powietrza z rozdzierajacym krzykiem i juz bylo po nim.

-Rozproszcie sie - wrzasnal Rahotep.

Na szczescie nie dowodzil nowicjuszami. Lucznicy przemykali juz wzdluz odcinka, ktory zostal oczyszczony przez ich strzaly,

zatrzymując się na chwilę, by strzelić i biegnąć dalej. W ten sposób nie byli celami łatwymi do namierzenia.

Wtedy właśnie Rahotep zobaczył, jak Kay zeskakuje z muru na wóz. Ktoś zabił wóla, unieruchamiając ciężki pojazd w wewnętrznej bramie, tak samo jak drugi zostawiono, by blokował zewnętrzną. Jakiś rydwan zbliżał się cwałem tą zablokowaną drogą, lecz woznica był na tyle doświadczony, by zdążyć się zatrzymać, kiedy ujrzał przeszkodę. Nie spodziewał się jednakże spotkania z Kayem, który wskoczył na wóz za jego plecami.

To nie była nawet walka. Wystrojony oficer został po prostu wyrzucony ze swojego pojazdu, gdy wyrosł przed nim jak spod ziemi Ikar i złapał lejce stojącego deba konia. Siła ściągnął go z powrotem na cztery nogi, a potem sklonił prychające nerwowo zwierze do cofnięcia się. By Kay mógł przeciąć sztyłem jego uprzaz. Kiedy uwolnił konia, Ikar zrobił coś, co Rahotep uważał za niemożliwe - wskoczył okrakiem na zdumione zwierze, chwycił jedną ręką grzywę ozdobioną wstążkami, a drugą krecił młynką nad głową swym mieczem, krzycząc coś do tych niewolników, którzy przyłączyli się do walki.

Potem skierował konia z powrotem do miasta, a oni pobiegli za nim - zdeterminowani mężczyźni wbijali się niczym klin w kretę zaułki, gdzie rządziła Nebet.

Wojownicy na murach musieli teraz skupić się na własnym fragmencie walki, gdyż znaleźli się już w zasięgu strzałów procarzy, a Nesamun, ze strząskanym ramieniem, zmuszony był zamienić wzgardzony egipski luk na topór. Unieruchomiwszy uszkodzoną rękę jednym z pasów na piersi, wykonał taki sam skok jak wcześniej Kay, ładując na wozie, a tym samym w

miejscu, gdzie jego topór mógł być bardziej skuteczny.

-Dziesięć... - głos Khetiego robił się coraz bardziej ochryply. - Dziesięciu posłanych dziś do krokodyli Deduna! Ho-ho, to się nazywa polowanie, bracia! Rozszarpmy te psy, bo nigdy dotąd nie dostały po uszach!

Ta armia trąci posiadłości je

Pali domostwa swych wrogów.

Zabija ich setki, zabija ich tysiące.

Radujcie się, synowie łuku, ta armia depta po królach!

To był Kakaw. a regularny świst strzał i dudnienie zwalnianych cieciew wtórowało barbarzyńskiemu grzmieniu jego pieśni wojennej.

-...Zabija ich setki, zabija ich tysiące!" - podjął Rahotep słowa pieśni. Kheti dołączył swój bawoli ryk, jakby wywrzeszczenie tych przechwalek miało przelamać wszelki opór.

Ta armia trąci posiadłości jeźdźców.

Potężny jest słon. gdy rusza na swych wrogów!

Radujcie się, synowie łuku, bo deptacie po twarzach królów.

-Panie! - zawołał Mereruka, a jego głos ledwie było słychać w tym zgłębku. - Faraon nadciąga!

Rahotep wypuścił strzałę i dopiero wtedy zerknął na pole za

murami. Linia rydwanow ciagnelaw kierunku Neferusi szerokim lukiem, który zdawal sie zajmowac polowe rowniny, a obok wozow biegla piechota. Proporzec na srodkowym rydwanie byl w tym samym odcieniu, co blekitny helm tego, który tak zrecznie nim kierowal.

-Hej! Nie tylko faraon sie zbliza! - ostrzegł Kheti i Rahotep ponownie skupil uwage na tym, co dzialo sie w jego najblizszym otoczeniu.

I cale szczescie, gdyz stojac tak odslonieci na murze, byli obecnie celem nie tylko dla straznikow rozstawionych na jego obszarze, lecz rowniez dla malych grup, które wspinaly sie na szczyty najblizszych domow. Stracili Horigo, zanim przebili sie do miejsca, gdzie mogli znalezc chwile wytchnienia. Rahotep zdecydowany byl zaciekle walczyć o kazdy krok w czasie tego odwrotu, lecz jednoczesnie rozkazal swym ludziom wykorzystywac najmniejsza oslone, zanim nie wypatrze kierunku najskuteczniejszego uderzenia.

-Laaaaah! - ten okrzyk wojenny nie dobiegal od strony niewielkiego oddzialu na murze nad brama, ale z samego miasta. Rahotep przesuwal sie cal po calu do miejsca, z ktorego mogl spojrzec w dol na Nelerusi i znalazl sie tam akurat w pore, by ujrzec, jak peka wrzod ubogiej dzielnicy. Mezczyzni i kobiety o zaglodzonych, okaleczonych cialach i twarzach, na ktorych nienawisc wyrzezbila maski nocnych demonow kuszyckich, wylewali sie na zewnatrz. Tej pierwszej fali przewodzil Ikar, nadal jakimś cudem siedzacy okrakiem na swym wierzchowcu, przynaglajacy glosem i plazem miecza swe kohorty. Wiodl ich w kierunku unieruchomionego w bramie wozu, gdzie przedtem zostali zepchnieci Hyksosi. Teraz ten cuchnacy tlum, z nor

takich, jak ta Nebet, popędził do niego. Ludzie tłoczyli się, przedzierałi, cisnели po bron, a nawet walczyli ze sobą, by zdobyć dzide lub sztylet. Ci, którzy celowali w łuczników na murze, przenieśli teraz swą uwagę na klebiący się poniżej na ulicach tłum. Rahotep i Kheti wykorzystali to, by posłać swych ludzi na szczyt jednej z czworobocznych wież nad bramą, co dawało im nie tylko lepszą osłonę, ale i dogodniejszą pozycję do strzelania z łuków.

Pierwsza fala egipskiego natarcia z zewnątrz na miasto uderzyła w mury Neferusi. Mężczyźni przedarli się obok pierwszego wozu i teraz pchali się w przejściu prowadzącym do drugiej bramy. Na dachach czekali już hyksoscy łucznicy i procarze, by przerzedzić ich szeregi. Jednak ci z kolei narazeni byli na strzały łuczników z wieży. I chociaż ludzie padali z przeszytymi ciałami i zgruchotanymi kośćmi lub głowami, to wciąż napływali nowi.

-Re z nami! - chorałny okrzyk żołnierzy stale narastał. Uformował się rodzaj ludzkiego taranu, którego czoło stanowili wojownicy wybrani przez Ahmosego i Nereba - ci, którym udało się jeszcze utrzymać na nogach. Przebili się oni do podnoża schodów prowadzących na mur i teraz wspinali się nań, osłaniany przez ludzi Rahotepa, na tyle, na ile to było możliwe.

-Oczyszczyć mur! - Książe stanął w tej chwili na szczycie schodów i ponaglał gestami ludzi znajdujących się za nim. Co drugi z nich miał okrecony wokół pasa zwoj liny, przygotowanej do zrzucenia towarzyszom pozostałym na zewnątrz muru.

Właśnie jeden z nich padł ze strzałą w gardle, wykasłując swe życie pod stopami księcia. Ahrnose szarpnięciem uwolnił koniec sznura, który tamten niosł i pociągnął go za sobą, kiedy pobiegł

dalej. Lucznicy i procarze oczyszczali droge, sypiac przed siebie grad pociskow, podczas gdy inni zrzucali na dol swe liny po zewnetrznej stronie murow.

-Re z nami! - okrzyk ten stal sie grzmiaca modlitwa wznoszona do nieba.

Meczczyni piali sie po linach, by osiagnac szczyt murow. Niektorzy spadali, lecz inni docierali do celu. gdzie pomagali towarzyszom oczyszczac dalsza czesc fortyfikacji, a tym samym zyskac miejsce do przerzucenia nastepnych lin.

W miescie natomiast dzialy sie rzeczy straszne. Zle uzbrojeni niewolnicy i przestepcy z dzielnicy nedzy walczyli na swoj nikczemny sposob. Polegal on na czajeniu sie i uciekaniu, i niemozliwe bylo jakies celowe ich zorganizowanie: mogli tylko powiekszac ogolne zamieszanie.

Co gorsza, ograbiali oni zmarlych i zaczynali dobijac nozami rannych z obu stron. Rahotep strzelil w dol, do lotra, ktory lada moment mial podciac gardlo stawiajacemu slaby opor egipskiemu lucznikowi.

-Bracie! - wybelkotal mu do ucha Kheti - a moze przedostaniemy sie na te dachy, o tam? Wtedy bedziemy mogli pilnowac tych szumowin i jednoczesnie pomoc oczyszczac ulice.

-A jak sie tam mamy dostac? - zapytal Rahotep.

Zgodnie z projektem tych, ktorzy ufortyfikowali Nelerusi, budynki miasta opasywala szeroka ulica, pozostawiajac sporo wolnej przestrzeni pomiedzy nimi a murami. Na dole powstal zamet

bitewny, przez który można by się co prawda przebić, lecz schodzenie tam, a potem próba ponownego dostania się na taką wysokość, byłoby stratą zarówno czasu jak i ludzi.

-Przez ten most, panie.

Rahotep powędrował wzrokiem za wyciągniętym palcem Khetiego, nie potrafiąc zrazu dostrzec możliwości kryjących się w plataninie, na którą wskazywał Kheti. Jedno z wewnętrznych skrzydeł bramy wygięło się, gdy walczący wojownicy popchnęli na nie porzucony wóz. Wystawało teraz na ponad trzy czwarte drogi w poprzek ulicy, zaklinowane w tej pozycji przez ciała i dwa rozbite rydwany, którymi Hyksosi nieopatrznie wjechały w sam środek bitwy.

Być może człowiek był w stanie przeslizgnąć się po szczycie tej niepewnej podpory, lecz Rahotep był raczej skłonny w to wątpić. Jednak Kheti musiał wziąć jego milczenie za zgodę, gdyż przerzuciwszy luk przez ramię, zeskoczył na bramę i biegł po niej, balansując wyciągniętymi ramionami dla utrzymania równowagi - identycznie jak podczas przechodzenia po mostach z przerzuconych pni w kraju Kusz. Z taką samą bez troską Kakaw, Mereruka i inni, jeden po drugim, podążyli za jego przykładem. Z końca bramy zwiadowcy skakali na dach wartowni, a stamtąd wspinali się na szczyt wyższego budynku znajdującego się za nią. Bis skulił się na występie, z którego łucznicy skakali na bramę. Z łbem pochylonym nieco na jedną stronę obserwował szybkie przesuwanie się ludzi, po czym podążył za nimi, kiedy nadeszła jego kolej. Rahotep rozesmiał się niewesoło. Chociaż nie był zbyt pewien swoich umiejętności stapania po tej wąskiej kładce i tego, czy zdoła utrzymać równowagę, to jemu właśnie przypadło w udziale zamykanie tej

dziwnej procesji - a triumfalny okrzyk i przynaglajace gesty Khetiego, który dotarł do celu po drugiej stronie ulicy, podziały jak ostroga.

Kapitan strzasnął z nog sandały, żeby lepiej trzymać się swej wąskiej ścieżki i wyruszył. Wydawało mu się, że brama niebezpiecznie kołysze się pod jego ciężarem, ale w końcu ciemne rece wyciągnęły się ku niemu i został wciągnięty na górę. Tak jak przedtem w lochach Anubisa.

Cieźko dysząc, stał na swym nowym stanowisku strzeleckim, rozglądając się dookoła. Można było z tego miejsca przebiegać z dachu na dach aż do centrum miasta i jak się okazało, nie on jeden wpadł na taki pomysł. Małe grupki wojowników, zarówno egipskich jak i hyksoskich. pojawiały się teraz na gorze, poruszając się we wszystkie strony, walcząc o każdy krok w krótkich, gwałtownych potyczkach, które były jakby drobnym odzwierciedleniem tego. co działo się na ulicach.

Obecnie Egipcjanie opanowali ponad połowę powierzchni murów. Coraz więcej ludzi wspinało się po linach i zeszło w dół, do Neferusi. Hyksosi, nekani przez grabieżców i oswobodzonych niewolników, nie mogli wykorzystać rydwanów, gdyż w tych uliczkach nie było z nich żadnego pożytku, ściągali zdeterminowanymi, rozwścieczonymi oddziałami do sektora w pobliżu bram i murów, licząc na to. że zepchną wrogów między te bariery i tam ich zmiżdzą. Raz za razem ruszały do ataku kolejne grupy świetnie wyszkolonej piechoty. Jednak łucznicy na murach zajętych przez Egipcjan i wojownicy na dachach po drugiej stronie ulicy wybijały ich z góry, aż w końcu niektóre z wąskich uliczek były tak zapchane zabitymi i rannymi, że nie mogli się przez nie przedostać ani

obroncy, ani atakujący.

Fortyfikacje zostały zbudowane, by zniesc oblezenie i ewentualne ataki z zewnatrz - ale Nefertisi nie bylo forteca, tylko starym, egipskim miastem, do ktorego te mury zostaly po prostu dobudowane. Hyksosi stwierdzili w tej chwili, ze sa spychani z powrotem z otwartej przestrzeni na pozycje, gdzie nie mozna bylo naciagnac procy lub cieciwy luku, by nie uderzyc ramieniem w sasiada.

Bylo jednak jeszcze jedno miejsce, gdzie mogli sie zgromadzic i tam wlasnie zamierzali stawic opor. Stara sala sadu, w ktorej dawnymi czasy nomarcha tego nomu wydawal wyroki, oraz swiatynia ich bostwa zostaly polaczone razem, w wewnetrzna fortece otoczona mocnymi murami - z szeroka, wolna przestrzenia wokol nich.

Powoli - podczas gdy mijaly dlugie minuty, a sily krolewskie wdzieraly sie do miasta ze wszystkich stron, Hyksosi, pomimo swej zrecznosci w poslugiwaniu sie bronia, pewnoscii siebie i wyszkolenia - wycofywali sie pod oslone tych fortyfikacji, na swoja ostatnia pozycje.

Rahotep lyknal wody z glinianej miseczki, wpatrujac sie w te wewnetrzne mury najezone na calej dlugosci wloczniami i lukami, co wskazywalo na to. ze bedzie to twardy orzech do zgryzienia. Pod brame zostal sciagniety szwadron rydwanow, ustawiony teraz przodem do otaczajacego miasta, przez ktore w ich kierunku przesuwaly klebiace sie masy - powoli, lecz nieublaganie. Tu, na otwartej przestrzeni, w przeciwnienstwie do zatloczonych ulic, mozna bylo miec nadzieje, ze wozy bojowe okaza sie przydatne.

Kheti przeskoczył na dach, gdzie stał Rahotep, i kapitan podał mu wody z dzbana, który znalazł Kakaw, gdy szukał zdobyczy w opuszczonych domach poniżej. Nubijczyk wypił ją, jakby smakował każdą kroplę, zdając pomiędzy łykami swój raport.

-Nie ma żadnej drogi do środka, poza sforsowaniem tamtej bramy. A to będzie jak staniecie na wprost lwicy z małymi, kiedy ma się tylko złamana dzide. Hyksosi nie dadzą się po raz drugi złapać na te sztuczki z wozem.

Rahotep, który zarządził te chwile wytchnienia, by ocenić, jak wygląda sytuacja, patrzył ze zdziwieniem na dotychczasowe sukcesy Egipcjan. Był przyzwyczajony do krótkich ekspedycji karnych i ataków wzdłuż granicy, i czuł zdrowy respekt przed takimi wodzami jak Haptke. Wojna w tamtym rejonie była rodzajem zawziętej gry pomiędzy zazwyczaj równo dobranymi przeciwnikami. Od urodzenia jednak kładli w jego uszy opowieści o niezwycięzonych Hyksosach i ich zrecznosci w walce, nadzwyczajnej sile ich broni i niepokonanych pulkach. Czyżby miało być prawda, że długie lata korzystania z dobrobytu pokonanego Egiptu wywołało wewnętrzny rozkład w tej organizacji? A może nigdy nie byli tymi wspaniałymi wojownikami, którymi uczyniła ich legenda?

Teraz naprawdę zrozumiał, dlaczego to pierwsze zwycięstwo było tak ważne dla królewskiej armii. Zniszczyłoby ono te legende o niezwycięzonym wrogu, złagodziłoby skutki ewentualnej przyszłej porażki. A w takim razie - obrócił się przodem do tej mniejszej fortecy - to, dla dobra ich sprawy, musi zostać zdobyte i całkowicie zniszczone! Chociaż na razie nie miał pojęcia, jak miałoby tego dokonać.

Zamierzał jednak zrobić przynajmniej tyle, ile mógł. Wysłał więc Ikui po zapas strzał, polecając mu pozbierać je, gdzie się da, na trasie, która tu dotarła. Kakaw, który udowodnił już, że potrafi dostarczyć wodę, otrzymał polecenie wywieszenia żywności. Rahotep natomiast czynił przygotowania, by obwarować dach. Na którym obrali sobie stanowisko.

-Celujcie w oficerów i w wozniców tych rydwanów. - Wydał te, jak wiedział, niepotrzebne rozkazy i dodał jeszcze jeden, będący surowym ostrzeżeniem.

-Strzelajcie, kiedy będziecie pewni trafienia. Nie możemy posyłać w prezencje tym synom Seta zawartości naszych kolczanów, chyba że nam się to opłaci!

Kheti zuchwałym wzrokiem mierzył odległość od ich dachu do muru wewnętrznej fortecy. Przy odpowiednim wietrze i dużym szczęściu zdolalby uszkodzić jakiegoś nieostrożnego obrońcę. Wyglądało jednak na to, że takich nie było, gdyż żaden nie ukazywał więcej niż część helmu czy tarczy, chyba że znajdował się poza zasięgiem strzał.

-Coz. Sokole, znalazłeś korzystny punkt, z którego należy uderzyć? Rahotep obrócił się i stanął twarzą w twarz z księciem Ahmosem. Szeroka twarz królewskiego syna pokryta była skorupą krwi i kurzu, pas poplamionego płotna oddarty z jakiejś spodniczki opasywał jego ramię, a z opaski na głowie zwisał tylko poszarpany koniec jego księżęcego chwasta. Przeciał jednak płaską polać dachu krokiem niestrudzonego lwa i podszedł do jego krawędzi, by przyjrzeć się placowi, gdzie rydwany przemieszczały się i czekały na atak - przyjrzeć się wzrokiem, który potrafił dostrzec każdą zaletę i wadę ich własnego

polozenia.

Rozmieszczeni we wszystkich dogodnych miejscach, nubijscy łucznicy piastowali swój kurczący się zapas pocisków i czekali na powrót Ikui. Od czasu do czasu któryś wypuszczał strzałę i trzy na piec trafiały do celu. Było to jednak o wiele za mało, żeby przechylić szalę zwycięstwa na korzyść Egipcjan.

-Co rozkazesz, Królewski Synu? - Rahotep zajął pozycję obok księcia.

Wybrał to stanowisko najlepiej jak mógł. Zdawał sobie jednak sprawę, że on i jego ludzie stanowią zaledwie małą część sił, którymi Ahmose dowodził i książę mógł uznać za właściwsze skierowanie ich gdzie indziej.

-Stąd nie możecie dosięgnąć murów?

-Przy szczęśliwym strzale - być może, ale wiele strzał zostałoby zmarnowanych. Królewski Synu.

Na placu poniżej zaczęli pojawiać się ludzie - pierwsi z hyksoskich żołnierzy, spychanych do tyłu przez atakujących Egipcjan. Byli pchani, wbrew własnej woli, do kół utworzonych przez rydwany. Kilku z nich udało się przedostać za konie do bram fortecy. Jednak te pozostały zamknięte. Przez chwilę krecili się w koło, jakby dezorientowani, po czym znów obrócili się twarzą do zagrożenia.

-Zablokowali wrota - stwierdził Ahmose. - Ci na dole mają pozostać na zewnątrz, by zwyciężyć lub stać się naszą zdobyczą!

Okazało się jednak, że postępujący naprzód Egipcjanie mają być nekani nie tylko przez stoczonych poniżej ludzi, gdyż Ikui z nareczem strzał różnych długości i rodzajów przebiegł przez dach, wykrzykując ostrzeżenia, które sprawiły, że wszyscy obrócili się, by spojrzeć na miasto za plecami.

-Ogien!

18. Urok zwycięstwa

Ślup dymu wzbijał się w niebo koloru miedzianego - brudnozółty dym, który mgliście przypominał Rahotepowi inny czas i inne miejsce. Grabieżcy? A może podłożyli go Hyksosi, zamierzając odciąć atakujące wojsko? Większość budynków w mieście była wzniesiona z suszonej na słońcu cegły, lecz ściany wewnętrzne i dachy były zbudowane z dobrze zakonserwowanego drewna i zostaną błyskawicznie pozarte przez ogień. Ahmose podjął decyzję. Kiwnął reka w kierunku zapelniającego się placu, po czym rozkazał:

-Strzelac do koni!

Chociaż kapitan nie powoził rydwanem, to przebywał dostatecznie długo z armią faraona, by zdawać sobie sprawę, jaki był to trudny wybór dla księcia. Gdyby Egipcjanom udało się zdobyć chociaż połowę tych świetnie wyszkolonych zwierząt, mogliby podwoić swoją siłę uderzeniową. Zabicie koni było jak odcięcie części swojej własnej przyszłości. Jednak teraz musiały zostać poświęcone.

Lucznicy wybrali strzały spośród tych, które pozbiierał Ikui. Niektóre odrzucili, gdyż nie nadawały się do ich luków. I w ciągu

paru sekund obrocili się z powrotem w kierunku placu, gotowi do strzału.

-Zwolnic! - Rahotep wydał rozkaz i brzeknely cieciwy luków. Rece sięgnęły po następne strzały, a trafione zwierzęta padły wierzgając lub oszalałe z bólu, zrywały uprzaz i rzucały się w szeregi piechoty Hyksosów.

-Zwolnic!

Drugi - trzeci - czwarty grad strzał uderzył w linie rydwanów na placu. Te ostatnie nie mogły wycofać się z ich zasięgu, gdyż bramy cytadeli zostały zaryglowane za ich plecami. Było to paskudne zadanie, zwykła rzeź bezbronnych koni, i książę obserwował ją z dłońmi zacisniętymi tak mocno na parapecie dachu, że aż pobielały mu kostki.

Coraz więcej Hyksosów spychano na otwartą przestrzeń. Ci jednak nie wpadali tu biegiem, często bez broni, jak ta pierwsza fala. Wycofywali się, nadal zwrócenii przodem do wroga, walcząc zawsze o każdy krok, który musieli ustąpić. Dym gestniał z każdą chwilą. Kiedy jego macki dotarły do Rahotepa i zaczął kaszleć, udało mu się w końcu uchwycić uciekające wspomnienie paru chwil z przeszłości. Tak właśnie ogień pozerał gniazdo rozbojników Haptkego na granicy kuszyckiej. Kuszycki... Nic podał następnego sygnału, lecz zamiast tego złapał Khetiego za rękę, żeby powstrzymać go od strzału. - Kheti - strzały zapalające!

Nubijczyk opuścił luk i po chwili podniósł go pod innym kątem, tak by strzała była wycelowana teraz w niebo, a nie w klebowisko poniżej. Naciągnął cieciwę najmocniej, jak się dało i zwolnił ją, a

wszyscy stali obserwując jego strzale wzbijająca się spirala w powietrze. Coraz wyżej i wyżej, jakby celem Khetiego był słoneczny dysk Re! W górę i teraz na dół, wirując - ale czy doleci? Czy kat był właściwy?

W dół - poza mury fortecy! Tylko przypadek mogłoby sprawić, żeby kogós śmiertelnie trafiła. Jednakże strzały zapalające nie muszą nieść śmierci, tylko bezpiecznie wylądować. A jeśli dachy budynków wewnątrz tego kregu murów są podobne do tych w pozostałej części Neferusi. to ogień znajdzie tam dość drewna do pożarcia!

Rahotep zdawał sobie sprawę, że wyczyn wymagający takiej siły przekracza jego możliwości, ale Kheti mógł tego dokonać - zresztą przed chwilą właśnie udowodnił, że jest to w ogóle możliwe. I jeszcze Mereruka, chociaż nie miał dostatecznie dobrego oka, żeby precyzyjnie wycelować na taki dystans, to miał w swoich rękach i ramionach zapasnika dostatecznie dużo siły, by posłać strzałę na odpowiednią odległość. Kheti, Mereruka, może Kakaw i Intef.

-Oliwa... - zwrócił się do Kakawa. - Poszukaj, czy jest w tym domu na dole. I szmaty, a jak nie to podrzemy nasze spodniczki, i rozszarzony węgiel.

Ksiażę nie potrzebował żadnych dodatkowych wyjaśnień, gdyż widział strzałę ładującą dokładnie za murami obronnymi. Przykucnął i ze stosu strzał wybierał odpowiednie do nowego zadania, oceniając je krytycznym okiem.

-Żeby wypłószyć zwierzyne - zauważył - trzeba czasem podpalić trzcinowe zarośla. Może te "trzcin" również wydadzą tych,

ktorzy sie w nich kryja. Radzcie tu sobie, jak mozecie. To samo powinno byc zrobione w innych miejscach.

Podniosl sie na nogi, podszedl do krawedzi dachu i przeskoczyl na nastepny bez slowa pozegnania, kierujac sie ku malemu oddzialowi Egipcjan, ktory wspial sie na szczyt o dwa domy dalej. Rahotep watpil jednak, by jakikolwiek egipski lucznik, nawet najbardziej wprawny, byl w stanie przerzucic strzaly przez ten mur.

Kakaw wrocil, pedzac przed soba pomarszczonego niewolnika. Ten ostatni, obladowany zwojem plotna, ktore starczyloby na bandaze dla polowy armii, byl ledwie zywy ze strachu, gdy Nubijczyk, niosacy z kolei dzban z oliwa i mise z weglem, warczal na niego, by zaczal drzec material na mniejsze kawalki.

Wszyscy razem pracowali nad przygotowywaniem strzal, dopoki Kheti i Mereruka nie mieli odpowiedniego zapasu u swych stop. Skupienie ich nie bylo jednak tak wielkie i mogli czujnym wzrokiem obserwowac swoje otoczenie. Czesc miasta, ktora zostala podpalona, wysylala w niebo smugi dymu, a odlegly zgielk bitwy rozbrzmiewal od czasu do czasu loskotem, ktory mogl sygnalizowac zawalanie sie scian - byc moze burzonych celowo, by zdusic plomienie ta warstwa gruzu. Czyzby czesc armii musiala walczyc z ogniem, by sie uratowac?

Dopiero pozniej Rahotep dowiedzial sie, ze to motloch z dzielnicy nedzy zostal zorganizowany pod dowodztwem Ikara, Kaya i Nereba, i ruszyl z powrotem, by walczyc z ogniem. Obawa o wlasne zycie sprawila, ze zwrocili sie nie tylko przeciw Hyksosom, ktorych rozgramiali i nekali, lecz rowniez przeciw plomieniom.

Natomiast Nubijczycy, znajdujący się poza tym piekłem walki i płomieniami, przygotowywali swe strzały, żeby wprowadzić tego wroga, z którym wszędzie naokoło walczone, do twierdzy nieprzyjaciół. Kheti posłał w górę pierwszą strzałę i to samo zrobili łucznicy znajdujący się w innych punktach wokół murów. Tylko pocisk Nubijczyka wylądował wewnątrz, natomiast większość pozostałych spadła za blisko, a od jednego zajął się rydwan. Woznica stracił głowę i wyskoczył, podczas gdy jego koń, spanikowany, próbował uciec od zagrażającego mu z tyłu niebezpieczeństwa i pociągnął ogień za sobą. Przez szeregi kompanii oszczepników, formującej się na nowo po rozgromieniu na ulicach miasta. Z kolei ścigający ich Egipcjanie rozproszyli się, żeby przepuścić przez swe linie płonący pojazd.

Przejęci, jakby strzelali do celu, łucznicy Rahotepa posyłali swe strzały jedna po drugiej ponad murem. Nadzieje kapitana coraz bardziej słabły, gdyż nie było widac żadnych oznak pożaru. Mieli tylko nikłą szansę, lecz ewentualny sukces zmieniłby całkowicie sytuację ich oddziałów. Nawet ogień, który nie wypłoszyłby Hyksosów z ukrycia, ale chociaż ściągnął ludzi z murów do gaszenia, przyniosłby pewną korzyść.

-Laaaah! - Kheti wznosił okrzyk, trzymając łuk w wyciągniętej ręce nad głową i wymachując nim triumfalnie, podczas gdy jego stopy przesuwały się w tancu wojownika. - Dedunie, uśmiechnij się do swoich słoni! Ta armia posuwa się zwycięsko! Tak, palimy mury wroga! - dodał do piosenki, którą przedtem śpiewali.

Ponad mury wznosił się słup dymu. Nie, nie słup, istna zasłona dymna! Kapitan mógł się tylko domyślać, że jedna lub więcej strzał zapalających spadło na jakiś magazyn z zaopatrzeniem - jak się później okazało, był to trafny domysł. Rozpalka dla tych

plomieni stały się bele paszy przywiezionej dla koni i jeszcze należycie nie zabezpieczonej. A potem ogień podsycała oliwa, gdy popekały od gorąca gliniane dzbany. Zgromadzone przez Hyksosów zapasy przyczyniły się do ich własnej porażki. Lucznicy podziwiali szybkie rozprzestrzenianie się dymu i jego gęstość, świadcząca o dużym obszarze, który musiał być objęty płomieniami. Następne strzały błysnęły w zmetniałym powietrzu, wywołując panikę wśród koni znajdujących się na placu lub ładując na murach.

-Wygląda na to, że ich bog rozgniewał się na nich - zauważył Kheli. - Ciekawe, czy biją teraz tymi ogolonymi głowami w posadzkę i modlą się do niego?

Wzdłuż murów fortu rozległ się głos trabek i Rahotep nie po raz pierwszy stwierdził, jakie korzyści daje ten rodzaj sygnału wojskowego. Trabienie wybijało się ponad zgiełk bitewny, w którym wezwania jego sistrum zupełnie nikt nie słyszał. Jednak poza dźwiękiem tych miedzianych rogów wychwycił jeszcze inny, który musiał już przedtem usłyszeć Kheti - gong dobiegający ze świątyni.

-Amon-Re z nami! - Palce Khetiego wykonały uswiecony znak odwracający wszelkie siły zła, które niewatpliwie były w tej chwili przyzywane, by wesprzeć oddanych wyznawców.

-Wielcy darzą łaskami tych, którzy wznoszą silne ramie w swojej własnej sprawie - zauważył Kheti. - Niech te hyksoskie ogolone głowy wyjdą do swojego weza. żeby przybył. Niewatpliwie zrobi to - żeby ich pozrec! My tymczasem polaskoczemy ich pod zebrami, żeby przyspieszyć to przybycie.

Bis. który wyrażał swą dezaprobatę dla całej tej sytuacji, siedząc w najodleglejszym koncu dachu i poruszając od czasu do czasu gniewnie ogonem, podszedł teraz do Rahotepa, jakby wyczuł jakieś niebezpieczeństwo. Podniosłszy lepek, zwrócił się ze wściekłym wrzaskiem w kierunku wewnętrznej fortecy. Nubijczycy obserwowali go ze zdumieniem przeradzającym się w strach.

-Dar Horusa śpiewa swą pieśń wojenną, bracie! - Kheti odsunął się na bezpieczną odległość. - Myślę, że bliski jest koniec tego wszystkiego.

Najwyraźniej Hyksosi stłoczeni na placu poniżej mieli to samo odczucie, lecz w ich przypadku zabarwione ono było rozpaczą. Trabki wezwwały do oporu i ataku, a wojownicy ruszyli lawą naprzód, oddalając się od bram, za którymi wzbijała się w niebo wciąż powiększająca się chmura dymu. Jednakże zbyt długo zwlekali z tym ostatnim zrywem. Ze szczytów dachów, z wylotu każdej ulicy i zaułka posypał się grad strzał, wystrzelonych z procami i celnie rzuconych włóczni. Tamte chwile zamieszania i niepewności - zniwo, które łucznicy zebrali dzięki strzałom do koni, dały Egipcjanom czas, by wzmocnić swe stanowiska orazściągnąć posiłki i amunicję. Podobnie jak w ciągu tych kilku szalonych minut, kiedy zazarcie walczyli o to, by brama pozostała otwarta, tak i teraz bitwa nie była oparta na strategii i ustalonych wzorach. Dla Rahotepa przerodziła się ona w osobistą walkę, podczas której ledwie zdawał sobie sprawę, co się dzieje w jego najbliższym otoczeniu. Dostrzegł - jak przez mgłę - że Mereruka i Kheti nadal wypuszczają zapalające strzały. Pozostali jednak zwrócili luki na klebowisko poniżej.

Trzykrotnie wyruszali Hyksosi do ataku ze swych pozycji pod murami fortu i trzykrotnie ich szeregi wycofywały się, pobite i

przerzedzone, zostawiając za sobą zabitych i rannych. Dym za ich plecami przecinał od czasu do czasu skaczące płomienie, a strumień gorącego powietrza wydostający się z piekła, które najwyraźniej musiało się tam rozszerzać, docierało do ludzi na murach, a nawet na dachy, gdzie stali ich wrogowie. Oddział Rahotepa zmuszony był wycofać się na drugi koniec dachu, a Kheti stał, obserwując ze skupieniem fortece. Kapitan odezwał się pierwszy.

-Tam jest jak w piecu. Bada musieli wyjść.

-Albo upieka się jak kromki chleba - dokończył Kheti. - Dokładnie tak, bracie. Chyba jednak wybiora upieczenie się w piecu, niż spotkanie z tymi, którym nakładali niewolnicze jarzmo, lub którymi próbowali karmić swojego mrocznego boga. Na Laciatego Kozła, panie, to się nazywa wojna! Czyż kiedyś nie mówiłem, że tu, na północy, możemy znaleźć pana, u boku którego będziemy mogli powstać?

-Ani ta walka, ani ten dzień jeszcze się nie skończyły - ostrzegł Rahotep.

-Sa już jednak bliskie końca. Ha; nie podoba im się w piecu. Grzanki właśnie wychodzą.

Miał rację. Ludzie tłoczący się pod bramą wewnętrzną fortecy byli w tej chwili rozsuwani na boki. Wrota otwierały się, a trabki robiły taki hałas, że kapitan był przekonany, iż wzywają do zmasowanego ataku.

Chwila wytchnienia była bardzo krótka. Hyksosi, którym w czasie walki z ogniem tarcze i pancerze zmatowiały od sadzy, wyszli, by

stawic czolo otaczajacym ich ze wszystkich stron Egipcjanom. To, co potem nastapilo, bylo dla Rahotepa dzikim chaosem i nie potrafil zdac z tych wydarzen zadnej skladnej relacji w nastepnych latach.

W pamieci utkwily mu pojedyncze wyraziste obrazki, z ktorych czesc zaklocala mu w nocy sen, i nad wiekszoscia ktorych nie mial ochoty rozmyslac. Kheti, jak zazwyczaj, mial racje. Rozpetana w Egipcjanach furia byla jak bicz spuszczone na Hyksosow z miazdzaca sila. Ludzie z gryzacych ich, zapieklym poczuciem krzywdy nie znaja laski w swojej zemscie.

Kiedy znow odzyskal calkowita swiadomosc, stwierdzil, ze opiera sie o jakas sciane, dlawiac sie swadem pozaru i powstrzymujac mdlosci po tym. co wlasnie zobaczyl w swiatyni, gdzie modlili sie Hyksosi. Jak sie tu znalazl i dlaczego, nie potrafilby logicznie odpowiedziec, odzyskal jednak w znacznym stopniu jasnoc umyslu, kiedy ujrzal znajoma postac, podchodzaca wielkimi krokami do oltarza.

Ahmose, z Nerebem niosacym jego tarcze i oddzialem kustykajacych, obdartych gwardzistow podazajacych za nimi, rzucil tylko okiem na rozgrywajaca sie przed nim scene i ostrym glosem zaczal wydawac rozkazy. Ci, ktorzy w niej uczestniczyli, wycofywali sie chylkiem, jakby oni rowniez zostali nagle zbudzeni z jakiegos koszmaru i nie potrafili zrozumiec, dlaczego ich rece sa czerwone i co zrobili tym istotom wydajacym teraz smiertelne jeki u stop nie odpowiadajacego na ich modly boga.

Na samym oltarzu lezalo okaleczone cialo pozostawione tam przez kaplanow Seta. Ahmose obejrzal je na pozor beznamietnie, choc Rahotep widzial, jak w pewnej chwili drgnal

muskul przy szczece ksiecia.

-Coz, Sebni. Kiedy odkrylismy, ze oddaliles sie o swicie, podejrzewalismy, ze uciekles do tych, ktorych uwazales za lepszych. Kiepski to byl wybor. Faraon zostal w koncu calkowicie pomszczony, choc taka kara nie bylaby po jego mysli.

Jednak zdrajca lezacy na kamieniu ofiarnym nie musial juz odpowiadac przed zadnym sadem, oprócz sadu Ozyrysa za Wrotami Horyzontu. Ksiaze powiedzial przez ramie, jakby wydajac polecenie jakiemus pisarzowi prowadzaczemu kroniki:

-Niech ta sprawa zostanie zapisana. - Jego wzrok padl na Rahotepa i przywolal go skinieniem do siebie. - A wiec przezyles, kuzynie. A twoi ludzie?

Rahotep w oszolomieniu rozejrzal sie dookola. Jesli przyprowadzil tu swoj przerzedzony oddzial, to nie byl tego swiadom. Wygladalo na to, ze jednak tak bylo. W kazdym razie widzial przy bocznej scianie barczysta postac Mereruki wspierajaca Khetiego, ktory nadszedl kustykajac, z nasiaklym krwia galganem wokol uda, ale nadal mial dosc sily. by sie usmiechnac i podniesc swoj topor w salucie dla ksiecia. Kheti i Mereruka - a tam byli Ikui i Kakaw osmoleni od dymu tak, ze ich brazowa skora byla czarna jak wegiel drzewny - to czterech. Mahu i Horiego stracili na murach miasta. Sahare, Intef, Anhor, Baku - nie, nie bylo ani Baku, ani Hetiego i nie mogli odpowiedziec na jego nie wypowiedziany apel. Dziesieciu lucznikow i dwoch oficerow opuscilo Kah-hi. Szesciu lucznikow i dwoch oficerow, znuzonych i rannych, stalo tu, w Neferusi. I Bis - bo lampart przysiadl na lapach, wylizujac przeciecie na barku, ale nadal byl golow do walki.

-Widzisz nas, Krolewski Synu - Rahotep z wysilkiem wypowiedzial regulaminowe slowa meldujacych sie do sluzby.

Ahmoose podniosl topor, ktory zdobył na hyksoskim dowodcy podczas bitwy pod spichlerzami, w salucie, ktory oddalby dowodcy i odrzekl:

-Widze cie. kapitanie; widze was, lucznicy. Sprawiliscie sie dzis dobrze, pomogliscie wyzwolic to miasto i oddac je w rece faraona.

Faktycznie Neferusi, czy raczej to. co pozostalo z tego zrujnowanego miasta, znalazlo sie w rekach krolewskiej armii. I choc byli tak wyczerpani bitwa, mieli jeszcze mnostwo do zrobienia, zanim beda mogli udac sie na odpoczynek. Podczas nocnych godzin, kiedy wpadal na rozstawione posterunki, nadzorujac walczacych z ogniem i ogolnie starajac sie byc uzyteczny. Rahotep mial natknac sie na egipskich wojownikow tak smiertelnie znuzonych, ze zostali zawinieci razem ze zmarlymi, gdy spali kamiennym snem.

Zostal zwolniony ze sluzby jakis czas pozniej i znalazl sie w komnacie, gdzie swiatlo lampy, chociaz slabe, ukazywalo taki luksus, jaki dotad widzial tylko w krolewskich apartamentach w Tebach. Patrzac w otepieniu na to otoczenie, pozwolil Intefowi doprowadzic sie do sofy i sciagnac z siebie brudne szmaty. Pograzyl sie juz we snie. kiedy lucznik nadal jeszcze nacieral go oliwa, by rozluznic zmeczone miesnie i usmierzyc bol ran.

-Panie!

Rahotep wdrapywal sie na zbocze miekkiego, ciemnego dolu,

powoli zdając sobie sprawę, że ktoś potrząsa nim delikatnie. Otworzył zamglone oczy i natychmiast zamknął je z powrotem, gdyż poraził go blask słońca.

-Panie! - Ktoś usiłował go wzywać, trzymając przy tym kurczowo rękę na jego ramieniu.

Niechętnie, bardzo niechętnie obrócił się i spojrzał metnym wzrokiem na brązową twarz wiszącą nad nim. Wtedy rozpoznał Ikui.

-Panie! - zawołał po raz trzeci tamten. - Faraon przysłał po ciebie. Podnieś się! Anhor! - Lucznik obrócił się, by zawołać kogoś, kto nadal znajdował się poza zasięgiem wzroku. - Kapitan się budzi, przygotuj wszystko.

Rahotep usiadł. Na podłodze komnaty rozmieszczono zaimprovizowane łoza. Na jednym z nich, chrapiąc, leżał Kheti z zabandażowaną nogą, przywiązana do drzewca dzidy, które miało utrzymywać ją wyprostowaną. Na następnym siedział Nesamun, podtrzymując na piersi złamaną rękę. Ona również została fachowo opatrzona. A pozostali Nubijczycy wygodnie usadowieni lub pogrążeni w głębokim śnie, wyglądali na ludzi w pełni usatysfakcjonowanych.

Stojąc w umywalni, polewany przez Anhora wodą, kapitan rozbudził się całkowicie i zaczął zasypywać swych ludzi pytaniami, na które ci odpowiadali najlepiej, jak umieli.

Tak, Neferusi jest całkowicie we władaniu Egipcjan. Pozostali przy życiu Hyksosi zostali uwięzieni w pomieszczeniach dla niewolników.

-Niewielu ich jest, panie - dodał Ikui - gdyż ludzie ci są wielkimi wojownikami i ich zamiarem było złożyć hołd swemu bogu z gorącą krwią wielu wrogów na rekach. Dlatego niewielu rzucało bronie na ziemię przed nami. Wybierali raczej walkę do końca. A na wewnętrznym dziedzińcu znajduje się wieża, gdzie ich wielmożni zamknęli się i nie mają zamiaru wyjść, więc faraon rozkazał, żeby nie przelewać niepotrzebnie krwi naszych ludzi, tylko umieścić tam warze i pilnować - dopóki brak jedzenia i wody nie wyciągnie ich na zewnątrz. Ludzie z tego miasta, którzy byli niewolnikami Hyksosów, przyszli, żeby ucałować ziemię przed faraonem, radując się. I razem z nami tropią ukrywających się wrogów, gdyż przepelnia ich wielka nienawiść do tych miłośników koni! A jeśli opowieści, które sнуją każdemu, kto chce ich słuchać, są prawdziwe, to naprawdę słusznie pielęgnują ten gniew.

-Panie! - Anhor wrócił do małej umywalni z czystymi rzeczami przewieszonymi przez ramie. - Nie przywieźli jeszcze naszych bagaży z obozu. Na szczęście, kobiety z tego domu, które nie mają powodu, by kochać swoich panów, przygotowały ci te rzeczy, żebyś mógł stanąć przed faraonem. Robi się coraz później, panie!

Kapitan stwierdził, że jego nowa spodniczka zrobiona jest z najcięższego lnu, a przytrzymujący ją pas wysadzany jest granatami i złotem, tworzącymi głowy byków z oczami z klejnotów. Nie było pasiastego materiału, żeby wykonać właściwe nakrycie głowy, zmuszony więc był nałożyć ciemnoczerwone. Srebrny ochraniacz będzie musiał posłużyć jako ceremonialna ozdoba zamiast "złota mestwa" i bransolet wysoko urodzonego. Jakimś cudem zachował przy sobie swój bicz oficerski podczas

całej tej bijatyki - znaleźli go przynim, gdy kładli go dołoża wiele godzin temu.

Wrociwszy do zaimprovizowanej kwatery, Rahotep zastał wystrojonych luczników w stanie gotowości, a Khetiego krytykującego i rugającego ich ze swego legowiska, wściekłego, gdyż lekarz zabronił mu nawet postawić stopy na posadzce bez jego zezwolenia.

-Ty, Kakaw - mówił właśnie, gdy kapitan wszedł do środka - musisz służyć zamiast mnie jako nosiciel tarczy dostojnego Rahotepa. Sciągnij mocniej ten pas, kozle z rozumem owcy! Niech zobacze szereg wojowników zasługujących na noszenie "złota mestwa", a nie zbieraninę chłopaczków, którzy nie mają jeszcze swoich męskich blizn! Inef - stoisz jak wstydliva panienka, która za chwile ma ujrzeć swego wybranego pana podczas wręczania zapłaty ślubnej. Ramiona do tyłu, idioto, broda do góry. Aaah - niewatpliwie pomaszrujecie przed Syna Re. jak woly włokące się po klepisku. Panie - zaapelował do Rahotepa - pomów z tą ogoloną czaszką, która twierdzi, że muszę być przywiązany za jedną nogę, jak gasior na polu, i niech mnie odetna, żeby ta halastra nie przyniosła kompletnego wstydu Nubii na oczach wszystkich!

Rahotep z pewną trudnością powściągał uśmiech podczas inspekcji stojącego na baczność szeregu, chłostanego biczem krytyki ich okulawionego dowodcy. Ich mundury, podobnie jak jego, były zaimprovizowane, lecz w sposób metodyczny, by wszyscy oni mieli spodniczki z tego samego materiału, co jego nemes. W opaskach na głowach tkwiły dumnie pióra, przyznawane zwycięskim wojownikom: i co z tego, że najwyraźniej zdobyte z różnych źródeł i nie dobrane rodzajem,

ani kolorem? Jednak toporek kazdego z nich byl starannie wypolerowany i blyszczal za pasem, luk zarzucony z tylu na ramie wskazywal niebo, a kolczan byl pelen. Kapitan zwrocil sie do Khetiego.

-Ten oddzial przynosi ci chlube. Dowodco Dziesieciu. Stana dumnie w obecności faraona, gdyż wywalczyli sobie swoje pioropusze! Tak samo jak ty. Kheti, synu Ahati, Silny Lwie, synu Forge. Wojownik Wielu Tarcz, synu Khorfy z Kamiennego Topora - przeszedł na nubijski język wojsk pogranicza, a te imiona i tytuły rozbrzmiewały dzwiecznie w tej komnacie. - Tak samo jak ty, Kheti, który odtąd powinienes być znany jako Kheti Od Wielkiego Luku! - Uniosł swój bicz w salucie, a za jego plecami piesci luczników powędrowały w górę w holdzie ich własnej rasy.

Rece Khetiego spoczywały zacisnięte na kolanach, gdy patrzył na kapitana.

-Tak jest dobrze, bracie? - spytał miękko Rahotep. Wygladało na to, że Kheti ma pewne kłopoty z udzieleniem odpowiedzi, a kiedy mu się to w końcu udało, wymówił cichym głosem:

-Tak jest bardzo dobrze! Reprezentujcie chlubnie Krainę Luku przed obliczem Syna Re. niech dowie się, że rodzimy się na południu!

Faraon przyjmował w komnacie, która przedtem musiała być sala sadow w Neferusi. Ściany były tu poczerniałe od dymu. a dach spalił się całkowicie. Stali więc pod gołym niebem, a wszędzie unosił się zapach spalenizny i śmierci, mieszając się z wonią kadzidla, wydzielana przez szereg koszy z zarem, które ktoś

zebrał między rzędami filarów, nie podpierających już niczego.

Faraon nadal miał na głowie błękitny hełm, co wskazywało, że udziela audiencji jako dowódca armii, a nie Syn Re. Oficerowie więc, stawiając się na wezwanie, nie "całowali ziemi", lecz salutowali. Rahotep, stojący na czele swej niewielkiej grupy, czekał na rozkazy.

-Dostojny Rahotep, kapitan Pustynnych Zwiadowców ze swym oddziałem.

Usłyszał wezwanie księcia Ahmosego i pomaszerował do przodu, aczkolwiek zgodnie ze zwyczajem nie podnosił oczu na mężczyznę siedzącego na zaimprovizowanym tronie.

-Dostojny Rahotep, Dowódca Tysiąca! - Ta poprawka została wygłoszona w charakterystyczny dla faraona, pospieszny sposób. Przemawiał on tak, jakby był popędzany przez upływający czas, jakby miał tyle do zrobienia, że zał mu było każdej chwili zwłoki.

Rahotep rzucił się na kolana.

-Życie! Zdrowie! Pomysłowość! Niechaj Syn Re żyje wiecznie! Jestem kims niewartym jego uwagi! Niechaj Syn Re dowie się, że jestem mniej wart niż pył na jego sandałach, kims nie przyzwyczajonym do dowodzenia tysiącem wojowników.

-Ten tysiąc sam zbierzesz i wyszkolisz, komendancie! Szczęściu luczników stoi teraz za toba. Chcielibyśmy ujrzec cały pułk im podobnych. Mówiono nam, że ich rodacy byli niewolnikami w tym mieście, że zrzucili swe wieże i walczyli razem z naszą armią.

Odszukaj ich i uczyn z nich orez, ktorym bedziemy mogli sie posluzyc. Ten to obowiazek nakladam na ciebie tu i teraz. Przyznaje ci jednoczesnie "zloto mestwa", gdyz kazdy powinien sie dowiedziec, jak wiele zrobiles dzis dla Egiptu.

Ktos podszedl do kapitana i ten zdal sobie sprawe, ze spotka go ten wielki zaszczyt, iz otrzyma swa nagrode z rak krolewskiego syna. Osmielil sie spojrzec w gore, gdy ksiaze Ahmose zsuwal z przedramienia szeroka, zlota opaske, przytrzymujaca zgodnie z nowa moda sztylet. Jednoczesnie jeden z oficerow stojacych u stop tronu rzucal ozdobe kazdemu z lucznikow.

Srebrny ochraniacz szczeknal o sztylet, kiedy Rahotep postapil do przodu, by dotknac ustami rzemienia sandala faraona. Nagla przemiana z kapitana zwiadowcow w komendanta tysiacu wojownikow byla przyprawiajacych o zawrot glowy doswiadczeniem, nawet jesli stalo przed nim zadanie sciagniecia do swych szeregow tego tysiacu, zanim bedzie mial pulk.

Wyszedl z sali i z zapalem spojrzal na miasto. Czy Kay, Ikar i Menon przezyli bitwe? Moze mogliby mu pomoc w wyszukiwaniu ludzi, ktorych musial zebrac.

Jakis oficer zasalutowal mu - Methen!

-Panie - zaczal starszy mezczyzna, lecz Rahotep potrzasnal glowa.

-Nie "panie", Methenie! - Zarzucil rece na ramiona tamtego w powitaniu naleznym krewnemu.

-Chwala niech bedzie Re, ze ty rowniez calo dotrwales do konca

bitwy!

Potem cofnął się nieco, wspierając pięści o biodra, gdy badawczo przyglądał się miastu i rzekł:

-Nie wiem, czy będę komendantem godnym uwagi faraona, lecz wyznaczył mi to zadanie i muszę je wykonać. Potrzebuje łuczników do naciągania łuków i łuków dla tych łuczników. Czy pomożesz mi w ich poszukiwaniu?

Ruszył w mrok miasta, z Methenem idącym u jego boku i Nubijczykami podążającymi za nim swym pokazowym krokiem, tak jak parę miesięcy wcześniej z Kah-hi. Bis biegł miękko, nie uwiązany, po jego prawej stronie. Mógł go sobie nazywać Cieniem Sokola, ale na pewno nie jest cieniem wojownika, pomyślał z dumą!

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-22

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/